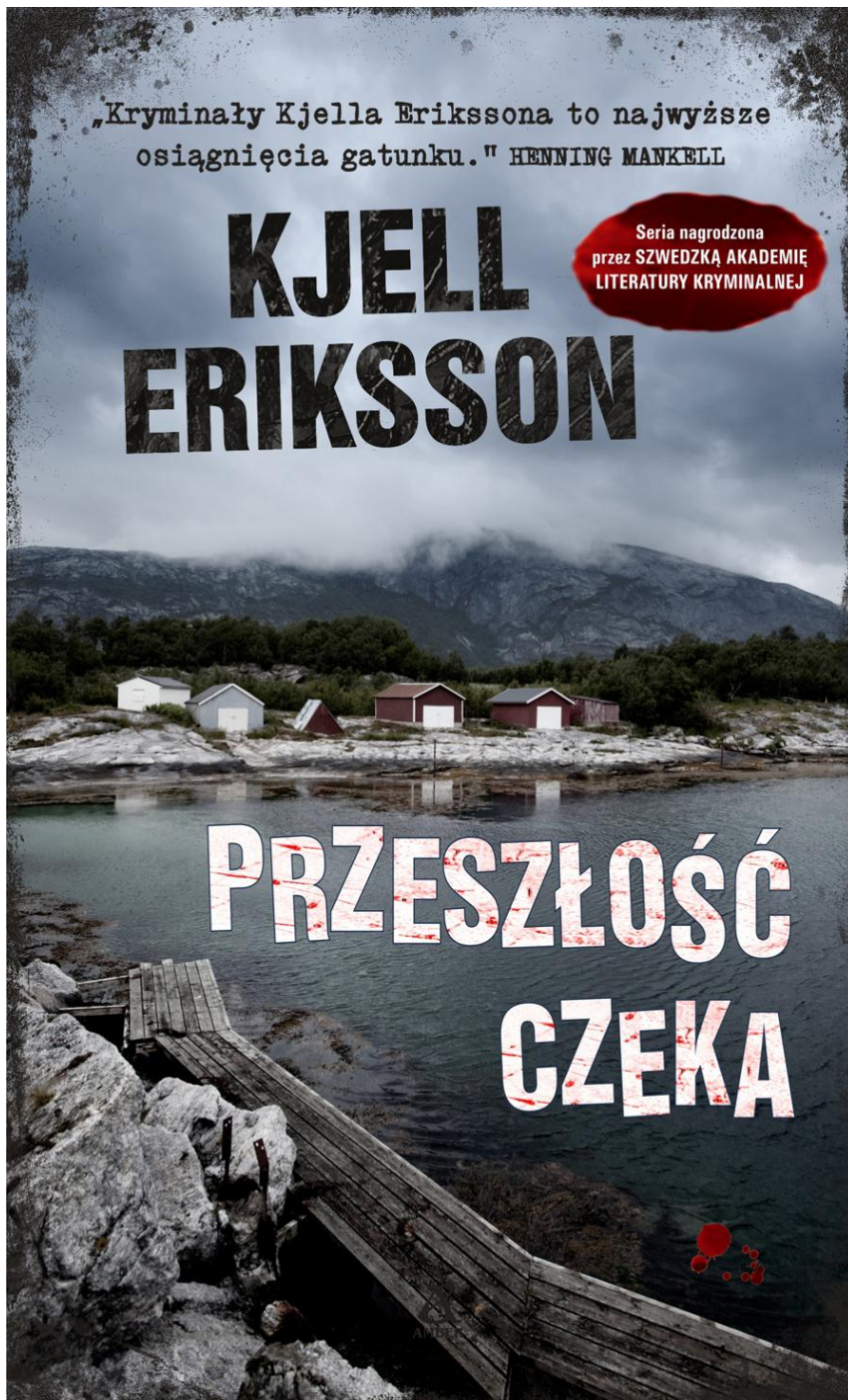


„Kryminały Kjella Erikssona to najwyższe osiągnięcia gatunku.” HENNING MANKELL

**KJELL
ERIKSSON**

Seria nagrodzona
przez SZWEDZKA AKADEMIE
LITERATURY KRYMINALNEJ

**PRZESZŁOŚĆ
CZEKA**



**KJELL
ERIKSSON**

**PRZESZŁOŚĆ
CZEKA**

Przetłum.
**MACIEJ NOWAK-KREYER
AGNIESZKA ZAJDA**



Redaktor serii

Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna

Jacek Złotnicki

Korekta

Hanna Lachowska

Anna Raczyńska

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce

© Tyler Olson/Hemera/Thinkstock

Tytuł oryginału

Öppen grav

Copyright © by Kjell Eriksson 2009

Published by agreement with Ordfronts Förlag AB,

Stockholm and Leonhardt & Høier Literary Agency A/S,
Copenhagen.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5794-5

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

juras@evbox.pl

Wiadomość nadeszła całkiem niespodziewanie. Bertram von Ohler miał już przecież osiemdziesiąt cztery lata, tracił siły, nogi czasem odmawiały mu posłuszeństwa, a drętwota rąk przysparzała problemów, zwłaszcza podczas kolacji. Wieczorne zawroty głowy stawały się coraz bardziej uciążliwe, więc mniej udzielał się towarzysko. Jednak wieczorki brydżowe pozostały świętością. Niektórzy sądzili, że ma przed sobą już niewiele czasu; szeptano o pogarszającym się stanie zdrowia.

Wśród tych niektórych byli jego dawni koledzy, chętnie obmawiający starego profesora i rywala, a także zwykli znajomi, z braku lepszego zajęcia rozpowszechniający niepotwierdzone plotki. Jednego dnia mówiono o chorobie neurologicznej, która wkrótce miała go pokonać, innym razem źródło problemów stanowił zaawansowany rak prostaty. W otoczeniu uczonego byli też tacy przyjaciele, którzy przysłuchiwali się wszystkiemu uważnie i czasem, dla podtrzymania napięcia, podrzucali jakiś szczegół.

Wszyscy brali udział w rozpowszechnianiu plotek z takim samym, źle skrywanym entuzjazmem. Zdawało się, że sam widok tego starca albo wieści, które zawsze płynęły w trakcie typowych jesiennych domysłów, natychmiast prowokowały do komentarzy na temat jego nieuchronnego zgonu.

Prawdziwych przyjaciół pozostało Ohlerowi niewiele. Część już opuściła ziemski padół, inni zniedołężnieli i trafili do domów opieki. Profesor pokrewnej dyscypliny, najwyraźniej dotknięty demencją, został odstawiony na boczny tor, do swojej rodzinnej posiadłości w Skanii. Tych kilku, z którymi Bertram nadal się spotykał, plotki irytowały.

– Już do tego przywykłem, od lat wiele osób próbowało wydrzeć mi zaszczyty i sławę, a teraz próbują tego samego z życiem – mówił spokojnie, słuchając uzaleń przyjaciół. Jednak w głębi duszy czuł smutek i rozczarowanie ludzką małościowością i złośliwością, czasem nawet bywał z ich powodu szczerze wściekły.

Pogodził się już z wieloma rzeczami. Porzucił dawne urazy, całą niesprawiedliwość, jakiej doznawał przez dekady, odeszła w pełną

wybaczenia niepamięć. Nawet docent Johansson, mieszkający zaledwie o rzut kamieniem, potrafił teraz zamienić kilka słów z dawnym rywalem. Całkiem niedawno dyskutowali o Obamie „i tym drugim facecie” – żaden nie chciał się przyznać, że zapomniał jego nazwisko. Profesor stał na chodniku, a docent, z grabiami w dłoni, po drugiej stronie ligustrowego żywopłotu.

Nawet wspomnienie żony, zmarłej przed wieloma laty, miało w sobie coś kojącego. Bertram von Ohler ukuł teorię, że tak naprawdę powinien być jej wdzięczny za swoje sukcesy, do których co prawda nie przyłożyła się bezpośrednio i świadomie – ale jednak. To właśnie ona przez ostatnich trzydzieści lat ich wspólnego życia czyniła je niewyobrażalną torturą.

Jak to możliwe, że tak cudowne zjawisko jak Dagmar zmieniło się w okropnego potwora? Konsultował się u swoich kolegów w nadziei, że ich akademickie doświadczenie pozwoli wyjaśnić jej zachowanie. Nie udało się jednak postawić diagnozy. „Niektórzy ludzie po prostu są wredni”, stwierdził pewien profesor psychologii, gdy Ohlerowi wymysknęło się, z jaką jędzą mieszka.

U Ohlerów każde śniadanie przypominało spacer po polu minowym: jeden fałszywy krok i pogodny poranny spokój rozpadał się w proch. Każda kolacja była jak walka w okopach, pełna zasadzek i snajperów, a w naprawdę złe dni wszystko urastało do istnego nalotu dywanowego złożonego z wyrzutów i podejrzeń.

Nie zdezerterował z małżeństwa – chociaż doradzały mu to nawet jego dzieci – ale kiedy tylko mógł, uciekał na wydział i zostawał tam aż do późnego wieczoru. Czasem nawet spał w kanciapie.

Być może właśnie nieobecność w domu, przy żonie, stanowiła podłoże jego sukcesów w dziedzinie medycyny. To kłótlivej i podejrzliwej Dagmar zawdzięczał sukcesy swoich badań i swoją profesurę, a także ukoronowanie kariery.

Wiadomość nadeszła późnym rankiem. Bertram von Ohler właśnie wrócił do domu po krótkim spacerze i szykował się do zjedzenia sałatki z makaronu, którą dzień wcześniej przygotowała mu Agnes, kiedy nagle zabrzączał telefon. Dzwonił profesor Skarp z Instytutu Karolinska.

Ohler znał go tylko przelotnie, poczuł się więc nieco zaskoczony,

gdy po krótkim wstępie Skarp zwrócił się do niego „bracie”, jakby byli członkami jednego zakonu, co wszak wydawało się raczej wątpliwe.

– Bracie, mam ogromny zaszczyt i szczęście donieść, że Profesor Emeritus Bertram von Ohler został w tym roku uhonorowany Nagrodą Nobla z dziedziny medycyny.

– To dla niego pewnie świetna wiadomość. – Tylko tyle zdołał wykrztusić Ohler, nie potrafiąc zestawić prostych faktów w koherentną całość.

– Co pan powiedział? – zapytał Skarp.

No, oczywiście, przecież Bertram von Ohler to ja, jak pocisk przemknęło mu przez głowę.

– Co pan powiedział? – wydobył z siebie jak echo.

Profesor Skarp wprawdzie dał sobie spokój z „bratem”, ale poza tym powtórzył całe zdanie słowo w słowo. Kiedy i tym razem nie usłyszał żadnej odpowiedzi, jedynie ciężki oddech, dodał jeszcze, że rozumie, iż to wiadomość wręcz przytłaczająca, nie żeby w ogóle się jej nie spodziewano, ale i tak bez wątpienia trudno ją natychmiast przyjąć do wiadomości.

– Profesorze von Ohler, drogi kolego... wszystko z panem w porządku?

– Nic mi nie jest, dziękuję. Właśnie miałem jeść makaron.

– Teraz to będzie musiało być coś bardziej odświętnego – stwierdził Skarp, śmiejąc się z ulgą.

– Muszę zaraz zadzwonić do dzieci. Oddzwonię do pana.

– Oczywiście. Bracie, z pewnością czeka cię teraz zalew telefonów i wizyt, więc rozsądnie będzie najpierw powiadomić najbliższych.

Jak wtedy, gdy ktoś umiera, pomyślał Ohler.

– Nie chce pan wysłuchać uzasadnienia werdyktu?

– Nie, dziękuję, myślę, że już zrozumiałem. A teraz, jeśli pan wybaczy...

Zakończywszy rozmowę, Ohler pośpieszył do toalety.

– Teraz odlewam się jako laureat Nagrody Nobla – powiedział na głos, starając się wydusić kilka kropel ze swojego pomarszczonego członka.

Zamiast zadzwonić do swoich dwóch synów, obu profesorów,

jednego w Lund, drugiego w Los Angeles, oraz do córki, kierownika badawczego w firmie farmaceutycznej w mieście, wyciągnął wtyczkę telefoniczną, szybko spałaszował resztę makaronu, wypił kilka łyków wody, a potem wyszedł z domu.

Dzień był słoneczny, więc tak jak się spodziewał, docenta Johanssona zastał w ogródku. Wmaszerowanie przez furtkę i zadzwonienie do drzwi wydawało się zbyt obcesowe, nie byli ze sobą w aż tak zażyłych stosunkach.

Docent wyglądał na szczęśliwego, stojąc z grabiami w dłoni, otoczony równoległymi rzędami liści. Tłumaczył kiedyś Ohlerowi, że liście należy grabić symetrycznie. Profesor domyślił się, że Johansson zamierza zebrać te rzędy w niewielkie schludne stosy.

– Dobrze, że nie ma dużego wiatru – zagaił Ohler i od razu uświadomił sobie, że nie była to zbyt mądra uwaga.

– W wietrzny dzień bym nie grabił – odparł docent.

– Oczywiście, że nie.

Docent kilka razy szurnął grabiami. Ohler uznał, że nie może dłużej zwlekać, i postanowił przejść do rzeczy.

– Przed kilkoma minutami otrzymałem bardzo dobrą wiadomość i postanowiłem podzielić się nią z panem pierwszym.

Johansson uniósł wzrok.

– Słucham?

– Jesteśmy przecież kolegami. Przez wiele lat dzieliliśmy laboratorium, uczestniczyliśmy we wspólnych projektach, dzieliliśmy sukcesy i rozczarowania. Nie muszę panu tego wszystkiego przypominać, ale to zrobię w taki dzień jak ten.

Docent przerwał pracę i oparł grabie o pień czerwonego buka.

– To niesamowite drzewo – stwierdził profesor. – Z pewnością najwspanialsze, jakie mamy w okolicy.

Johansson wydawał się zaskoczony. Nie wiadomo, czy z powodu niespodziewanej pochwały, czy tego, że profesor użył formy „my”, jak gdyby obejmując w posiadanie całe sąsiedztwo, w tym właściciela drzewa.

– Domyślam się, że liczy sobie tyle samo lat co dom – kontynuował Ohler.

Docent stanął w furtce. Teraz na jego pociągłej twarzy widać było zniecierpliwienie, może nawet lekką irytację, ale i tak próbował się uśmiechnąć, niepewny, jaki jest powód tej przymilnej ofensywy. Nie bardzo mu to wyszło. Uśmiech przypominał raczej niekontrolowany skurcz warg.

– Dostałem Nagrodę Nobla – oznajmił profesor.

Policzki zaczerwione od słońca i wiatru, przekrwione oczy, cienki wąsik, taki ledwie widoczny pasek nad otwartymi ustami, wąskie, przygarbione ramiona i delikatna klatka piersiowa – wszystko, co składało się na docenta, a wystawało ponad drewnianą furtkę – wyrażało najwyższe zdumienie i zarazem niedowierzenie.

– Nagrodę Nobla – powtórzył Johansson.

Profesor pokiwał głową.

– Z medycyny?

– Tak, a z czegoż by innego?

– Za IDD?

– Tak przypuszczam.

Skrótem IDD określali w swoim zespole badawczym odkrycie, które zostało zaprezentowane około dwudziestu lat temu, a za które profesor właśnie został uhonorowany.

– Przypuszczam?

– Nie spytałem Skarpa, kiedy do mnie zadzwonił. Akurat musiałem się odlać.

Johansson pokręcił głową, a Ohler dostrzegł, jak jego niedowierzenie zmienia się w pewność, i zrozumiał dlaczego. Profesor publicznie nie tylko nie przeklinał, ale nie używał też żadnych dosadnych określeń. Nigdy nie powiedziałby „odlać się” – nawet wśród rodziny – tylko „wysiusiać”.

Uważa, że postradałem rozum, uświadomił sobie i w tej samej chwili uderzyła go myśl, że może padł ofiarą jakiegoś okrutnego żartu. Przecież ledwie znał Skarpa, na tyle słabo, że nie potrafiłby z całą pewnością rozpoznać jego głosu. To zaś oznaczało, że mógł do niego zadzwonić ktoś, kto tylko udawał członka Akademii. Ktoś, kto był dobrze zaznajomiony z jego działalnością naukową i z procedurami wyboru laureata Nagrody Nobla, i po prostu chciał zrobić mu kawał,

zabawić się jego kosztem. Mężczyzna, który dzwonił, zwracał się do niego „bracie”, co stanowiło wskazówkę, że coś może być nie tak.

Nagła myśl, że może stał się ofiarą ponurego żartu, sprawiła, że poczuł zawroty głowy. Cały świat wokół niego zawirował. Aby nie stracić równowagi, chwycił się furtki, trochę obniżył na ugiętych kolanach, zgarbił i zamknął oczy. Rozbłyski pod powiekami świeciły jaskrawymi strugami, dzwoniło mu w uszach, a w ustach czuł delikatny posmak żelaza.

Kiedy atak minął i otworzył oczy, zobaczył, że Johansson wpatruje się w jego dłoń zaciśniętą na furtce z wyraźną dezaprobatą, tak jakby uznał ten gest za naruszenie swojej prywatności i własności. Mimo to Ohler nie odważył się puścić furtki.

– Proszę mi wybaczyć, ale czuję się słabo – powiedział. – Niewiele dziś jadłem.

Johansson milczał.

– Czy to mógł być żart? – spytał profesor. – Chodzi mi o ten telefon.

– Tak – odparł docent, a kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

– Sądzi pan, że mam problemy psychiczne?

– Oczywiście, że nie. Dlaczego miałbym tak sądzić?

– Bo pewnie pan myśli, że gadam głupoty. Ale przecież Skarp do mnie dzwonił!

Ohler wpatrywał się w docenta, któremu drgało jabłko Adama. Patrzył na pomarszczoną szyję skrywającą przełyk, tchawicę i arterię, która pompowała krew do mózgu. Widzę, jak połykasz swoje słowa, pomyślał z goryczą. Nie odważysz się mówić, bo obawiasz się, że wiesz albo za mało, albo za dużo. W ogóle się nie zmieniłeś. Przyszedłem tu, aby pokazać swoją chęć do podzielenia się zaszczytem, aby okryć blaskiem chwały cały zespół badawczy. Chciałem powiedzieć: „To nie jest tylko moja zasługa”, a spotykają mnie drwiny.

Profesor potrzęsnał furtką. Z uśmiechu docenta pozostał niewyraźny grymas.

Przecież zrobiłem to bez żadnego ukrytego motywu, ciągnął w duchu Ohler. Zjawiłem się tu spontanicznie. No bo cóż innego mógłbym

zrobić, poza beczelnym przeciwieniem swojego zachowania i komentarzy, żeby być przygotowanym, kiedy zadzwoni ktoś z Komitetu Noblowskiego. A może jednak, całkiem nieświadomie, stanowiło to efekt swoistej kalkulacji? Bo w myślach natychmiast sformułowałem pierwsze oświadczenie dla mediów: „Jestem oszołomiony i bez wątpienia bardzo wdzięczny”. A potem uczepiłem się czegoś, na czym mógłbym oprzeć własną doskonałość: „Najpierw udałem się do sąsiada, drogiego przyjaciela i kolegi po fachu, docenta Johanssona, aby podzielić się z nim radością, albowiem ta nagroda należy się nie tylko do mnie, dzielę ją z całym zespołem niestrudzonych, pełnych poświęcenia współpracowników. Bez nich byłbym nikim. Potem wróciłem do domu i zadzwoniłem do dzieci”. Właśnie tak mógłbym przedstawić swoją skromność, wyciskając przy tym łzy wzruszenia. Może powinienem wspomnieć o sałatce z makaronu?

Docent przerwał mu ten ciąg myśli.

– Jeśli to w ogóle był on.

– Znam go.

Teraz już nikt nie odbierze mu nagrody!

– A co z Fergusonem?

Alan Ferguson, amerykański badacz pracujący w Niemczech w latach osiemdziesiątych, uzyskał podobne rezultaty badań jak jego koledzy ze Szpitala Uniwersytetu w Uppsali. Byli tacy, którzy uważali jego dokonania za bardziej pionierskie i o włos wcześniejsze.

– Ferguson opierał się na wynikach naszych badań, dobrze pan o tym wie.

Docent uśmiechnął się półgębkiem.

– Zamierzam wspomnieć o Fergusonie – rzucił profesor.

– Będzie pan musiał wymienić całą listę nazwisk.

– Myślałem, że będzie pan zadowolony – powiedział Ohler. – Ale najwyraźniej się pomyliłem. Oczywiście, zamierzam podać całą listę nazwisk. W tym pańskie.

– Moje?

– A co w tym dziwnego?

Docent roześmiał się, a ten śmiech przypominał suchy kaszel perlicy. Wykrzywił usta w szyderczym grymasie.

Czy właśnie tak ma to wyglądać? – pomyślał Ohler, ale postanowił zrobić jeszcze jedno podejście. Przecież właśnie on był tym, który mógł i musiał pozostać wielkoduszny.

– Pańskie wysiłki były decydujące, obaj dobrze o tym wiemy. Dlaczego o tym nie oznajmić? Obaj jesteście starzy, ja w grudniu skończę osiemdziesiąt pięć lat, a pan wkrótce przekroczy osiemdziesiątkę. Możemy zakończyć ziemski żywot szybciej, niż sądzimy, więc po co to udawanie, po co takie przedstawienie? Wiemy, jak sprawy się mają. Nigdzie nie ma całkowitej sprawiedliwości, w każdym razie nie na tym świecie. To mógł być Ferguson, mógł być Johansson, ale okazało się, że to von Ohler.

– Von Oben.

– O co panu chodzi?

W uliczkę skręciła taksówka. Obaj patrzyli, jak powoli się zbliża, aby w końcu stanąć przy podjeździe domu Ohlera. Ktoś na tylnym siedzeniu wyciągnął rękę do przodu, aby zapłacić. Kierowca roześmiał się i wziął pieniądze. Mężczyźni przy furtce przyglądali się wszystkiemu z zapartym tchem. Docent, aby lepiej widzieć, pochylił się do przodu i oparł o furtkę, tak że jego dłoń prawie dotknęła ręki profesora. Nieświadomi takiej bliskości, niemal intymności, która przypominała tę sprzed dwudziestu, trzydziestu lat, kiedy ramię w ramię pochyłali się nad migocącym ekranem, diagramem czy raportem, teraz obserwowali, jak kierowca wychodzi z auta, nadal uśmiechnięty, i otwiera tylne drzwiczki.

Przymglone oczy Bertrama von Ohlera widziały tylko, że od taksówki oddzieliła się jakaś postać. Usłyszawszy jednak, że docent bierze głęboki oddech, uznał, że rozpoznał on pasażera.

– Myślę, że muszę się odlać – oznajmił docent, a profesor potraktował ten niespodziewany komentarz jak rękę wyciągniętą na zgodę, jak gest pojednania, co sprawiło, że zaczął łamać mu się głos.

– Doskonale, Gregor – powiedział. – Doskonale.

Kierowca podszedł szybkim krokiem.

– Pan Olon?

Zmieszany profesor kiwnął głową. Taksówkarz chwycił go za wolną rękę i potrząsnął nią energicznie, a drugą poklepał laureata Nobla po ramieniu. Jego szeroki uśmiech i w ogóle całe zachowanie

świadczyły o ogromnym podekscytowaniu i szczerzej radości.

– Dzień dobry – powiedział.

Pasażer, który stał z tyłu, teraz do nich dołączył.

– Chciałbym panu pogratulować w imieniu całego uniwersytetu.

Taksówkarz przypomniał mu o kwiatkach.

– Racja!

Kiedy Bertram von Ohler podsumowywał później ten dzień, gratulacje złożone na ulicy wyróżniały się niczym przepiękny obrazek. Najpierw hołd od ludu, uosobionego przez taksówkarza Andrew Kimonga, potem krwistoczerwone róże od środowiska akademickiego oraz potok słów rektora uniwersytetu, a na koniec potok szybko następujących po sobie wizyt i telefonów.

To była męcząca noc, w trakcie której ciągle budził się z niespokojnej drzemki, charakterystycznej dla osób spod znaku Strzelca – Ohler urodził się piętnastego grudnia. Tak w każdym razie wynikało z teorii głoszonej przez jego córkę Birgittę: Strzelec w nocy zaledwie drzemie, Byk śpi twardo, a Waga wczesnie wstaje. Sama była Wodnikiem, którego cechą charakterystyczną stanowiły intensywne marzenia senne.

Bertram czuł się nieco skonsternowany. Jego córka miała wyższe wykształcenie, była lekarzem, ale wciąż twardo trzymała się tej głupiej pseudowiedzy astrologicznej. Jedno do drugiego zupełnie nie pasowało.

Poza tym była lesbijką – twierdziła, że w czasach męskiej przemocy jest to nastawienie czysto obronne – i od dziesięciu lat dzieliła życie z pielęgniarką pochodzącą z Finlandii. Za którą Bertram, nawiasem mówiąc, nie przepadał. Może chodziło o jej fiński akcent? Liisa Lehtonen odnosiła sukcesy jako strzelec sportowy, zdobywając medale na licznych międzynarodowych zawodach.

Profesor uważał, że jeśli cokolwiek łączy się z przemocą, to na pewno broń palna. Birgitta twierdziła jednak, że chodzi wyłącznie o mentalne zrównoważenie energii psychicznej. Liisa była spod znaku Panny.

Ale pomimo tej całej astrologii, pomimo wścibiania nosa w jego sprawy, ciągłego udzielania mu porad dotyczących trybu życia, diety, ćwiczeń fizycznych, picia wina, otwierania okna w nocy i w ogóle

wszystkiego, pomimo tej wisienki na torcie w osobie Liisy z jej fińskim akcentem i zbrojownią i wreszcie pomimo bezdzietności z wyboru – Bertram von Ohler kochał córkę.

Była najmłodsza z rodzeństwa i dlatego najbardziej ucierpiała z powodu zmiennych nastrojów matki i jej coraz większej złośliwości. Dwaj bracia, starsi od niej o dziesięć i trzynaście lat, wyprowadzili się z domu tak szybko, jak tylko się dało, dzięki czemu uniknęli najgorszego zamętu.

Pierworodny Ohlera otrzymał na chrzcie imię Abraham, co było ustępstwem wobec jego matki. Studiował w Lund i tam już pozostał, nawet zaczął mówić ze skańskim akcentem.

Carl, który nosił imię po dziadku, przeprowadził się do studenckiego mieszkania należącego do stowarzyszenia kalmarskich studentów. Ohlerowie mieli pewne związki z tym miastem – prapradziadek profesora pochodził z rodziny aptekarzy z Kalmaru.

Carl, podobnie jak brat, ukończył medycynę i zaliczywszy kilka szwedzkich szpitali, ostatecznie wyładował w Kalifornii, gdzie odnosił umiarkowane sukcesy, prowadząc badania nad cukrzycą. Zdaniem ojca wybrał dziedzinę całkowicie bezwartościową, jednak Bertram zachowywał tę opinię wyłącznie dla siebie.

Był dumny z dzieci i jak na dobrego ojca przystało, chętnie się nimi chwalił. Pamiętał o ich urodzinach, a także o urodzinach ich żon i o urodzinach wnuków. Abraham miał troje dzieci, Carl dwoje. Profesor nie miał jednak pojęcia, kiedy wypadają urodziny Liisy.

Od kiedy jego dzieci opuściły dom, nigdy nie musiał wysyłać im pieniędzy, wyjąwszy opłaty za studia. W ogóle nigdy nie rozmawiali o pieniądzach. Pieniądze po prostu były, od zawsze. Od siedemnastego wieku.

Protoplasta szwedzkiej gałęzi rodu Ohlerów pochodził z Hanoweru. Axel Oxenstierna najął go, aby budował administrację Mennicy Królewskiej. Najwyraźniej była to lukratywna posada, bo w ciągu zaledwie dekady Heinrich Ohler zgromadził pokaźny majątek. A fakt, że królowa Krystyna podarowała mu kilka posiadłości na Olandii i w pobliżu Vastervik, z pewnością ułatwił bogacenie się.

Na takiej właśnie glebie wyrosło drzewo genealogiczne Ohlerów, a

jedną z jego gałęzi stanowili farmaceuci i lekarze. Istniały także gałąź duchownych, gałąź oficerów oraz gałąź rolników.

Bertram z taką samą ochotą, z jaką mówił o swoich dzieciach i wnukach, potrafił, nie bez dumy, snuć opowieść o ubogim Heinrichu, który przybył do Sztokholmu z jedną pustą ręką. W drugiej ręce ścisnął sakwę.

Teraz, leżąc w swoim łóżku, którego wezgiem było łupem wojennym z Bratysławy, profesor dyskutował z wybranymi reprezentantami owego rozłożystego drzewa i doszedł do wniosku, że Nagroda Nobla przyćmiła wszystko, co osiągnęli jego protoplaści od chwili wyniesienia do stanu szlacheckiego: tony medali i wyróżnień oraz członkostwa w licznych towarzystwach naukowych.

Z tym wnioskiem zgodziłby się nawet jego ojciec Carl, skonstatował Bertram i była to jego ostatnia myśl, zanim o czwartej nad ranem w końcu zasnął.

Głos nie przypominał niczego, co słyszał do tej pory. Był ostry i napastliwy, ale jednocześnie niespokojny.

Mówił po szwedzku, bez jakiegoś wyraźnego dialektu albo akcentu – Ohler zawsze miał ucho do takich spraw – jednak wydawał się obcy do tego stopnia, że gdy kilka godzin później opowiadał córce o całym zdarzeniu, zawahał się, kiedy spytała, czy dzwonił cudzoziemiec.

– W pewnym sensie – odparł. – Może to jakiś imigrant, ktoś, kto mieszka tutaj od dawna.

– Może to ktoś, kto starał się zmienić głos? – zasugerowała Birgitta. – Ktoś, kogo znasz.

– Kto to mógłby być?

– Zadzwoń na policję?

Bertram von Ohler pokręcił głową ze śmiechem, chociaż pomyślał o tym samym, bo przecież wczesnym rankiem, jeszcze półprzytomny, odebrał telefon, który zawierał pogróżki tak realne, jak gdyby stanął przed nim ktoś z bronią wzniesioną do zadania ciosu.

– To coś, czego należało się spodziewać – rzekł.

– Ale co on dokładnie powiedział? Na pewno czegoś nie pominąłeś? – Birgitta wyraźnie sugerowała, że może coś źle zrozumiał.

– Nie – zapewnił Bertram. – Powiedział, że zadba, żeby ktoś taki jak ja nigdy nie dostał tej nagrody, a potem jeszcze rzucił parę wulgaryzmów.

– Jakich?

– Nie chcesz tego słuchać.

– Oczywiście, że chcę.

– Ordynarne słowa nigdy nie zasługują na to, żeby je powtarzać.

Zresztą tak naprawdę to bez znaczenia.

Tak naprawdę właśnie te „ordynarne słowa” najbardziej wyprowadziły go z równowagi. Nie widział jednak powodu, aby wciągać w to jeszcze córkę. Pożałował, że w ogóle wspomniał o całym wydarzeniu, i skierował rozmowę na inny temat.

Powiedział, że przyszła Agnes, chociaż miało jej dzisiaj nie być.

Oczywiście pogratulowała mu, ale w ten swój powściągliwy sposób, jak potrafi tylko ktoś z wyspy Roslag, jak gdyby Nagroda Nobla wcale nie była czymś wielkim, nieważne, czy w Söderboda, czy w Norrboda. Nie, ona podeszła do sprawy praktycznie. Stwierdziła, że dom trzeba teraz może nie tyle odkazić, ile zająć się nim znacznie gruntowniej, niż do tej pory pozwalał Ohler. Zagroziła, że ściągnie do pomocy swoją siostrę Gretę.

– Wtedy dałem jej wolną rękę, byle tylko nie sprowadzała tu tej zmyry.

Birgitta roześmiała się serdecznie i profesor zrozumiał, że na razie zagrożenie minęło. Aby jednak mieć całkowitą pewność, kontynuował:

– Agnes zamówi nowe zasłony do salonu i biblioteki i, jak zapowiedziała, „wypucuje” wszystkie podłogi. Potem przyjdzie kolej na srebra.

– Jesteś szczęściarzem, że ją masz.

– Oczywiście – potwierdził profesor.

– To twoje oświadczenie dla telewizji było bardzo miłe. Ale musisz używać grzebienia, włosy sterczały ci na wszystkie strony.

– Wiało.

– To dlaczego nie wpuściłeś ich do domu?

– Dzwoniła Agnes i zabroniła kogokolwiek wpuszczać. Gdyby akurat nie była w Gräsö u siostry, toby tutaj przyszła i sama zorganizowała konferencję prasową.

Ponownie nagrodzono go śmiechem. Czuł potrzebę, aby utrzymywać córkę w dobrym nastroju, może w ramach zadośćuczynienia za to, że nie powiedział całej prawdy o tym porannym telefonie.

– Ale bardzo mi się podobało, że podkreśliłeś, że nie byłeś sam. Byłem sam, pomyślał.

– Zastanawiasz się, co powiedziałyby matka? – spytała Birgitta.

Profesor nie widział powodu, dla którego miałby spekulować na ten temat.

– Czy w ogóle za nią tęsknisz?

– Nie.

Może teraz też powinien powiedzieć coś ładnego, nawet gdyby nie była to prawda? Wiedział, że jeśli chodzi o matkę, Birgitta czuje się

rozdarta.

– Wiesz, jacy są tym podekscytowani u mnie w pracy? – ciągnęła, najwyraźniej niezakłopotana lakoniczną odpowiedzią ojca. – Angerman zadzwonił aż z Mediolanu, żeby pogratulować, chociaż sędzę, że myśli przede wszystkim o firmie, bo powiedział coś takiego, że dobrze, że zostałam przy panieńskim nazwisku, bo to może nam się przydać w kontaktach z klientami, zwłaszcza w USA. Zaprosił mnie do Bostonu w przyszłym tygodniu.

– Pigularze – mruknął profesor.

– Gdyby byli chociaż nimi – westchnęła Birgitta.

W zwykłych okolicznościach zapytałby córkę, co dokładnie ma na myśli, jednak nurtowała go ta niepotrzebna wzmianka o Dagmar.

W ogóle o niej nie myślał, nawet w dzień taki jak ten. Podczas nocnych oględzin drzewa genealogicznego nie pojawiła się w jego myślach nawet na sekundę. Jak gdyby ją wymazano. Nigdy wcześniej tak wyraźnie tego nie odczuwał.

– Nie planuję zapraszać żadnych jej krewnych – oznajmił niespodziewanie ostro.

– Ależ tato! Nawet Dorothy?

Wiedział, że córka ma kontakt z Dorothy Wilkins, wdową po bracie Dagmar, Henriku. Profesor gardził nią i był przekonany, że utrzymuje znajomość z jego córką wyłącznie po to, aby na bieżąco dostawać informacje o klanie Ohlerów, zwłaszcza jego patriarsze. Nigdy jednak nie wypowiadał się na jej temat i teraz też postanowił spuścić na nią zasłonę milczenia.

Birgitta westchnęła.

– Ona jest już stara – powiedziała.

– Żyje tylko po to, żeby zobaczyć moją śmierć – odparł. – Ma w sobie coś z sępa.

– To nieprawda! – zaprotestowała córka. – Teraz możesz zachować się szlachetnie.

Nigdy jej nie zaproszę, pomyślał, coraz bardziej zawzięty. Uświadomił sobie, że musi zakończyć rozmowę, zanim całkiem wymknie się spod kontroli.

Dorothy znała go najdłużej ze wszystkich, już od jego czasów

studenckich w latach czterdziestych. Była córką jednego z przyjaciół jego ojca, który w maju 1945 roku, tuż po zakończeniu wojny, przyjechał do Uppsali z Anglii. Może wpadł na pomysł, że wyda ją za młodego i obiecującego Bertrama? Plan jednak nie wypalił z racji braku zainteresowania stron, w każdym razie ze strony młodego Ohlera.

Dorothy wróciła do Anglii, ale później przyjechała znowu i poznała brata Dagmar. Przypadli sobie do gustu i po zaledwie kilku miesiącach ona i Henrik się pobrali.

Wcześniej owdowiała i bezdzietna, dopóki żyła Dagmar, brała udział we wszystkich rodzinnych zjazdach Ohlerów, ale po śmierci szwagierki zjawiała się coraz rzadziej. Minęło już z dziesięć lat, od kiedy ostatni raz odwiedziła ten dom.

Czy teraz powinien pozwolić jej tu wrócić? Nigdy! Nawet Nagroda Nobla i duża porcja szlachetności nie mogły go skłonić do zmiany zdania.

– Muszę trochę odpocząć – oznajmił, a tego argumentu Birgitta nie mogła odrzucić, bo często nalegała, żeby trochę zwolnił tempo. – Po południu zamierzam się spotkać z kilkoma dziennikarzami. Urządziłem to tak, żeby mieć dzisiaj tylko jedno spotkanie z prasą.

– Chcesz, żebym wpadła?

– To nie będzie potrzebne. Mam Agnes. Ona wystarczy za trzy osoby. Poza tym spotkanie odbędzie się w szpitalu. Chciałem, żeby tak było,

Kiedy skończył rozmowę, zastanawiał się, czy nie był w stosunku do córki zbyt oschły. Chciała dobrze i jako jedyna poza Agnes naprawdę się nim przejmowała. Synowie okazywali mu tylko formalne zainteresowanie. Dzwonili od czasu do czasu, pytali o „sytuację”, przekazywali parę nowinek z pracy albo z życia rodzinnego i na tym koniec. Nie dyskutowali z nim na tematy naukowe, nie pytali o radę. Prawdopodobnie jego wiedzę uważali za mocno przestarzałą. Ani Abraham, ani Carl nie okazywali ojcu synowskich uczuć, nawet pośrednio. Nie dziwiło go to ani nawet szczególnie nie martwiło. U Ohlerów tak już było.

Chociaż sam był jedynakiem, rodzice nigdy go nie rozpieszczali. Wręcz przeciwnie. Ojciec, Carl, wyznaczał kary cielesne, a matka,

Lydia, je wymierzała, aby wychować Bertrama na przyzwoitego syna i obywatela. „Przyzwoity” i „stosowny” były ulubionymi określeniami ojca.

Bertram nie miał żalu do rodziców. Takie były czasy. Nie umieli inaczej. Kiedy sam został ojcem, kary cielesne zastąpiono już innymi metodami wychowawczymi. I dlatego nigdy nie uderzył własnych dzieci.

Światło słońca wpadało przez okna wychodzące na południowy wschód, ukazując gabinet starego człowieka. Stosy książek i teczek, starych, w depresyjnych odcieniach brązu, zagracających kilka bocznych stolików i otoczonych tragiczną aurą zapomnienia. Szklane drzwi książkowych regałów nie były zabrudzone nawet przy uchwytych, bo od dawna nikt nie zaglądał do zgromadzonych tam dzieł z zakresu medycyny. Po matowych szybach łaziły tylko muchy, pozostawiając swoje ślady.

Wypchany, wyleniały jastrząb – prezent od kolegów z kliniki na sześćdziesiąte urodziny – zwieszał głowę ze znużeniem, a jego oczy utraciły dawny blask. Dopiero po wielu latach Ohler zrozumiał delikatną złośliwość związaną z podarowaniem mu właśnie tego ptaka, pozostawił go jednak na grzędzie nad barkiem, w którym zostały już tylko samotna butelka porto i prawie pusta butelka koniaku.

Przemknęło mu przez myśl, że może powinien poprosić swojego starego przyjaciela Hjalmara, aby rzucił okiem na jastrzębia. Ale potem przypomniał sobie, że przecież czytał jego nekrolog. Wypychacz zwierząt umarł. Kiedyś się spotykali, by rozmawiać o różnych okazach.

Postanowił zaciągnąć zasłony, lecz zamiast tego obszedł biurko, usiadł na porzuconym krześle dla gościa – Bóg jeden wie, kiedy i kto z niego ostatnio korzystał – i przyjrzał się pokojowi z odmiennej perspektywy. Obejrzał jastrzębia, który z tego miejsca wyglądał jeszcze mizerniej.

Oto gabinet laureata Nagrody Nobla, miejsce, w którym przez całą karierę zawodową rozważał swoje teorie, popadał w rozpacz i napełniał się optymizmem, gdzie się przechadzał, klepał dłonią w blat w chwilach olśnienia albo dotykał głowy, gdy uświadamiał sobie, że tok rozumowania został przerwany.

Właśnie tak to sobie wyobrażał. Oczyma duszy widział gabinet, cały dom, przekształcone w muzeum. Byłby tutaj zawsze, nawet jeśli nie w postaci fizycznej, to przynajmniej za pośrednictwem przedmiotów, sposobu, w jaki je poukładano. Pomysłowość, oryginalność i intelekt zabłysłyby, tyle że pastelowymi barwami. Ohler nie musiał krzyżeć. Wystarczyło wskazać wszystkie gałęzie drzewa genealogicznego oprawionego w ramki pod szkłem. Drzewo wykonał jego ojciec w latach czterdziestych. Myśl, władza i słowo boże pod postacią członków parlamentu, urzędników i pastorów; nauki przyrodnicze oraz systematyka, za które odpowiadali farmaceuci i lekarze – Juliusz von Ohler pomagał Linneuszowi; dobrobyt i postęp w rolnictwie, stanowiące wkład szlachty – w Szwecji w sprawach agrarnych szczególną aktywnością wykazywał się Gustaf von Ohler. Całej konstrukcji bronili wojownicy Ohlerowie, walczący pod Narwą, w Kopenhadze i na fińskich wyspach.

Wszyscy tutaj byli – niczym delikatnie wygięte listki składające się na misterną koronę drzewa. Sam Bertram widniał w prawym górnym rogu planszy. Kiedy powstawała, stanowił jeszcze niezapisaną kartę. Teraz został laureatem Nobla.

Drzewo genealogiczne mówiłoby samo za siebie. Agnes musiałaby tylko czyścić szkło i odkurzać ramę. Zaraz, czy tablica nie jest lekko przekrzywiona?

Agnes powinna sprzątać tylko z grubsza, kontynuował rozmyślania, nie jakoś nazbyt starannie. Tak, żeby panował lekki bałagan. Właśnie tutaj, w gabinecie, będzie się spotykać z hordą dziennikarzy, kiedy już zaczną przybywać. Przyniesie tacę z filiżankami, imbrykiem i talerzem herbatników, postawi na stoliku, zgrabnym meblu, który jakiś krewny przywiózł aż z Chin, i będzie udawał, że jest zajęty, że wciąż nie ma czasu opuścić gabinetu. Nawet w jesieni życia, kiedy jego współpracowników już pochowano albo oddano do domów opieki, Bertram von Ohler nadal jest aktywny.

Uśmiechnął się, rozbawiony własną dziecinną próżnością. Czy Nagroda Nobla nie jest wystarczająco dobra sama w sobie? Po co jeszcze taki mentalny teatrzyk?

W domu docenta Johanssona była czterometrowa przeszklona wieża, w której hodował rośliny lubiące słońce. Zimą dzięki termostatowi utrzymywała się tam temperatura odpowiednia dla śródziemnomorskiej flory, mniej więcej dwadzieścia stopni Celsjusza. Docent najbardziej dumny był ze wspaniałego drzewa oliwkowego.

Z wieży miał też dobry widok na domy sąsiadów. Częściowo skryty za listowiem mógł obserwować spokojne życie okolicy.

Często wypijał tam poranną kawę, czytał gazetę i się krzątał. Robił tak i tego poranka. Na pierwszej stronie „Upsala Nya Tidning” pisano, rzecz jasna, tylko o Nagrodzie Nobla.

Docent Johansson mieszkał pod numerem siódmym, a profesor von Ohler pod trzecim. Dom znajdujący się między domami tych dwóch uczonych należał do humanisty Torbena Bundego, badacza literatury i publicysty, który zabawiał mieszkańców Uppsali artykułami publikowanymi w miejscowych gazetach. Omawiał w nich najrozmaitsze kwestie – na przykład dlaczego dzwony w kościele Vaksala nastrojone są w skali durowej, a te w kościele Świętej Trójcy w skali molowej – albo przypochlebiał się tym przedstawicielom prowincjonalnej śmietanki towarzyskiej, którzy akurat mieli jakiś ciekawy obraz albo z którymi po prostu grał w brydża.

Jednak na jego publicystykę składały się przede wszystkim bardzo poważne recenzje książek, najczęściej takich, o których mało kto słyszał, a jeszcze rzadziej czytał.

Dla czytelników pozostawało tajemnicą, dlaczego redaktorzy rok po roku puszczały do druku te elaboraty. Niektórzy utrzymywali, że stanowi to element całkiem świadomej taktyki. Za sprawą owych tekstów umacniał się bowiem wizerunek Torbena Bundego jako głupca i szarlatana, chodziło więc o to, aby inni bawili się jego kosztem. Jakkolwiek by na to spojrzeć, drukował w dziale *Kultura i rozrywka* i świetnie pasował zwłaszcza do tej drugiej kategorii.

Niewtajemniczeni w kunsztowne akademickie intrygi, tacy jak dobre dusze przeszczepione do miasta z Östervåla albo Lycksele,

przyglądali się wszystkiemu ze zdziwieniem.

Docent Johansson właśnie obserwował Bundego i był przekonany, że literaturoznawca spod piątki zmierzy się za chwilę z poważnym problemem. Wyjął gazetę ze skrzynki pocztowej przy ulicy, rozłożył ją i zastygł jak sparaliżowany. Najwyraźniej właśnie dotarła do niego informacja, że sąsiad dostał najbardziej prestiżową nagrodę naukową świata.

Jak Bunde na to zareaguje? Wyśle kwiaty, jak zrobiło już wielu do tej pory? Za drogo. Odwiedzi profesora? Absurdalny pomysł, bo jeszcze nigdy do czegoś takiego nie doszło. Zadzwoni? Mało prawdopodobne, bo Bunde ma problemy ze słuchem. Napisze hołdowniczy artykuł? Jeszcze mniej prawdopodobne, bo pomimo bezprzykładnej pewności siebie na pewno ma świadomość, że akurat na tej dziedzinie nauki kompletnie się nie zna.

A może zbędzie wszystko milczeniem? Jeżeli któryś ze znajomych wspomni o całej sprawie, uśmiechnie się tylko, pokiwa głową i wymamrocze coś pobłażliwego, coś, co można zinterpretować na wiele sposobów.

Gdyby nie okazał ani krzty zainteresowania pławieniem się w blasku padającym teraz na całą ulicę, w elegancki sposób zakwestionowałby wybór komisji noblowskiej, jednocześnie szlachetnie nie mówiąc niczego niepochlebnego. Może tylko wymknęłoby mu się coś o podupadającym zdrowiu profesora.

Docent w swoim punkcie obserwacyjnym wyczuwał, że w Bundem zawrzało. Po otrząśnięciu się z pierwszego szoku spojrzął ku domowi Ohlera, a w jego oczach było nieskrywane oszołomienie, jak gdyby dopiero teraz po raz pierwszy dostrzegł ten budynek.

Johansson pozostał w wieży. Tego ranka na zwykle sennej uliczce z pewnością zapanuje większe ożywienie. Od samego rana kurierzy przywozili kwiaty, a ciekawscy gapie raz po raz z wolna przejeżdżali samochodami koło domu Ohlera. Gospośia profesora, pracująca u niego, odkąd docent sięgał pamięcią, ma pewnie sporo zajęcia przy ustawianiu wazonów.

Zatrzymała się kiedyś na chodniku pod domem Johanssona, chwalać jego rośliny, a może komentując pogodę czy jakieś zdarzenie z

codziennego życia. Innym razem, ładnych parę lat temu, podarował jej kilka fioletowych tulipanów, które podziwiała wiosną.

– Jest pan miłym człowiekiem, panie docencie – powiedziała wtedy, biorąc od niego paczkę z cebulkami.

Zrozumiał, że z ust Agnes Andersson rzadko padają pochwały. A może stanowiło to również zawołaną krytykę profesora? Czy przypadkiem mocniej nie zaakcentowała słów „miłym człowiekiem”? Chętnie by w to uwierzył.

Teraz dostrzegł ją w gabinecie profesora na piętrze. Odsuwała ciemnobrązowe zasłony, otwierała okna i klinowała je, aby pozostały szeroko otwarte. Johansson próbował uśmiechnąć się sarkastycznie na myśl o daremności prób wywietrzenia wszystkiego, co stare w domu Ohlera. Nie był to jednak uśmiech, a raczej grymas, który wyrażał odczuwane przez niego przygnębienie.

Powinien czuć dumę, bo jako osoba biorąca udział w przełomowych badaniach projektu IDD mógł sobie przypisać część zasług związanych z Noblem. Jednak na prawdziwe uznanie nie miał najmniejszej szansy. Dwadzieścia dwa lata temu – pamiętał, że to był majowy czwartek, a na obiad jak zwykle podano grochówkę – przeczytał w tygodniku „Lancet” trzydziestostronicowy artykuł przedstawiający sensacyjne odkrycie i zauważył, że pominięto w nim jego nazwisko.

Dekady harówki, a został pominięty. Niewyobrażalne upokorzenie. Tak jakby miejsca starczyło tylko dla jednego człowieka. Tego, na którego padł cały blask, który odbierał telegramy z gratulacjami i telefony od bliskich i dalszych znajomych, a teraz dostał Nagrodę Nobla.

Tamtego wiosennego dnia całemu światopoglądowi docenta Johanssona zadano poważny cios. Od dawna zdawał sobie sprawę z istnienia akademickich machinacji, ciągłych przepychanek, podgryzania i wymanewrowywania kolegów, walki o fundusze, podczas której wszystkie chwytły były dozwolone. Jednak wtedy uderzyło to w niego osobiście z taką mocą, że postawiło pod znakiem zapytania wszystkie jego osiągnięcia naukowe, całą karierę. Zniewagę wynikającą z pominięcia nazwiska odczytał również jako oznakę ogólnej zgnilizny społecznej.

Tamtego dnia przestał ufać czemukolwiek i komukolwiek. I nigdy

więcej nie jadł grochówki. Ta zupa, razem z towarzyszącymi jej szwedzkimi naleśnikami, stała się dla niego symbolem zakłamania świata.

Lata pozostałe do emerytury upłynęły mu w wielkiej apatii. Cały jego entuzjazm zniknął. Pracował na jałowych obrotach.

Wykłady, które wygłosił w Getyndze, Hamburgu i Berlinie, były jedyną okazją, kiedy mógł doświadczyć odrobiny słodczy zwycięstwa. To Ohler miał jechać do Niemiec, ale umarła mu żona – w momencie nader dogodnym dla docenta. Johansson pojechał w zastępstwie i otrzymał od niemieckich kolegów wyrazy uznania jego osobistych zasług. Z jednym z nich do tej pory utrzymywał kontakty i mógł być wobec niego całkiem szczery. Rozmowy i korespondencja z Horstem Bubbem stanowiły swego rodzaju zawór bezpieczeństwa, pozwalający spuścić nadmiar pary, kiedy ciśnienie niebezpiecznie wzrastało.

Horst zadzwonił także dzisiaj, wcześniej rano – chociaż ostatnimi czasy telefonował tylko w urodziny docenta – i próbował go pocieszyć. Niemiec, który piętnaście lat pracował z Fergusonem w Instytucie Maxa Plancka, doskonale rozumiał, co Johansson teraz przeżywa.

Rozmawiali głównie o Fergusonie, teraz już będącym na emeryturze, który mieszkał w Vermont i, zdaniem Horsta, czuł się bardzo urażony. Docent miał świadomość, że przyjaciel, obdzielając rozgoryczeniem kilku badaczy i w ten sposób niejako je rozcieńczając, chciał złagodzić jego własne rozczarowanie.

Bubb wspomniał też o artykule, który miałby się ukazać w jakimś opiniotwórczym piśmie i zawierać pośrednią, ale bardzo wyraźną krytykę wyboru laureatów Nagrody Nobla. Twierdził, że inicjatorem tego pomysłu jest Wolfgang Schimmel, wpływowy doktor z Monachium, który planuje zebrać wokół siebie sporo znanych postaci ze świata nauki.

Pomimo ogromnej frustracji Johanssona w ogóle nie poruszyła tyrada niemieckiego kolegi o dziejącej się właśnie niesprawiedliwości. Czuł się tym wszystkim już zmęczony i chciał, żeby noblowska gala dziesiątego grudnia już minęła, żeby cały szum wokół laureatów ucichł, a Ohler stał się tylko nazwiskiem, nie sensacją dnia, jednym z wielu noblistów, o którym po latach będą pamiętać wyłącznie historycy nauki.

Ohler nie jest Einsteinem, Bohrem ani Skłodowską-Curie, którzy dzięki swoim przełomowym dokonaniom na trwałe zapisali się w powszechnej pamięci, więc niech to wszystko już przeminie. Tak właśnie myślał, siedząc w swojej wieży.

– Niech to wszystko przeminie, a my umrzyjmy – powiedział na głos.

Dokładnie w tej chwili drzewko cytrynowe odpowiedziało mu, upuszczając liść.

Tuż przed dwunastą ktoś zadzwonił do drzwi docenta, co było zdarzeniem wprawdzie nie sensacyjnym, lecz z pewnością nietypowym. Zapewne wiązało się z wizytą sprzedawcy systemów alarmowych.

Johansson był akurat w kuchni, przygotowując swój typowy obiad: jajecznicę, parę kawałków pikli i kanapkę z serem. Menu niezmiennie od przejścia na emeryturę.

Po pierwszym dzwonku rozległ się kolejny, dłuższy i bardziej przenikliwy.

Docent był w rozterce. Zastanawiał się, czy powinien dokończyć smażenie jajek, czy może odłożyć patelnię i otworzyć drzwi. W rezultacie nie zrobił ani jednego, ani drugiego, tylko stał z łopatką w dłoni, a jajka zmieniały się w niejadalne suche łuski.

Kiedy spojrzał na przypalone resztki, pomyślał, że to dobra ilustracja polityki władz Uppsali. W innych miastach najpierw prowadzi się dyskusje, następnie podejmuje decyzje i na koniec wprowadza je w życie. A władze Uppsali stoją tylko przy patelni z łopatką w dłoni. I tak rok po roku.

Z patelni zaczęło dymić, więc wyłączył palnik, zdjął fartuch i pośpieszył do przedpokoju.

Wyrzął przez wizjer: Torben Bunde, wyraźnie zniecierpliwiony, intensywnie wpatrywał się w drzwi. Docent poczuł się, jakby to sąsiad patrzył teraz na niego, a nie na odwrót. Bunde podniósł rękę i znowu zabrzmiał dzwonek. Teraz, gdy Johansson już wiedział, kim jest gość, dźwięk wydał mu się jeszcze bardziej natarczywy.

Wie, że jestem w domu, pomyślał. Trzeba więc chwycić byka za rogi. Zdjął łańcuch i otworzył drzwi.

– Czy tak to teraz ma wyglądać?! – wykrzyknął Bunde zamiast powitania.

Doktor nauk humanistycznych ubrał się w coś, co, jak sądził docent, kiedyś nazywano bonzurką, w każdym razie w czasach, gdy język francuski był w modzie.

Twarz miał jaskrawoczerwoną, a jego oczy ciskały błyskawice.

Zamaszystym gestem wskazał w stronę swojego domu i tupnął o kamienny chodnik.

– Co pan ma na myśli? – spytał Johansson.

Bunde machnął ręką.

– Mężczyzna – wykrztusił. – Jakiś mężczyzna się czai z siekierą.

– Na pańskim podwórku?

Dziwnie się czuł, rozmawiając z Bundem w taki sposób. Nie przeszkadzało mu pomijanie grzecznościowych form w kontaktach międzyludzkich, ale mimo wszystko miał wrażenie, że coś jest nie tak.

– Nie widziałem dokładnie, czy był na moim czy na pańskim podwórku. – Bunde najwyraźniej również uznał to niespodziewane spotkanie z sąsiadem i przeciągającą się rozmowę za coś niebywałego, bo nagle się zawahał. – A może u Lundströma, czy jak tam on się nazywa, wie pan, tego nowego.

Alexander Lundquist sprowadził się zaledwie pięć lat temu i dlatego przyglądano mu się z pewną podejrzliwością. Nikt nie wiedział, jakie ma źródła dochodów, ale mówiono o działalności wydawniczej. Bunde, którego dom sąsiadował z domem Lundquista, sugerował, że przypuszczalnie chodzi o pornografię.

– Rozumiem – rzekł docent, nie bardzo wiedząc, jak powinien się odnieść do całej sytuacji.

– Czy tak to teraz ma wyglądać? – powtórzył Bunde. – Tak, że całe tłumy będą biegać po krzakach, pismacy i ci wszyscy paparazzi?

– Reporterzy i fotografowie zwykle nie chodzą z siekierami. Może to ktoś, kto pracował na podwórku Lundquista?

– Właśnie! Jego podwórko wygląda jak komunalne wysypisko śmieci.

Wszystko, co miało jakiś związek ze sprawami miasta, łącznie z przetwarzaniem odpadów, Bunde opatrywał przymiotnikiem „komunalny”.

– Kolejny powód, żeby kogoś wynająć – odparł docent, znajdując w tej rozmowie nieoczekiwaną przyjemność. – Jestem pewien, że coś o tym wspominał.

– Rozmawialiście? – Bunde był szczerze zdumiony.

– Tylko chwilę – powiedział docent.

– Doprawdy?

– A może widział pan samego Lundquista?

– Bardzo mało prawdopodobne – odparł Bunde z szyderczym uśmiechem. – Nigdy wcześniej nie zjawiał się na podwórzu.

Docent musiał się z nim zgodzić.

– A co do tamtego człowieka, czy podszedł pan do niego i zapytał, co robi?

Bunde pokręcił przecząco głową.

– Wątpię, żeby teraz, jak pan to określił, „całe tłumy biegały po krzakach” – rzekł Johansson i spytał: – Był już pan pogratulować laureatowi?

– Nie, wolę poczekać – odparł Bunde wymijająco. – Może powinniśmy się złożyć na jakiś bukiet? To znaczy ci, którzy mieszkają przy naszej ulicy.

Zmarszczył brwi i spojrzał na docenta.

– Chyba czuję zapach spalenizny – powiedział.

– Nigdy nie byłem dobrym kucharzem – wyjaśnił Johansson z uśmiechem.

Bunde odwrócił się na pięcie i prawie biegiem ruszył do furki, którą zostawił otwartą. Zrobił to tak szybko, że do docenta nie dotarły pożegnalne słowa sąsiada.

– Proszę zamknąć za sobą furkę! – zawołał.

Patrzył na oddalającego się literaturoznawcę. Jasne, prawie białe włosy sterczały mu z tyłu głowy jak wyleniąta szczotka. Ten widok przypomniał Johanssonowi jedyną książkę dla dzieci, jaką kiedykolwiek dostał. Głównym bohaterem był mag, którego pod koniec opowieści źli ludzie zmusili do ucieczki. Docent próbował sobie przypomnieć, jaką cenną rzecz wyczarował ten mag dla pewnego biedaka ze wsi. Czy to była krowa, czy może jakieś inne zwierzę?

Tak, na pewno krowa. Inaczej nie podarowano by mu tej książki na Gwiazdkę. W rodzinnym Rasbo jego ojca przezywano „Hindusem”.

Ruszył w stronę furki, której Bunde za sobą nie zamknął. Aby odsunąć przykre wspomnienia z dzieciństwa i młodości, powiódł wzrokiem po podwórzu. Zauważył, że olandzki kamień trzeba by ułożyć na nowo, że na trawniku mech coraz bardziej się rozrasta, zwłaszcza w

cieniu ligustrowego żywopłotu, i że jesienne krokusy jeszcze nigdy nie były takie bujne i piękne.

Kiedy zamykał furtkę, wrócił myślami do wizyty Ohlera. Czy profesor przyszedł tutaj kierowany szczerymi intencjami? Czyżby naprawdę chciał podzielić się zaszczytem? Może tyle lat rozczarowania sprawiło, że Johansson utracił zdolność do trzeźwego osądu spraw i nie zrozumiał, że charakter profesora stopniowo się zmienił?

W programach informacyjnych, które oglądał wczoraj na kilku kanałach, profesor Ohler powtórnie ogłosił, że Nobel nie jest tylko jego zasługą. Nawet wymienił Fergusona, co wcześniej, kiedy był jeszcze aktywny zawodowo, stanowiłoby rzecz zupełnie nie do pomyślenia.

Rozgoryczenie docenta narastało przez ostatnich kilka lat przed emeryturą, gdy cztery dekady pracy nagle wydały mu się bezwartościowe. Przypochlebianie się profesora niczego nie zmieniało.

Schodami wszedł na wieżę. Ta ostatnia część trasy, bardzo stroma, sprawiała mu coraz większą trudność.

Blade październikowe słońce kąpało rośliny w łagodnym blasku. Z czułością powiódł dłonią pod dwumetrowych liściach wielolodygowej draceny. W przeciwieństwie do tej całej zieleni wewnątrz wieży, ona jaśniała krwistą czerwienią. Nawilżył szmatkę i wytarł kurz, przez co kontrast stał się jeszcze mocniejszy.

Zdawało mu się, że kątem oka dostrzega jakiś ruch między jabłoniami Lundquista. Zachybotła się gałąź. Owoce na drzewku katja jaśniały jak małe latarenki.

Johansson zdjął okulary i przetarłszy szkła kawałkiem szmatki, włożył je ponownie, by przyjrzeć się podwórku sąsiada. Ale teraz było już spokojnie.

Pomyślał, że to pewnie kos. Lundquist nigdy nie trudził się zrywaniem owoców i jagód, więc ptaki mogły ucztować do późnej jesieni.

W Boże Narodzenie przylatywały jemiołuszki. Dodziobywały się aż do jabłek ribstonów.

Po chwili krzątania się przy roślinach Johansson uświadomił sobie, że nie zjadł obiadu. Nagroda Nobla rzeczywiście zakłóciła życie na tej ulicy. Odłożył szmatkę i ruszył na dół do kuchni.

– Te schody kiedyś mnie zabiją – wymamrotał.

Agnes, czy mogłabyś przynieść mi lekarstwo?

Kiedys musiał wołać ją kilka razy, zanim w końcu zareagowała. Dopiero gdy również w bibliotece, gdzie mężczyźni gromadzili się na koniak po kolacji, zainstalowano system dzwonków, wzywianie gosposi stało się łatwiejsze.

Stała w głębi pokoju, wpatrując się w Ohlera z tym swoim nieprzeniknionym wyrazem twarzy, z którym miał wciąż problem. Ta mina mogła oznaczać zarówno chęć do pracy, jak i totalną wzgardę.

Zwracanie się do Agnes w sprawie lekarstw niezbyt mu się podobało, ale miał takie zawroty głowy, że nie odważył się wstać z szezlongu.

Chociaż Agnes zajmowała się w domu prawie wszystkim, o leki na serce wolał troszczyć się sam. Wiedział jednak, że gosposia pilnuje, ile zażył pastylek, bo kilka razy przypomniiała mu, że musi wziąć nową receptę.

– Mam zadzwonić po Birgittę? – spytała Agnes.

Zacisnęła usta i nieco przymglonymi zaćmą oczami obojętnie przyglądała się olejnemu malowidłu nad kominkiem, portretowi kobiety przypisywanemu Arvidowi Lagerstedtowi.

Profesor zdawał sobie sprawę, że jest bardzo kłopotliwym pacjentem, który raz po raz wystawia na próbę cierpliwość swojej opiekunki, i że ta najchętniej dzieliłaby go po twarzy i pozostawiła własnemu losowi.

Postanowił nie odpowiadać na jej pytanie, wybierając zwyczajową taktykę milczenia. To stanowiło pewien teatr, ich jedyny sposób walki, testowany przez całe dekady. Przedstawienie, w którym to zawsze on wygłaszał ostatnią kwestię.

– Dziękuję, to miłe. Agnes, lekarstwo.

Zniknęła bez słowa, ale po chwili wróciła. Łykając pastylkę i popijając ją, profesor patrzył, jak Agnes krąży po bibliotece, czekając, aż wreszcie odstawi szklankę. Miał wrażenie, że chce mu coś powiedzieć, ale wiedział, że skoro milczy, nie ma sensu pytać.

– Agnes, czy pamiętasz...

Odwróciła się tyłem.

– Agnes, jak długo już tutaj pracujesz?

– Pięćdziesiąt pięć lat – odpowiedziała nadal odwrócona.

– To długo.

Przytaknęła skinieniem głowy. Tak bardzo chciał usłyszeć, jak Agnes wyraża jakąś opinię albo wypowiada komentarz dotyczący tych pięćdziesięciu pięciu lat, przez które służyła trzem pokoleniom Ohlerów.

Z tego, co pamiętał, Agnes Andersson nigdy nie wymusnęła się żadna ocena dotycząca jego rodziny i jej własnej pozycji. Była tutaj od zawsze, tak jak biurko sztokholmskie na korytarzu, serwis stołowy z Francji, oprawiony w ramki szkic kłokoczki podpisany „Linneusz”, obraz olejny pędzla Roslina, pałasze z czasów Karola XII skrzyżowane nad kominkiem w bibliotece, włócznia z okolic jeziora Tanganika i wszystkie inne cenne przedmioty, których było pełno w tym domu.

Wiadomość o otrzymaniu Nagrody Nobla – stanowiącej potwierdzenie jego osiągnięć, ale zarazem ich kres – skłaniała profesora do podsumowań, a Agnes była jedyną osobą, z którą mógł o tym porozmawiać. To właśnie oni oboje, nikt inny, mogli nawzajem potwierdzać swoje opowieści.

Wciąż trzymał szklanekę. Agnes czekała przy oknie, porządkując coś na parapecie. Miał wrażenie, że panujące w pokoju napięcie wyczuwa tak samo jak on. A czy jakiegoś nietypowego napięcia nie było widać również w jej ramionach i lekko przygarbionych plecach? A może na twarzy, wyrażającej stłumioną chęć, aby się odezwać?

Jego historia stanowiła własność publiczną, jej losy zaś skrywała zasłona milczenia, a wszelkie próby skłonienia Agnes do uniesienia tej zasłony były z góry skazane na niepowodzenie, doskonale o tym wiedział. Próżna byłaby nadzieja, że po całym życiu spędzonym na dystans zdołają się teraz porozumieć i napisać wspólną historię.

Szukam afirmacji u służącej, zżymał się w duchu. U kobiety, która ledwie potrafi przeczytać gazetę, przez całe życie nie ruszyła palcem, żeby się rozwijać, i uważa naukę za coś chorobliwego. Ja, von Ohler, laureat Nagrody Nobla, przymilam się do córki niepiśmiennego rybaka z jakiejś kazirodczej wyspy. Jak gdybym potrzebował jej aprobaty!

Odstawił szklankę. Agnes natychmiast się odwróciła i posłała mu szybkie spojrzenie. Znowu miał wrażenie, że ma ochotę coś powiedzieć. Nie zrobiła tego jednak. Podeszła pośpiesznie, zabrała szklankę i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Przez chwilę wpatrywał się w zamknięte drzwi.

– Niewdzięczna jędra – wymamrotał.

Wstał powoli, a kiedy nie pojawiły się zawroty głowy, uśmiechnął się z zadowoleniem i ruszył do sypialni. Nadeszła pora się ubrać i spotkać z pierwszymi zagranicznymi dziennikarzami, którzy na pewno już są w Szpitalu Uniwersyteckim, w którym kładł podwaliny pod swoją Nagrodę Nobla.

Agnes wszystko mu przygotowała: starannie odprasowane spodnie, białą koszulę, muszkę i nieco znoszony blezer. W pierwszej chwili pomyślał, że to zaskakujący wybór – spodziewał się raczej garnituru z kamizelką – ale po chwili uświadomił sobie, jak dobrze ten strój harmonizuje z wizerunkiem, który starał się stworzyć. Agnes jak zwykle idealnie odgadła jego intencje.

Na korytarzu stała para świeżo wyczyszczonych ciemnych butów. Agnes pomogła mu przy wiązaniu sznurówek.

– Zadzwoń po taksówkę – powiedziała. – Może pan wyjść i poczekać, zaraz tu będzie.

Ledwie dotarł do drzwi wyjściowych, usłyszał podjeżdżający samochód. Pokiwał głową i wyszedł za próg.

– Dziękuję, Agnes – powiedział.

– Profesor Ahl spotka się z panem w klinice – oznajmiła, zamykając za nim drzwi.

Czuł się wyganiany z własnego domu, ale próbował się uśmiechnąć. W najbliższej przyszłości jeszcze wiele razy będzie zmuszony do uśmiechu.

Nie lubił się uśmiechać. W zasadzie w ogóle nie lubił, kiedy starzy ludzie się uśmiechali, bo wyglądali jak szczerzące się czaszki.

– Panie Olen!

Entuzjizm taksówkarza był jeszcze większy, o ile to w ogóle możliwe. Kiedy profesor podszedł, kierowca otworzył mu furtkę.

– To znowu pan?

– Tak, profesorze Olen, sam o to prosiłem. Stephania zadzwoniła po mnie.

– Czyli za każdym razem, kiedy będzie zamawiany kurs z tego adresu, to właśnie pan przyjedzie?

– Jeśli tylko będę w pracy.

To ucieszyło profesora, bo przypominało posiadanie własnego szofera. Usiadł na tylnej kanapie, bo podzielał opinię swego ojca, który twierdził, że tylko służący zajmują miejsce obok kierowcy.

– Wszystko w porządku? – zapytał taksówkarz.

– Tak, dziękuję – odparł profesor.

Taksówka ruszyła. W aucie było ciepło i miło. Ohler odchylił się do tyłu, zamknął oczy i powrócił myślami do czasów młodości, do rodzinnego starego packarda z Olssonem za kółkiem. Tak się właśnie nazywał – Gerhard Olsson. Profesor zdziwił się, że pamięta imię szofera, bo przecież nikt nie zwracał się do niego inaczej niż Olsson. Po paru latach szofer został powołany do wojska i utonął w rzece gdzieś w Norrbotten. Następny kierowca... jak on się nazywał? Wiik?... Tak, na pewno Wiik, uznał profesor, ale jego imię już mu się nie przypomniało. Był niewiele starszy od Bertrama. Jedną nogę miał krótszą i zapewne dlatego nie wzięto go do wojska. Śmierdział tytoniem. Pracował dla nich, aż...

Profesor otworzył oczy. Ciekawe, czy Agnes pamięta? Powinna.

Potem już nie mieli szofera. W razie potrzeby, rzadkiej zresztą, obowiązki kierowcy pełnił dozorca. Zwykle jeździli latem do domu w Rådmanö, który ojciec Bertrama, Carl, kupił w czasie wojny. To była prawdziwa okazja. Klasyczna wiktoriańska posiadłość należała wcześniej do właściciela fabryki, który wpadł w alkoholizm, zbankrutował i szybko potrzebował gotówki.

Dom wskazał im konsul Wendt. Chociaż konsul popierał Hitlera, a Ohlerowie, mimo niemieckich korzeni, zawsze pozostawali anglofilami, utrzymywali kontakty towarzyskie. Po wojnie wszystkie spory zapomniano. Syn Wendta został nawet wybrany do parlamentu z ramienia konserwatystów.

Ale Bertram nie chciał teraz rozmyślać o szoferach i byłym dozorczy. To prowadziło zbyt daleko, do wydarzeń, których lepiej nie

wspominać. Choćby takich, jak historia Wiika. Tak, lepiej nie myśleć o jego zachowaniu po odejściu Anny, o tym, jak – nie do wiary! – groził, że złoży doniesienie na Carla. Ten kuternoga, który nie mógł zostać nawet szeregowcem i którego Carl przyjął z czystej litości, groził mu policją!

Albo Dagmar, po co miał o niej myśleć? Zakochali się i pobrali, ale co to dzisiaj znaczy? Nic! Wprawdzie poniekąd dzięki niej na drzewie genealogicznym pojawiły się trzy nowe listki, co było dobre, nie ma jednak sensu rozmyślać o samej Dagmar i o wszystkich innych brudach.

– Mój ojciec zawsze zamawiał taksówki – powiedział profesor.

Kierowca roześmiał się. Wesoły facet, skonstatował Ohler, ale nie namolny. Prowadził pewnie i płynnie, idealny szofer.

– Czy on też był profesorem?

– Owszem. Jak pan zgadł?

Taksówkarz wzruszył ramionami.

– Takie rzeczy się widzi – odparł.

– Był jednym z najlepszych ginekologów w kraju.

– Rozumiem – powiedział kierowca, hamując pod numerem siedemdziesiątym.

– Było szybko – pochwalił go profesor.

Kierowca się odwrócił.

– To mój numer telefonu. – Podał Ohlerowi niewielką kartkę. – Proszę zadzwonić, gdyby pan potrzebował taksówki.

Profesor sięgnął po portfel.

– Reszty nie trzeba – powiedział, wyciągając banknot stukoronowy.

– To za dużo – sumitował się kierowca.

– Nie jestem biedny – odparł profesor. – A niedługo grudzień. Dostanę niemałą wypłatę.

Docent Gregor Johansson uciął sobie poobiednią drzemkę. Robił tak przez całe życie. W czasach studenckich i w pierwszych latach kariery zawodowej miewał problem z czmychnięciem gdzieś i znalezieniem miejsca, w którym mógłby się na chwilę położyć. Nie potrzebował więcej niż dziesięciu, piętnastu minut, chociaż odkąd przeszedł na emeryturę, drzemał zdecydowanie dłużej.

Naśladował w tym swojego ojca i tak samo jak on mówił o swoim przysypianiu. Ilekroć miał przytoczyć jakieś słowa zapamiętane z dzieciństwa, zawsze przypominał sobie ojcowskie „położę się na chwilę”.

Za wspomnieniem dzieciństwa ciągnęła się także smuga zapachów. Woń stodoły z delikatną nutą zsiadłego mleka. Urodzony w Rasbo ojciec nazywał ten zapach „ostrym”, a matka, pochodząca z Karungi w Norrbotten – „innym”.

I była też kuchenna ława odziedziczona po rodzicach. Teraz stała pod południowym oknem w skądinąd całkiem nowoczesnej kuchni.

Zupełnie tam nie pasowała, głównie dlatego, że Johansson nie robił nic, żeby ją odnowić. Wręcz przeciwnie, z ogromną czułością przyglądał się barwom swojego dzieciństwa – spłowiałej brudnobrazowej oryginalnej farbie wyzierającej spod równie spłowiałej powłoki koloru zielonego.

Ława stanowiła dzieło wiejskiego cieśli. Z tyłu miała kilka ozdobnych zawijasów, a z przodu szuflady rzeźbione w stylizowane kwiaty. Nic wyszukanego, ot, solidny mebel dla ubogich, przydatny w dzień i w nocy. Spędził na nim pierwszych trzynaście lat życia.

Teraz leżał na tej ławie, patrzył w sufit i wspominał dzieciństwo. Ale te wspomnienia nie przynosiły mu spokoju. Johansson dobrze wiedział, co jest przyczyną. Rodzice ciągle się kłócili. Ojciec na swój ospały upplandzki sposób, matka w surowym dialekcie z Norrbotten. Zdawało się, że ich gesty i sposób wyrażania się zostały ukształtowane przez części kraju, z których pochodzili.

Mijały lata, a ten zamęt zapamiętany z dzieciństwa stawał się coraz

głośniejszy i coraz częstszy. Może to naturalne, że im człowiek starszy, tym silniejszy jest prąd wspomnień, pomyślał Johansson.

Nie miał większych problemów z tymi wspomnieniami, zwykle były to tylko niewyraźne obrazy, które rzadko wypływały na wierzch. Czasem jednak zaczynały się zbliżać jak ci włóczędzy na drodze biegnącej nieopodal małego gospodarstwa jego rodziców. Jego matka proponowała im kawę albo drobny poczęstunek. I chociaż tłumaczyła synowi, że są niegroźni, tylko po prostu głodni, ich ponury wygląd nieodmiennie budził w nim lęk. Może go wystraszyli, gdy był całkiem mały? A może chodziło o słowa matki, że równie dobrze oni sami mogliby się wałęsać po drogach.

Pobliską drogę nazywano „dużą”, ale była to wąska, kręta i zaniedbana żwirowa szosa łącząca stację kolejową w Bärby z autostradą prowadzącą w stronę wybrzeża. Kilka kilometrów na północ, w Ströja, znajdowały się dom i gospodarstwo rolne dziadka. Bärby, Ströja i Frötuna, gdzie pracował ojciec, wyznaczały trójkąt, w którym Gregor spędził właściwie całe dzieciństwo.

Czasem odwiedzali ciocię Rut i jej męża Karla, którzy mieszkali w Selknä, niecałe dziesięć kilometrów na północ. „Kalle” był robotnikiem drogowym, a swoją przyszłą żonę poznał w północnej Szwecji. Jakiś czas potem matka docenta przejechała tysiąc dwieście kilometrów, żeby odwiedzić siostrę, i na tańcach w Gråmunkehöga poznała hodowcę bydła Harry’ego Johanssona. I tak trafiła w te strony.

Wyjazdy do Selknä, a także kilkakrotne podróże pociągiem do Uppsali to były prawdziwe przygody. Już sam pomocnik ze stacji w Bärby, też Kalle, wydawał się Gregorowi ekscytujący.

Potem nadeszły czarne lata, które jego matka nazywała wojną. Dla Gregora stanowiły okres będący dziwną mieszaniną zmartwień i swoistych nadziei. Czas obaw, że ci obcy ludzie o surowych głosach, których słyszał w radiu, mogą się kiedyś zjawić w Rasbo, ale także czas, gdy dorośli wydawali się bardzo ożywieni. Prawdopodobnie nigdy wcześniej mieszkańcy okolicznych farm tyle ze sobą nie rozmawiali, nie pojawiało się tyle spekulacji, nie krążyło tyle wciąż nowych pogłosek.

W roku 1943 uderzyła śmierć. Losy rodziny zaczęły się odwracać akurat wtedy, gdy zaczęły się odwracać koleje wojny prowadzonej na

kontynencie. Ojciec spadł z szopy, złamał biodro, ramię i paskudnie zranił się w brzuch. Wdało się zakażenie i pojawiła gangrena, która po pięciu dniach jego pobytu w szpitalu w Uppsali okazała się śmiertelna.

Gregor miał wtedy trzynaście lat. Ojciec już wcześniej postanowił, że syn wykształci się na kontrolera jakości i będzie pracował przy żywym inwentarzu, ale, w przeciwieństwie do niego samego, bez harówki w zagrodzie dla bydła. Miał się uczyć w szkole średniej w Uppsali, a zamieszkać u kuzyna ojca, bezdzietnego wdowca, brygadzysty w fabryce rowerów Nymana.

Tak zaczęła się długa wędrówka prowadząca Gregora na uniwersytet. Ścieżka, której tak naprawdę wcale sobie nie wybrał i na którą oglądał się wstecz z mieszanymi uczuciami.

Po drodze mu pomagano, najpierw wspólnym wysiłkiem całej rodziny, później dając stypendia. Już po pierwszym miesiącu nauki zorientował się, że dobrze mu idzie, i zrozumiał, że nigdy nie będzie musiał wałęsać się po drogach, prosząc o kubek kawy, kanapkę czy jakąś drobną pracę.

Brak ojca i zapachy z dzieciństwa tkwiły w nim niczym klin. Ilekroć się martwił, wydawało mu się, że ktoś uderza w ten klin i wbija go jeszcze głębiej w pierś.

Obudził się z drzemki i usiadł. Miał dziwne sny, może z powodu oszłamiających wydarzeń z ostatnich dwudziestu czterech godzin – Nobla i niespodziewanego pojawienia się Bundego. W tych snach pojawili się rodzice, ale także różni starsi ludzie z rodzinnych okolic, tacy jak Björkowie z Sandbacken, gdzie zwykle kupował jajka, kowal przezywany fiu-faraonem, babcia Gregora, która przeżyła syna o dwadzieścia lat, i wielu innych. Cały pochód zmarłych, opowiadających o rzeczach, o których nie chcieli albo nie mogli opowiadać, kiedy jeszcze żyli.

Wiedział, że pora wstawać, że takie wylegiwanie się na ławie wcale nie jest dobrym pomysłem. Kiedy zaczynali się pojawiać obszarpani włóczędzy, przychodził czas, aby czymś się zająć.

Postanowił, że popołudniową kawę, swoje lekarstwo na melancholię, wypije na wieży. Wziął z kuchni paczkę ciasteczek i zaczął wspinać się po schodach.

Jego uwagę przykuł chybotliwy lot dzięcioła zielonego. Zostawił dla ptaków pieńki po gruszy, by miały miejsce do zdobywania pożywienia, a może także do zakładania gniazd. Opłacało się, dzięcioł odwiedzał go teraz codziennie.

Spojrzenie Johanssona powędrowało z gruszy na dom Bundego, a potem Lundquista. Dostrzegł jakąś postać przyczajoną za przerośniętym wiciokrzewem. Mężczyznę, tak, to na pewno był mężczyzna. Stał w całkowitym bezruchu. Johansson widział tylko fragment jego pleców i nóg. I jeszcze coś, chyba ciemną czapkę.

– Dziwne – powiedział sam do siebie, ponownie zerkając w stronę domu Bundego.

Sąsiad miał rację, że ktoś się tutaj kręci, pomyślał. Czy powinien zejść na dół i zadzwonić na policję? Nie, to nie ma sensu. Co by im powiedział? Że w ogródku u sąsiada stoi jakiś człowiek? Wyśmialiby go.

Ekspres do kawy zasyczał. Docent opuścił punkt widokowy, żeby nalać sobie gorącego naparu do filiżanki i wziąć ciastko.

Zajęło mu to tylko parę sekund, ale kiedy wrócił do okna, nieznanego już nie było. Rozejrzał się po okolicy, lecz nigdzie go nie dostrzegł.

To mu się nie spodobało. Nie lubił skrytości i tajemnicy. Musiało istnieć jakieś rozsądne wytłumaczenie. Może było tak, jak sam mówił Bundemu, że to ktoś wynajęty do opieki nad ogrodem. Wiciokrzew naprawdę potrzebował, żeby ktoś go przyciął, zresztą nie tylko on. Na podwórku Lundquista wszystko wymagało solidnego liftingu. Jednak wiciokrzew pozostawał nienaruszony, nie pozbyto się nawet gałązki.

Pewnie ten mężczyzna musiał się wysikać i postanowił schować się w krzakach z tyłu domu, pomyślał docent. Może to jakiś komiwojażer, który nie znalazł w okolicy toalety, a nie mógł już dłużej czekać? A może od frontu domu sąsiada wykonywano właśnie jakieś roboty? Na przykład kładzenie tynku albo naprawę okien.

Postanowił obejść okolicę i sprawdzić. Chciał mieć pewność. I w nie mniejszym stopniu chciał móc coś powiedzieć Bundemu, jeżeli znowu się spotkają.

Gdy dotarł do furtki, przystanął i zaśmiał się pod nosem, bo dostrzegł zabawną stronę tego nagłego ożywienia na dotąd spokojnej

ulicze. Jednak szybko ogarnęły go wątpliwości.

Stał tak dłuższą chwilę, z jedną ręką na klamce i spojrzeniem utkwionym w ulicę, powracając myślami do gospodarstwa w Rasbo i „dużej drogi” prowadzącej do autostrady.

Tędy nigdy nie chodzą obdarci włóczędzy, pomyślał i ogarnęło go znajome rozdrażnienie. Była to złość na siebie samego, którą odczuwał już tyle razy. Po co w ogóle powracać do tamtych dni? Teraz czasy są zupełnie inne i zapachy są całkiem inne, więc po co?

Zostałem doktorem, zostałem docentem, a chociaż nie zostałem laureatem Nagrody Nobla, bez wątpienia jestem człowiekiem szanowanym i docenianym przez kolegów po fachu, dlaczego więc wciąż tak się boję obdartych włóczędzów? – zastanawiał się z irytacją. Nie, nie boję się ich, raczej się wstydzę, że kiedyś się ich bałem. Ale wtedy byłem dzieckiem. Byłem sam, nie miałem starszego rodzeństwa, które by mnie broniło, wyjaśniło mi coś. Słowa matki, że włóczędzy wcale nie są groźni, nie docierały do mnie, bo intuicyjnie czułem, że ojciec nie lubi, kiedy te obdartusy zatrzymują się przy furtce.

Wyszedł na chodnik i zaczął okrążyć kwartał domów. Ściemniało się, więc przyspieszył kroku. Idąc, patrzył prosto przed siebie, bo nie chciał sprawiać wrażenia ciekawskiego.

Obok domu Lindy Tibell skręcił w lewo. Linda tak jak on interesowała się japońskimi klonami i przy jej domu rósł okazały osakazuki, którego liście zrobiły się teraz pomarańczowoczerwone.

Kawałek dalej docent znowu skręcił w lewo. Dom Lundquista był trzeci z kolei. W kolejnym, należącym do rodziny Winbladów, we wszystkich oknach na parterze błyszczwały zachęcająco światła. Na schodkach pod wejściem siedział seter irlandzki i wiódł spojrzeniem za Johanssonem.

Docent czuł, że także sąsiedzi przypatrują mu się zza firanek. Co zrobi, jeśli nie zobaczy nikogo na podwórzu? Podejdzie do drzwi i naciśnie dzwonek?

Zatrzymał się pod furtką Lundquista, udając, że poprawia sobie szalik. Ze skrzynki na listy wystawała poranna gazeta. To go ostatecznie przekonało, że w krzakach nie oglądał samego właściciela, więc nie ma sensu dzwonić. Ruszył dalej. Więc to był ktoś obcy. Pytanie tylko, kto

miał powody, aby znaleźć się na tym podwórzu.

Nagle nad drzwiami zapaliło się światło i z ciemności między dwiema rozrośniętymi trzmielinami wyłoniła się jakaś postać.

Docent zatrzymał się gwałtownie.

– Przepraszam, chyba pana przestraszyłem.

To był ten sam mężczyzna, którego widział wcześniej – rozpoznał ciemną czapkę z dzianiny.

– Owszem, byłem nieco zaskoczony – przyznał Johansson.

Nieznajomy podszedł do ogrodzenia i wtedy światło zgasło.

– Chyba coś nie kontaktuje – zauważył docent.

– Nie, to światło zapalane przez czujnik ruchu, a on ma ograniczony zasięg – wyjaśnił mężczyzna i cofnął się kilka kroków. Lampa zajaśniała ponownie.

W jej świetle Johansson mógł się przyjrzeć nieznajomemu. Był starszy, niewątpliwie po sześćdziesiątce, miał około metra dziewięćdziesięciu wzrostu i sprawiał wrażenie silnego. Jego pobrużdżona twarz była ogorziała, jak gdyby przez wiele lat ciężko pracował na świeżym powietrzu. Nosił ciemne spodnie i zielone palto z raczej zgrzebnego materiału.

– Pewnie pan się zastanawia, co tutaj robię? – zagaił.

– Nie, w ogóle – zapewnił docent. – Po prostu wybrałem się na wieczorną przechadzkę.

– Nie chciałem pana przestraszyć.

– Oczywiście, że nie.

Przez chwilę milczeli.

– Czy pan mieszka w tej okolicy?

– Tak – odparł docent, wskazując mniej więcej w stronę swojego domu.

– Czy to pan ma tę wspaniałą, pnącą się hortensję?

– Owszem.

– Kiedy kwitnie, na pewno nie ma sobie równych.

– Interesuje się pan roślinami?

Mężczyzna uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Teraz, jesienią, trzmielina nie jest taka zła, chociaż niedługo zrzuci liście. Ale już dłużej pana nie zatrzymuję.

– Nie ma sprawy – odparł docent.

Każdy ruszył w swoją stronę. Johansson cieszył się, że pochwalono jego hortensję, rzeczywiście dużą i okrywającą większą część wschodniej ściany, lecz jednocześnie czuł wielkie niezadowolenie. Zdołał ustalić, że na posesji Lindquista rzeczywiście pojawił się ktoś obcy, ale nie udało mu się określić, co on tam robił. Delikatnie mówiąc, frustrująca sprawa. Nieznajomy nie wyglądał ani ma włamywacza, ani na reportera czy fotografa, jak sugerował Bunde. No i po co miałyby się zakradać? Przecież Ohler nie jest gwiazdorem uciekającym przed obiektywów albo członkiem rodziny królewskiej, którego trzeba fotografować ukradkiem. Wręcz przeciwnie, najwyraźniej czuł się zadowolony z okazywanego mu zainteresowania.

Obcy mężczyzna ze znanstwem mówił o hortensji i o trzmielinie na podwórku Lundquista. Może to jakiś ogrodnik? Pewnie tak. Bo kto inny mógłby tam przyjść i swobodnie rozprawiać o roślinach?

Był również uprzejmy i porządnie ubrany, w praktyczne, solidne rzeczy. To również wskazywałoby na ogrodnika.

Docent minął jeszcze dwie ulice i zawrócił. Zerknął w stronę domu Ohlera, gdzie paliło się światło, tak jak kiedyś, gdy jeszcze był pełen ludzi. Próbował sobie wyobrazić, co się tam teraz dzieje i co wydarzy się w najbliższej przyszłości. Uroczystości, spotkania z dziećmi i wnukami, wizyty kolegów, dziennikarze podjeżdżający samochodami, aby prowadzić transmisję na żywo, kolacje – innymi słowy, mnóstwo ruchu i ożywienia.

On wróci do swojej wieżyczki, a jeśli profesor wskaże w stronę oświetlonej szklarni i oznajmi: „Tam mieszka mój asystent, docent Johansson”, wyjdzie na zgrzybiałego ogrodnika amatora, który z braku lepszego zajęcia poświęca swoje samotne życie begoniom czy czemuś w tym rodzaju.

Jego chuda sylwetka będzie się pojawiać od czasu do czasu, kiedy padnie na nią chłodny niebieski blask światełek zainstalowanych dla rzadkich roślin. Tymczasem profesor będzie lśnić własnym blaskiem, otoczony żywymi, ciepłymi ludźmi.

Stał na chodniku, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem i czekając, aż puls mu powróci do normalnego rytmu. Wziął głęboki

oddech. Czuł pieczenie w przełyku, bo podczas spaceru dostał zgagi. Pewnie od kawy.

– Kto by się spodziewał! Wujek Gregor!

Odwrócił się. Stała przed nim Birgitta von Ohler, z szerokim uśmiechem i rozpostartymi ramionami. Nalegała, by wciąż pozwalał nazywać się wujkiem Gregorem, tak jak mówiła do niego w dzieciństwie. Nie lubił tego, ale było już za późno, aby cokolwiek zmieniać.

– Birgitta – powiedział łagodnie.

– Czemu tak tutaj stoisz? Wejdź do środka na filiżankę kawy.

– Dziękuję, ale chyba nie powinienem.

– Nie wygłupiaj się, tata bardzo się ucieszy.

– Właśnie się zbieram, żeby upichcić coś u siebie w domu – odparł docent. – Będzie sporo...

– Jasne, to jest niesamowite! Po tylu latach. Słyszałeś, że o tobie wspomniał?

– Kiedy?

– W telewizji.

Docent pokręcił przecząco głową.

– „Mój najlepszy kolega”. Tak powiedział o tobie w wiadomościach.

Johansson przez chwilę z niedowierzaniem przypatrywał się rozpromienionej Birgittie, a potem jego spojrzenie zatoneło w mroku coraz większej złości. Ulica i chodnik zniknęły, podobnie jak domy oraz Birgitta Ohler.

– Źle się czujesz?

Podeszła o krok i chwyciła go za ramię. Docent otworzył oczy.

– Doskonale – zapewnił, ale jego bladość i słaby głos wyraźnie świadczyły o czymś wręcz przeciwnym.

– Gregor! Ty się wcale dobrze nie czujesz.

Docent wyrwał się z jej uścisku, odwrócił i powlókł z powrotem do domu. Nie mogę biec, pomyślał, nie wolno mi umrzeć na ulicy.

Pchnięciem otworzył furtkę i wziął kilka głębokich oddechów. Od strony domu Bundego dobiegała muzyka organowa, kantata Bacha. Wciąż ten pompatyczny Bach. Poza tym cicho.

Jego serce jeszcze nigdy dotąd nie protestowało. Może to kara boska za złe myśli i bezsensowną złość, pomyślał Gregor Johansson i zdumiał się samym sobą. Nagle zwróciłem się do Boga! Przez tę cholerną Nagrodę Nobla zarówno moje serce, jak i mózg przestały działać prawidłowo!

Podszedł do buka, oparł się o pień wnętrzem dłoni. Chłód, który przeszedł mu po ramieniu, nieco ostudził emocje.

Czy powinienem zacząć o tym mówić? Czy powinienem, tak jak Schimmel w Niemczech, opublikować artykuł, w którym przedstawię, jak to naprawdę wyglądało? Napisać o Fergusonie, o pracy zespołu, o tym, jak jeden człowiek ukradł dla siebie całą sławę, jakby był samotnym geniuszem? Mógłbym dać świadectwo. Schimmel zdołał wynieść Fergusona, a ja mogę zrzucić Ohlera z piedestału.

Ta myśl dawała pewne ukojenie, uświadomił sobie jednak, że na niewiele spraw zdołałby wpłynąć, o ile w ogóle na cokolwiek. Wyszedłby tylko na zgorzkniałego i zazdrosnego nieudacznika. Profesor pod jednym względem miał rację: nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Pozostaje więc trzymać język za zębami. Doszedłszy do tego wniosku, wolnym krokiem ruszył do domu.

Agnes Andersson wpatrywała się w swoje stopy. Jak daleko ją poniosły? A może wręcz przeciwnie, jak daleko ona je poniosła? Zakładając, że to głowa, a nie stopy, decyduje o obraniu jakiegoś kierunku.

Poniosły do brodzika. W domu, gdzie spędziła właściwie całe swoje dorosłe życie.

Agnes była trzecią z sióstr Andersson z Gräsö pracujących u Ohlerów. W latach trzydziestych Carl Ohler kilkakrotnie wynajmował na lato dom na wyspie. Potem poznał rybaka i drobnego rolnika Arona Anderssona, który dostarczał mu ryby i pomagał przy prostych pracach.

A kiedy Carl potrzebował nowej służącej do swojego domu w Uppsali, najstarsza z córek Anderssona, Anna, dała się namówić na pracę u niego. Kilka lat później odeszła i zastąpiła ją środkowa siostra, Greta, która pracowała u Ohlerów o kilka lat dłużej. Po niej służącą została najmłodsza, Agnes.

Bertram i jego rodzina korzystali z pokojów, jak mówili, „na skrzydle”.

Gdy Carl zmarł w 1959 roku, Bertram został właścicielem i jedynym panem czternastopokojowego domu.

Wtedy oprócz Agnes była jeszcze druga służąca i dozorca zatrudniony na pół etatu. Wszyscy zajmowali się Bertramem, jego żoną Dagmar oraz dwoma synami. W 1960 roku spóźnioną Birgittą zaopiekowała się niania.

Teraz zostali już tylko Agnes i Bertram.

Siedziała w pokoju, który rodzina nazywała „salonikiem”. Pół wieku temu było wręcz nie do pomyślenia, aby służąca zajmowała pomieszczenie zarezerwowane dla dam. Salonik, w którym stały wówczas dwie kozetki i kilka foteli, służył goszczącym w domu paniom. Przychodziły tam po kolacji wypić kieliszek czy dwa likieru i trochę poplotkować. Mężczyźni siedzieli w bibliotece i popijając koniak, rozmawiali o własnych sprawach.

Minęło już trzydzieści lat, od kiedy ostatni raz dzieliły się tu

ploteczkami jakieś damy. Teraz salonik należał tylko do niej. Obok miała swoją sypialnię. Początkowo uważała, że nie potrzebuje takich luksusów, ale Birgitta nalegała, więc Agnes wyprowadziła się ze starego pokoju i zamieszkała w nowym, na skrzydle domu. A przy okazji otrzymała własny salon.

Czas, który spędzała, mocząc obolałe stopy w brodziku z letnią wodą z solą z Epsom, stanowił wytchnienie nie tylko dla jej ciała, ale i dla umysłu. Co wieczór siedziała tak dziesięć minut, niekiedy nawet kwadrans.

Słyszała profesora krzątającego się w swoim gabinecie. Znow był ożywiony i aktywny, niczym Śpiąca Królewna po przebudzeniu się ze stuletniego snu. Pouczył ją, jak wszystko ma wyglądać, i musiała przyznać, że chociaż często bywał roztargniony, w kwestiach dotyczących swojego gabinetu wyrażał się jasno i ściśle. Wypchany jastrząb miał trafić na śmietnik. „Wyrzuć to”, polecił szorstko, co bardzo ją uradowało. Już od dawna chciała się pozbyć tego paskudnego, wyleniałego ptaszyska.

Długo i z nieskrywaną dumą mówił o wiszącym na ścianie drzewie genealogicznym. Zatonął w opowieściach o tłumie kuzynów. Przez minione lata słyszała te wszystkie historie setki razy i znała prawie na pamięć. Pozwoliła mu jednak mówić. Nie słuchała, odkurzała regał z książkami pogrążona we własnych myślach.

Nagle monolog profesora ucichł. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały i Agnes dostrzegła w jego oczach niepokój. Potem się roześmiał.

– Opowiadam o tym tak, jak gdyby te wszystkie gałęzie – machnął ręką w stronę obrazka – mogły cię interesować. Przecież tam na wyspie masz własną rodzinę.

Nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć, więc tylko pokiwała głową.

– Nigdy nie wyszłaś za mąż, prawda, Agnes? – spytał niespodziewanie.

– Nie, nigdy – odparła. – A na drzewie Anderssonów nie ma żadnych nowych gałęzi. Ja i moje siostry byłyśmy pod tym względem całkiem zajęte Ohlerami.

Profesor zeszywniał. Nie powiedział już ani słowa i po chwili wyszedł z pokoju.

Chociaż pod jej drzwiami nie ustawiała się długa kolejka zalotników, pojawiali się jacyś mężczyźni. Nie wyszła jednak za mąż. Nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiała ani nie ubolewała nad swoim staropanieństwem. Po prostu tak wyszło, tłumaczyła sobie. Miała świadomość, że to nie do końca szczerze, bo przecież wiele razy chciała opuścić dom Ohlerów, a jedyny sposób stanowiło właśnie małżeństwo. Ale fakt, iż była córką rybaka i kaznodziei Arona Anderssona, założyciela Kongregacji Armii Bożej, sprawiał, że nastawienie do życia miała fatalistyczne.

Jej ojciec kładł duży nacisk – nierzadko posługując się przy tym różgą – na służbę Bogu i wszystkim innym panom, łącznie z nim samym. W jego wierze nie było miejsca na żadne góry do przenoszenia. Pełne respektu i niemal literalne podejście do Starego Testamentu nie zostawiało przestrzeni nawet na myśli o wolności.

Kongregacja Armii Bożej, w najlepszych czasach licząca dwunastu członków, w tym pięcioro z rodziny Anderssonów, już dawno nie istniała. Tylko Agnes, jej siostra Greta i paru innych weteranów zgromadzenia mogło zaświadczyć o powściągliwości i milczeniu cechującymi wewnętrzne życie sekty. Niewiele tam było radości i nadziei, za dużo strachu i ciężkiej pracy.

Wiara Arona Anderssona była surowa i uboga w przyjemności jak dziesięcioakrowe pole, które uprawiał, i przynależący do gospodarstwa skrawek lasu, składający się głównie z porośniętych olszyną moczarów i kamieni, a ziemski byt jego rodziny niepewny jak połowy na często nieprzyjaznym morzu. Czasem przynosiły mnóstwo śledzi, a czasem tylko puste sieci.

Dla Arona życie stanowiło ciągłą walkę z przeciwnościami losu, które niekiedy da się przewyciężyć, ale zawsze trzeba przetrzymać. Na tym właśnie, jak wierzył, polegał Boży zamysł. Wszystko jest marnością i niczego na tym świecie nie można być pewnym. Tylko Słowo pozostawało czymś stałym, a myśl o nadejściu Syna Bożego dawała jedyną otuchę.

Postawa ojca nie pozostawiała miejsca na żadną spontaniczność

czy jakiegokolwiek odstępstwa od codziennej rutyny. Pozwolenie córkom na opuszczenie wyspy i zgromadzenia, aby mogły służyć rodzinie Ohlerów, było wyjątkiem.

Ta niespodziewana decyzja była dla Agnes początkowo niepojęta. Może wynikała z wpływu jej matki, która miała w sobie taką buntowniczą żyłkę. Aron Andersson czuł też wręcz służalczy respekt do Carla von Ohlera i jego liliowobiałej żony, kiedy więc padło pytanie, czy Anna mogłaby pojechać z nimi do miasta, wyraził zgodę. Przez kilka poprzednich lat Anna pomagała już w rezydencji Ohlerów na wyspie, dlatego uznano to za niejako naturalne rozszerzenie jej obowiązków.

A może ojciec, w tym całym swoim surowym religijnym zapale, miał jednak jakieś wątpliwości. Może chciał uchylić drzwi swoim córkom, aby mogły uciec z wyspy i od tego nędznego życia. Nawet on dostrzegał, że czasy się zmieniają.

Kiedy Anna miała zacząć pracę w Uppsali, Aron przewiózł ją łodzią przez cieśninę do Öregrund, do czekającego na nią autobusu. Gdy później śladem siostry ruszyła Greta, wynajęła motorówkę, a Agnes wsiadła na prom, który zaczął kursować przez Öregrundsgrepen.

Wysłanie córek do profesora i do domu w Kåbo stanowiło również gwarancję, że „trafią do wykształconego i kulturalnego towarzystwa”, jak wyraził się ojciec. Fakt, że rodzina Ohlerów była religijna wyłącznie na papierze, najwyraźniej nie stanowił dla niego większego problemu. Praca u Ohlerów wydawała się odpowiednim sposobem przystosowania dziewcząt do życia na stałym lądzie. Aron zawsze najbardziej się obawiał, że jego córki „skończą w fabryce albo w sklepie”, i w taki sposób zwabi je droga grzechu.

Agnes przyglądała się swoim palcom stóp zanurzonym w wodzie. Według dziecięcej rymowanki odpowiadały dziesięciu przykazaniom, gdzie wybijały rytm słów: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. Tyle czasu minęło, a ona wciąż czuła silne palce ojca przyciskające jej drobne paluszki, kiedy kazał jej mechanicznie powtarzać przykazanie po przykazaniu.

To było sześćdziesiąt pięć lat temu. Aż zakręciło się jej w głowie na myśl, że gdy niedługo umrze, spotka się z rodzicami. Nie chciała już nigdy doświadczyć ściskania jakiegokolwiek części swojego ciała, nawet

powykręcanych artretyzmem palców u stóp.

Może nie zostałam stworzona do małżeństwa, pomyślała. Moim przeznaczeniem jest służyć. Nigdy nikogo nie kochałam, nawet Birgitty, która znajdowała schronienie w moich ramionach, ilekroć domem targały burze, kiedy Dagmar i Bertram ścierali się na słowa. I nikt mnie nie kochał. Prawie nikt, poprawiła się. Rodzice mnie kochali.

Przypomniała sobie, jak ojciec zmarł nagle, wkrótce po swoich siedemdziesiątych urodzinach. Upadł martwy w ciasnej zagrodzie dla krów. Tak naprawdę nie miał tam nic do roboty, stado przestało istnieć parę lat wcześniej, jak większość bydła na wyspie, ale zwykł tam chadzać i „próżnować”, jak mówiła matka.

Umarł tego samego dnia, w którym ogłoszono śmierć starego króla, co przyćmiło odejście Arona Anderssona.

Agnes sama pojechała na wyspę. Ohler zaproponował, że ją podwiezie, ale wsiadła do autobusu do Öregrund, gdzie na niewielkim placu przeczytała obwieszczenie o żałobie narodowej. Na przystań promową dotarła spocona jak mysz, chociaż od północnego wschodu wiała chłodna bryza. Promem sterował Gösta Fredell i to on złożył jej wyrazy współczucia. Na wyspie wieści rozchodziły się szybko. Agnes i Gösta byli rówieśnikami, uczyli się w tej samej szkole. Chciała, żeby ją przytulił, ale dla obojga stanowiłoby to coś niewyobrażalnego. Nawet jej nie dotknął, lecz w trakcie przeprawy cały czas stał tuż obok niej, w ciszy, z rękami na relingu. Spoglądali ku północy, w stronę wyspy, na której oboje przyszli na świat. Agnes drżała z zimna, pot zasychał jej na ciele, jednak stała uparcie przy relingu i on też, chociaż zazwyczaj przechadzał się po pokładzie i rozmawiał z pasażerami.

– Dziękuję, Gösta, to było miłe z twojej strony – powiedziała.

Skinął głową w milczeniu i poszedł zająć się samochodami zjeżdżającymi z promu. Nigdy nie zapomniała Gösty Fredella.

Z przystani ruszyła piechotą do domu. To było tylko kilka kilometrów, lecz przemarzniętej Agnes droga wydawała się znacznie dłuższa. Dostaną zapalenia płuc, pomyślała, ale dzielnie maszerowała dalej. Otaczający ją krajobraz miał w sobie coś uspokajającego; te późne krwawniki i orliki kołyszące się na skraju rowu, te jabłka pobłyskujące w sadach. Gdy mijała kobyłę starego Lidbäcka, zwierzę zarżało.

Zatrzymała się i powiedziała do kobyły kilka przyjaznych słów.

Dom jej dzieciństwa, uboga drewniana chałupa, wydawał się jeszcze mniejszy, jak gdyby przystosował się do tego, że potrzebują go już tylko dwie osoby, nie trzy. Szary, melancholijny budynek, taki sam jak wtedy, gdy Anna wróciła ze służby u „starego profesora”. Później wyjechała do Sztokholmu, gdzie znalazła posadę u jakiegoś biznesmena mającego domy zarówno w Saltsjöbaden, jak i we Francji.

Annę zastąpiła Greta, a ją z kolei zastąpiła Agnes. Sztafeta sióstr utrzymujących porządek w domu Ohlerów.

Agnes wciąż pamiętała tamtą drogę z przystani do domu, jakby przemierzała ją wczoraj. To był taki bolesny, pożegnalny szlak. Trzydzieści pięć lat temu, pomyślała, wpatrując się w stopy w brodziku.

– On odszedł pierwszy – powiedziała matka, kiedy Agnes weszła do kuchni. Siedziała przy stole, na widok córki od razu naląła jej kawy z termosu, jak gdyby od dłuższego czasu oczekiwała przybycia Agnes. Wypiły kawę w milczeniu. Ojciec z upływem lat nieco złagodniał, a matka wręcz przeciwnie.

Greta była w domu pogrzebowym zajmowała się formalnościami. Agnes pomogła spakować rzeczy ojca do pudeł i toreb, które prawdopodobnie trafiły na poddasze. Nie pytała matki, co zamierza z nimi zrobić.

Klitka pod schodami, gdzie Aron urządził sobie mały gabinet, została już posprzątana, zapewne, jak przypuszczała Agnes, przez jej siostrę. Ale w wypaczonej szufladzie szafki nadgryzionej przez korniki odnalazła swoje dzieciństwo. W tej szufladzie ojciec trzymał tytoń, jedyną słabostkę, na którą sobie pozwalał. Nie palił, tylko odcinał długie warkocze i wsuwał do nosa. Robił tak, aby „preczyścić zatoki”.

To był zapach jej ojca, ale także rodzaj ziemskich perfum, swoiste wspomnienie o tym, że istnieje jakieś życie poza domem i kongregacją.

Wyciągnęła całą szufladę, zbliżyła do nosa i odetchnęła głęboko, doświadczając przy tym cichego poświęcenia ojca. Czuła, że była kochana, wprawdzie na ten jego powściągliwy sposób, ale jednak kochana.

Greta próbowała ściągnąć także Annę i zanim wróciła do Uppsali, spytała matkę, czy są jakieś wieści o najstarszej siostrze. Ta jednak nie

odpowiedziała, co Agnes uznała za „nie”.

Kilka dni później Agnes dostała zapalenia płuc i nie mogła pójść na pogrzeb ojca.

Woda w brodziku już dawno wystygła. Skóra na stopach rozmiękła, pomarszczyła się. Agnes wycierała je długo i dokładnie. Ta czynność zawsze sprawiała jej ogromną przyjemność.

Tutaj są szczury!

– To myszy – poprawiła Agnes.

– Co za różnica. – Birgitta rozejrzała się po bibliotece, jakby spodziewała się znaleźć ich jeszcze więcej. – Gryzonie to gryzonie, mogą nam wyjść dom od środka.

Być może ze zmęczenia oczy Agnes zasły łzami.

– Nie smuć się – powiedziała Birgitta, chwytając ją za ramię. – To nie twoja wina. Jestem po prostu zaskoczona, że w domu w ogóle jest coś takiego.

– Myszy nie robią wyjątków – odparła Agnes, uwalniając się z jej uścisku. – O tej porze roku wchodzą do domów. Każdej jesieni ustawiam kilka pułapek.

Birgitta przypatrywała się jej z szeroko otwartymi oczami.

– Robiłam tak przez te wszystkie lata – dodała Agnes.

– Rozmawiałś o tym z tatą?

– O czym?

– O myszach.

– Nie wiedziałam, że boisz się...

– Nie boję się! Nie rozumiesz? Pojawiają się tu ludzie, dziennikarze i inni, z całego świata, a ty zamierzasz paradować z pułapką na myszy. Dzisiaj wieczorem przychodzą koledzy taty. Jestem pewna, że usiądą tutaj po kolacji.

Agnes spojrzała na Birgittę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, ale córka Ohlera dostrzegła to znużenie, które pozwoliło pogardzie wymusnąć się zza polerowanej przez pół wieku maski.

– Wiem, co sobie myślisz!

Agnes odwróciła się.

– Myślisz, że jestem uparta i impertynencka.

– Ależ skąd – powiedziała Agnes, plecami do Birgitty.

– Spójrz na mnie!

– Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia – oznajmiła Agnes, ale odwróciła się, bardzo powoli, jakby ten ruch sprawiał jej ogromny ból.

– Ty wierzysz, że...

– Wiara to rzecz Kościoła – weszła jej w słowo Agnes i zamilkła, zdumiona swoją odpowiedzią.

Birgitta nadal się w nią wpatrywała.

– Muszę stwierdzić – to było kolejne wyrażenie odziedziczone po Bertramie – że ta nagroda niewątpliwe nieźle namieszała.

– Namieszane było już od dawna – mruknęła Agnes.

– Co masz na myśli?

Agnes podeszła do jednego z okien wychodzących na tyły domu.

– Palmér zasadził tę jabłoń w tym samym tygodniu, w którym się tu zjawiłam. To był zimny październikowy dzień, pamiętam, że para szła z ust. – Jej głos był chropowaty, jakby nie używała go od dawna.

Odchrząknęła. – Stałam dokładnie tutaj, pamiętam, jakby to było wczoraj. On był na dworze, a ja w środku, bo tu było ciepło. Chciałam go zawołać do kuchni na kawę, ale takich rzeczy nie wypadało robić. Nie znałam swojej pozycji, a kucharz też nie był miły. Twój dziadek i babcia jeszcze żyli, twój ojciec pracował w szpitalu akademickim, a ja... ja nie wiedziałam...

– Czego nie wiedziałaś?

Birgitta stanęła koło Agnes i też zaczęła się przyglądać drzewu ciężkiemu od owoców. Przez dłuższą chwilę słychać było tylko dźwięk deszczu uderzającego o szyby.

– Jak ułoży się życie – przerwała milczenie Agnes.

– Kto o tym wie, kiedy jest młody?

Agnes nie odpowiedziała. Intensywnie wpatrywała się w błyszczący owoc, który kołysał się na wietrze, obmywany deszczem.

– Myślę, że upiekę szalotkę – oznajmiła wreszcie.

– Żałujesz, że tu pracowałaś?

Agnes rzuciła Birgittie szybkie spojrzenie.

– Żałuję czy nie, przysłano mnie tutaj jako zastępstwo za moją siostrę.

Agnes wykonała prawie niezauważalny ruch głową i odeszła spod okna, szybkim krokiem zmierzając w stronę drzwi. Już z dłonią na klamce odwróciła się, aby coś jeszcze dodać, lecz zastygła w takiej pozycji i nie wypowiedziała ani słowa.

– Źle się czujesz? – spytała Birgitta.

– Powinnam się zająć kolacją – odparła Agnes, po czym wyszła z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

Może to deszcz sprawił, że Birgitta von Ohler jeszcze długo stała przy oknie, tak jak stoi się przy ogniu albo naprzeciwko kominka i wpatruje się w płomienie. Teraz urzekł ją deszcz równomiernie siekący o szyby i uparty, niemal agresywny odgłos kropel rozbijających się o parapet.

Zjawiała się w domu, żeby pomóc Agnes w przygotowaniu kolacji. Pomysł tej kolacji na pewno pochodził od Bertrama, bo kiedy tylko przyszła, Agnes zaczęła się dziwnie zachowywać, nietypowo opryskliwie, i twardo odmawiała przyjęcia jakiejkolwiek pomocy w kuchni.

Reakcję Agnes dałoby się jakoś wytłumaczyć, ale Birgitta i tak zatoneła w ponurym nastroju, dobrze pasującym do pogody. Miłe uczucie wynikające z przebywania w domu i możliwości przyglądania się ulewie z ciepłego, osłoniętego miejsca jakoś się nie pojawiało. Wręcz przeciwnie, poczuła chęć, aby wyjść, wystawić się na niepogodę, dać się ogarnąć deszczowi i wichurze.

Ojciec był w swoim gabinecie. Według Agnes spędzał tam codziennie po kilka godzin i nie życzył sobie, aby mu przeszkadzano. Bóg jeden wie, czym się zajmował. Pytała, ale nie uzyskała żadnej konkretnej odpowiedzi, tyle tylko, że porządkuje stare notatki i papiery.

Czasem bała się, że ojciec nie wytrzyma zmasowanego ataku gości i dziennikarzy, a potem samej ceremonii w Sztokholmie dziesiątego grudnia. Oczyma wyobraźni widziała, jak trzęsąc się, wstaje, aby odebrać nagrodę z rąk króla, ale potyka się i upada głową do przodu. Albo jak podczas telewizyjnego spotkania z innymi laureatami gubi wątek i zaczyna pleść coś bez związku z tematem, co ostatnio zdarzało mu się coraz częściej.

Birgitta podzieliła się swoimi obawami z Agnes, ta jednak pozostała wobec nich całkowicie obojętna, a może udawała, że ich nie rozumie. Wyglądała na zniechęconą i zmęczoną, jej lekko wyłupiaste oczy obwiedzione były cieniami, sugerującymi, że kiepsko sypia.

Wydawało się, że znużenie, które dotknęło Bertrama von Ohlera,

stopniowo przechodzi na jego gosposię. Ona też już nie jest młoda, pomyślała Birgitta. W ostatnie Boże Narodzenie, kiedy zgromadziła się cała rodzina, rozmawiała o tym z braćmi. Może powinni się zastanowić nad zatrudnieniem kogoś młodszego? Oczywiście Agnes mogłaby dalej tutaj mieszkać. Wyrzucenie jej po ponad pół wieku byłoby bezduszne, co do tego wszyscy się zgodzili.

Nie podjęli żadnej decyzji, częściowo dlatego, że zatrudnianie kogoś spoza kręgu rodziny Anderssonów z Gräsö, służących u Ohlerów od ponad siedemdziesięciu lat, wydawało się bezsensowne. Niestety nie było tam więcej sióstr ani żadnego młodego pokolenia.

Postanowiła podnieść tę kwestię jeszcze raz, gdy Abraham i Carl przyjadą z Uppsali. Agnes na pewno zaprotestuje z oburzeniem, ale może w końcu uzna, że miło jest pracować tylko kilka godzin dziennie, a główne obowiązki przekazać komuś innemu. Ostatnimi czasy okazywała swoistą cyniczną obojętność wobec stanu otaczających ją rzeczy, podejście wcześniej w ogóle nie do pomyślenia. Birgitta szukała w domu oznak tego nowego nastawienia, lecz żadnych nie potrafiła znaleźć. Wszystko aż błyszczało, przygotowywanie posiłków przebiegało nienagannie, a ojciec nie wypowiedział nawet słowa skargi.

Agnes się zmieniała, ale w jeszcze większym stopniu dotyczyło to ojca. Początkową euforię i niemal chłopięcą radość z nagrody zastąpiło rozdrażnienie. Była przekonana, że głęboko w sobie nosił coś, co go martwiło. Próbowwała dociec, co to takiego, ale została odrzucona, najpierw burkliwie i w zasadzie łagodnie, kiedy jednak kolejny raz poruszyła tę kwestię – ze złością i tak kategorycznie, że aż oniemiała.

Ojciec nie miał zwyczaju podnosić głosu, chociaż zdarzało mu się czasem warknąć. Zwykle ograniczał się do unikania jej pytań, więc kiedy niespodziewanie użył tego szorstkiego tonu, na chwilę odżyły wspomnienia z dzieciństwa i młodości, gdy rodzice ścierali się ze sobą.

Potem chyba żałował, tłumaczył, że jest zestresowany, ale nie powiedział nic więcej, nie dał żadnej wskazówki, czym się martwi. Dobrze znała ojca i wiedziała, że coś ukrywa.

Ciągle grzebał w starych papierach – cokolwiek mu to miało dać – i prawie nie odpowiadał na pytania. Przestał nawet grać w brydza, wcześniej rzecz zupełnie nie do pomyślenia. Nie mógł jednak uniknąć tej

kolacji. Jak powiedział Agnes, w chwili słabości, zaprosił na „skromny posiłek” profesora Ahla i paru kolegów, czego od razu pożałował.

Może jego rozdrażnienie i potrzeba izolacji wynikały z podekscytowania i generalnej niechęci do stania w światłach jupiterów. Chciała w to uwierzyć, ale wciąż dręczyło ją poczucie, że chodzi o coś innego.

Zapomniała spytać, czy zaproszony został również Gregor. Kiedy spotkała go na ulicy, wyglądał dziwnie. Johansson nie był może duszą towarzystwa, ale zawsze pozostawali w dobrych stosunkach. Dziś najpierw wpatrywał się w Birgittę jak w ducha, a potem szybko odszedł, niczym spłoszone zwierzę.

Chuchnęła na szybę i zaczęła pisać w powstałej parze swoje imię. Dochodzące z góry odgłosy skrobania przywróciły ją do rzeczywistości. Postanowiła zadzwonić do Liisy i powiedzieć, że zostanie tu jeszcze kilka godzin. Niezależnie od tego, co twierdziła Agnes, do przygotowania kolacji na pewno przydadzą się dwie osoby.

Liisa nie będzie zadowolona. Zawsze miała na pieńku z Bertramem, od początku toczyli taką dziecięcą rywalizację o względy Birgitty. Czasem wynikały z tego naprawdę idiotyczne zagrania, zwłaszcza ze strony ojca.

– Czy Gregor, docent Johansson, też jest zaproszony na kolację? – spytała Birgitta, zajrzawszy do kuchni.

– Nie – odpowiedziała Agnes, zatrzymując się przy tylnych drzwiach. W jednej ręce trzymała kosz, a w drugiej parasolkę.

– Widzę, że robisz kawę. Wypiłabym filiżankę.

Agnes skinęła głową w stronę zaparzacza i otworzyła drzwi. Do kuchni wpadł podmuch jesiennego wiatru przesiąkniętego deszczem. Agnes rozłożyła parasolkę i wyszła do ogrodu.

Ukłucie melancholii sprawiło, że Birgitta podeszła do okna. Jest tak samo jak czterdzieści lat temu, pomyślała. Byłam małą dziewczynką, stałam w kuchni i patrzyłam na Agnes wychodzącą do ogrodu nazrywać owoców. Teraz ja jestem kobietą w średnim wieku, a ona pozostała taka sama.

Przyglądała się Agnes, która zrywała jabłka. Czasem korzystała z parasolki, aby któreś strącić. Zanim Birgitta zdecydowała się porzucić

pozycję widza i jej pomoc, było już za późno. Agnes nazbierała pełen koszyk i wróciła do kuchni.

Wyglądała na zadowoloną. Birgitta zawsze rozpoznawała jej nastroje nie na podstawie wyrazu twarzy, ale ruchów. Teraz też. Sposób, w jaki otrzepała parasolkę, zamknęła za sobą drzwi i postawiła kosz z jabłkami na stoliku pod oknem, znamionował energię i sprawność zaskakujące u kobiety w jej wieku. Właśnie te jej cechy Birgitta podziwiała najbardziej. Nikt inny nie wykonywał swoich obowiązków z taką efektywnością.

– Deszcz nie chce dać za wygraną – zauważyła Agnes. Z jej głosu zniknęła surowość.

– Mam pokroić jabłka? – spytała Birgitta.

Agnes wahała się chwilę, a potem napełniła wodą plastikową rynienkę, postawiła ją na stole, sięgnęła po obieraczkę i przysunęła sobie krzesło.

– Tylko na nie za małe kawałki – powiedziała.

– Jaka to odmiana?

– Cox pomona.

Pracowały w ciszy. Birgitta siedziała przy stole, obierała i kroїła owoce, a Agnes siekała na blacie cebulę i kłącza.

– Wiesz, Agnes – przerwała milczenie Birgitta – jak byłam mała, to myślałam, że za każdym razem, kiedy wychodzisz z domu, znikasz, nawet jeśli szłaś tylko nazbierać trochę porzeczek albo do sklepu po mleko.

Agnes rzuciła jej szybkie spojrzenie, ale nic nie powiedziała.

– To były okropne czasy, prawda? Że też ja wytrzymałam te wszystkie kłótnie. – Birgitta wyjęła z koszyka następne jabłko. – Ale przecież musiałam, byłam tylko dzieckiem.

– Twoja matka piła – stwierdziła Agnes.

Nożyk Birgitty zatrzymał się w połowie ruchu.

– Twoja matka była nieszczęśliwa – dodała gospoia.

Birgitta wpatrywała się w przygarbione plecy gospoisi. Słysząc było tylko dźwięk noża uderzającego o deskę do krojenia.

– Co masz na myśli?

Agnes odwróciła się z nożem w dłoni. Birgittę uderzył ostry zapach

cebuli.

– Dokładnie to, co powiedziałam. Twoja matka była nieszczęśliwa i piła.

– Moja matka była chora.

– Pochorowała się, owszem.

Birgitta wpatrywała się w starszą kobietę, próbując dostrzec na jej twarzy chociaż odrobinę łagodności, otwartości na inną opowieść. Ale zobaczyła tylko determinację, surową, nieprzejednaną zaciekłość, którą tak dobrze знаła, a z którą, jak przypuszczała, Agnes miała do czynienia od dzieciństwa, pełnego modłów i postów. Żaden kompromis nie wchodził w rachubę.

Uniosła jabłko do nosa, aby odsunąć zapach cebuli.

– Ale teraz nie ma co o tym mówić – oznajmiła Agnes i wróciła do pracy.

Birgitta odgryzła kęs jabłka.

– Zamierzam upiec dwie szarlotki – powiedziała Agnes, odwrócona do niej plecami. – Jeśli masz ochotę na jabłka, to możesz wyjść i sobie nazrywać.

Podeszła do lodówki i wyjęła paczkę wołowiny z kością. Prawdopodobnie przygotuje na kolację klasyczny zestaw w tym domu: bulion oraz pieczony filet z sosem pieczarkowym i smażonymi ziemniakami z dodatkiem ziół, pomyślała Birgitta.

Wstała, włożyła stare pantofle, które Agnes zawsze stawiała przy drzwiach, i wyszła do ogrodu. Była pewna, że gospościa wciąż jej się przypatruje, więc odwróciła głowę ku niebu i na jej twarzy osiadły drobne krople mżawki, niczym chłodny, odświeżający balsam.

Wiedziała, że w ten sposób zirytuje Agnes.

– Przeziębisz się – usłyszała od niej, kiedy wróciła do kuchni.

– Chciałabym, żeby już była kolacja – powiedziała.

– Wątpię, żeby było na niej wesoło – odparła Agnes.

– Myślałam o jedzeniu – wyjaśniła Birgitta. – Mogłybyśmy zjeść w kuchni we dwie, jak wtedy, gdy...

– Muszę usługiwać przy stole – ucięła Agnes.

– Na to też będziesz miała czas.

Agnes tylko zacisnęła usta i pokręciła głową.

– Mogę ci pomagać – zaproponowała Birgitta, ale od razu uświadomiła sobie, że to nie jest dobry pomysł.

– Pomyśl, jakby to wyglądało – obruszyła się Agnes.

Birgittę ogarnęła irytacja na ten brak wyobraźni gosposi. „Pomyśl, jakby to wyglądało”, przedrzeźniła ją w duchu. Ale irytacja szybko zmieniła się w swoistą melancholię, której ostatnio doznawała coraz częściej podczas wizyt w rodzinnym domu. Miała wrażenie, że im jest starsza, z tym większą siłą powraca do niej znane z dzieciństwa poczucie braku stabilizacji, jak gdyby zapachy domu, widok ciężkich mebli i wytartych dywanów sprowadzały ją z powrotem na pole minowe, na którym w każdej chwili mogła wybuchnąć kłótnia. Wolność zawsze była gdzieś poza domem, w ogrodzie albo w starej altance skleconej przez jakiegoś dalekiego krewnego na początku lat sześćdziesiątych; w miejscach, których nie odwiedzali ani Bertram, ani Dagmar.

Liisa żartobliwie nazywała Ohlerów „łowcami głów”. Choć nigdy nie wyjaśniła, o co jej właściwie chodzi, sama Birgitta myślała czasem o swojej rodzinie jak o nowogwinejskim plemieniu, które suszy i preparuje głowy swoich wrogów. Ten obraz, dziwaczny i śmieszny, stanowił zarazem wyraz jej troski.

– Dlaczego myślałaś, że za każdym razem, kiedy wychodzę z domu, znikam? – spytała Agnes.

Długość pytania i sam fakt, że w ogóle je zadała, wywołały u Birgitty emocjonalne tąpnięcie.

– Myślę, że bałam się być sama – odpowiedziała, kierując spojrzenie za okno, gdzie między konarami drzewa i poczerniałymi liśćmi widać było spłachetki błękitnego nieba.

– To ci nie groziło – rzekła Agnes. – Trwałam tutaj. Zawsze.

– Żałujesz?

– Może ja też się bałam – odparła Agnes po chwili.

Chwyciła rondel – twardo obstawała przy tym, że bulion należy przygotowywać w żelaznym rondlu – wrzuciła do niego mięso i warzywa, wsypała sól i kilka ziaren pieprzu, dodała liście laurowe, wlała nieco wody i pół butelki wina, portugalskiego, jak zauważyła Birgitta. Postawiła naczynie na kuchni i włączyła palnik.

– Gotowe – mruknęła.

Birgitta pokroiła ostatnie jabłko i pozwoliła kawałkom moknąć w rynience z wodą. Chciałaby mieć więcej owoców do obierania.

– Całe szczęście, że przywiozłam kurki – powiedziała Agnes.

– Z wyspy?

Agnes przytaknęła.

– Ugotowałam bulion wczoraj, ale dopiero dziś rano dowiedziałam się o tej kolacji.

– Na pewno będzie bardzo dobry, jak zwykle – stwierdziła Birgitta.

Agnes stała przy kuchni i mieszała w rondlu. Parę razy usunęła szumowiny i zostawiła bulion na wolnym ogniu, żeby się pogotował kilka godzin.

– Zawsze bałam się życia na zewnątrz – powiedziała niepytana, wskazując łyżką w stronę okna. – A tutaj miałam pensję i dach nad głową.

– Ale byłaś szczęśliwa, prawda?

Agnes parsknęła.

– Wszyscy myśleliście, że nie umiałabym robić niczego innego – odparła. – Niczego poza szorowaniem, odkurzaniem, gotowaniem, sprząaniem. I może to prawda.

– Jesteś niesprawiedliwa – powiedziała Birgitta. Wstała i podeszła do gosposi. – Spójrz na mnie.

Agnes wolno odwróciła głowę. Oczy miała zwykle mętne, a teraz, może przez panujący w kuchni żar, a może z powodu rozmowy o szczęściu i tych wszystkich myśli, które ze sobą przyniosła, jeszcze bardziej zwilgotniały.

– Wiesz przecież, że cię zawsze docenialiśmy! – oznajmiła Birgitta. – Cała rodzina. Tata, chociaż nie jest wylewny. A mama chciała cię zatrzymać.

Łyżka znieruchomiała w rondlu.

– Co masz na myśli, mówiąc, że chciała mnie zatrzymać?

– Nic takiego – odparła Birgitta, oblewając się rumieńcem.

– Nic takiego – powtórzyła Agnes, wracając do mieszania bulionu.

Birgitta wychwyciła w jej głosie sceptyczny ton.

– Wiem, że profesor chciał mnie zwolnić, ale Dagmar interweniowała.

– To nieprawda!

– To taka sama prawda jak to, że tutaj stoję. A czy istnieje więcej niż tylko jedna prawda?

– Czasami tak – powiedziała Birgitta, której ulżyło, że tak łatwo uszło jej płazem. – Ja będę trzymała się swojej.

Agnes odwróciła się do paleniska.

– To może któregoś dnia dowiesz się, dlaczego twój ojciec chciał mnie wyrzucić na ulicę?

– Pewnie chciał zaoszczędzić na prowadzeniu domu.

– To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. – Agnes prychnęła, jakby dla podkreślenia tego, co myśli na temat rozumienia przez Birgittę różnych spraw. – A teraz muszę cię przeprosić. Muszę przygotować pieczeń.

– Jak mam dowiedzieć się prawdy? Tata niechętnie o czymkolwiek opowiada.

– Będziesz musiała poczekać, aż umrę – odparła Agnes. – A to może nastąpić lada chwila.

– Nie mów tak!

– Co ja tam wiem?

– Przestań.

– Możliwe, że już niedługo.

Birgitta bez słowa wyszła z kuchni. Na schodach zdjęła pończochy i postawiła na trawniku kilka swobodnych kroków, z lekkością, która w żaden sposób nie odpowiadała temu, co działo się w jej duszy. Musiała się oddalić od Agnes i tych jej uników. Nie znosiła, gdy ludzie zagłębiali się w dawnych niesprawiedliwościach, ciągle wracali do nich myślami i raz za razem się nad nimi rozwodzili.

Na co właściwie Agnes miałyby narzekać? Przecież mogła w każdej chwili odejść z tego domu, a jednak spędziła w nim ponad pięćdziesiąt lat. Dostawała godziwe pieniądze, miała darmowe jedzenie i mieszkanie i nigdy jej nie dokuczano, a przecież skończyła tylko sześć klas podstawówki i kilka kursów dla gospodyń domowych.

W kuchni miała ochotę wykrzyknąć jej to w twarz, ale uświadomiła sobie, że to do niczego dobrego nie doprowadzi. Wiedziała, jak ważne jest utrzymywanie Agnes w dobrym nastroju, bo głównie ona zajmowała

się tym domem. Ojciec, nawet jeśli został laureatem Nagrody Nobla, kiepsko by sobie bez niej radził, a tylko Birgitta mogła tutaj zaglądać. Bertram nigdy by się nie zgodził na jakąś opiekunkę socjalną. Prędzej umarłby z zaniedbania.

Od dzieciństwa czuła też respekt przed Agnes. Uświadomiła sobie, że on nigdy nie minie. Agnes była zamknięta w sobie i dumna, a jednocześnie cechowała ją typowa dla ludzi z niższych klas przenikliwość, którą Birgitta wyczuwała i która, nawet jeśli nie wywoływała strachu, to swoisty dyskomfort. Zawsze miała wrażenie, że służba potrafi przejrzeć ją na wylot, że umie zajrzeć w każdy kącik, w którym nazbierał się rodzinny brud, a wyraz twarzy służących nigdy nie zdradza tego, co naprawdę myślą.

Kontakty ze służącymi opierały się na niepisanej umowie, której podstawę stanowiły posłuszeństwo i milczenie. Zakładano, że Agnes, tak jak inni o jej pozycji, pozostanie lojalna, ale nikt nie mógł założyć, że będzie tak zawsze. Istniała groźba pojawienia się konia trojańskiego – przy rondlach w kuchni, podającego posiłek w jadalni albo sprzątającego sypialnię pełną najintymniejszych ubrań i zapachów. Zawsze czuła obawę przed jakąś piątą kolumną, czynnikiem, który martwił klasę wyższą i stanowił dla niej źródło irytacji.

Liisa była osobą, która na swój efektywny fińsko-szwedzki sposób – jak gdyby brzmienie języka podkreślało myśli – ustawiła Birgittę na właściwym torach, a niewypowiedziany dyskomfort ubrała w słowa. To ona sprawiła, że Birgitta potrafiła teraz spoglądać wstecz, na własne dzieciństwo i dojrzewanie.

Liisa, spokojna i opanowana dzięki wieloletnim treningom na strzelnicy, przywracała Birgittę do rzeczywistości, ilekroć ta zaczynała snuć rozważania, dlaczego w rodzinie Ohlerów sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej.

Do tego ogólnego obrazu można było jeszcze dodać cechy wynikające z wychowania Agnes. Nie, żeby wygłaszała kazania – Birgitta nigdy nie słyszała, aby odwoływała się do Biblii, nigdy też nie widziała jej modlącej się. Jednak Bóg stale był obecny w jej życiu, a konkretnie przeświadczenie, że Bóg przewyższa cokolwiek innego, znaczy więcej niż prestiż i bogactwo Ohlerów i właśnie On ma

pierwszeństwo, kiedy trzeba rozwiązywać marne ziemskie problemy. Agnes zawsze ze sceptycyzmem przyglądała się drzewu genealogicznemu Ohlerów, a opowieści o dokonaniach rodu słuchała z roztargnieniem.

Wilgotna trawa dobrze zrobiła Birgittie. Popatrzyła na odciski swoich stóp na murawie, a potem jej spojrzenie powędrowało po okolicy. Od strony sąsiedniego domu dobiegała muzyka organowa. Hyllenius podniósł flagę, więc pewnie ktoś tam obchodzi urodziny. Po chwili dostrzegła, że mokra flaga wisi w połowie masztu, i uświadomiła sobie, że ktoś zmarł. Na wieży widziała Gregora pośród roślin. Skądś dobiegał dźwięk pracującej maszyny, zapewne piły mechanicznej, chyba z posesji tego wydawcy, najbardziej anonimowego z sąsiadów.

Wyczuwała, że Agnes zerka na nią przez kuchenne okno, jak wtedy, gdy była dzieckiem. Wywołało to u Birgitty mieszane uczucia, tak jak wiele innych spraw związanych z tym domem. Uświadomiła sobie, że nie tylko dom, ale w ogóle cała okolica powoduje u niej dziwną klaustrofobię, jak gdyby wszystko otaczała mgła, niezdrowy opar, pośród którego te same postacie rok po roku wykonują te same schematyczne ruchy. Dokąd prowadził ten mechaniczny taniec śmierci? Może słowa Liisy o łowcach głów dotyczyły całego Kåbo?

Chwilę przyglądała się Gregorowi Johanssonowi na jego wieży. Czyżby zmierzał ku splątaniu i demencji? Ich spotkanie na chodniku sugerowałyby coś takiego. Do tego Torben Bunde, komicznie upajający się Bachem, przez co później wypisywał dziwactwa. Dalej Hyllenius, który starał się wzbudzać szacunek swoimi kupionymi tytułami i kiepsko udawanymi dobrymi manierami, teraz pogrążony w żałobie. W żałobie? A może wręcz przeciwnie, może świętują tam otrzymanie spadku?

Lepiej byłoby dorastać w Salabackarze albo przy Kvarngärdet, w rodzinie bez dziedzictwa i fortuny. Wtedy nie musiałyby bronić niczego innego oprócz prawa do mniej lub bardziej godnego życia. Ta myśl przychodziła jej do głowy coraz częściej, w miarę jak zbliżała się do pięćdziesiątki, wieku rozliczeń i podsumowań.

Miała poczucie straty, brakowało jej czegoś, czego nie знаła, czego zapachu i smaku nie poczuła, ale co z pewnością tutaj było.

Czegoś, czym rodzina Ohlerów i cała okolica gardziła, o czym

wyrażała się źle i w strachu przed czym żyła, a co kusiło słowami w języku, którego ona nigdy nie opanowała.

Strach czasem przybierał komiczną formę. Birgitta nigdy nie postrzegała tego w taki sposób, dopóki Liisa nie uświadomiła jej, że obawy innych są całkowicie bezpodstawne i żałosne. Ludzie z Kvarngärdet – nieważne, jak pachnieli – nigdy nie najechaliby Kåbo. To był równie absurdalny pomysł jak to, że Agnes mogłaby się kiedyś zbuntować.

Birgitta zerknęła przez kuchenne okno na krzątającą się Agnes. Przepęliło ją współczucie dla gosposi, od tylu lat zamkniętej w tym domu. Ona, tak samo jak jej bracia, stąd uciekła.

Z tego, co się orientowała, Agnes nigdy nie miała mężczyzny i najprawdopodobniej wciąż była dziewicą. Zamężna kobieta nie mogłaby być gosposią, chyba żeby jej mąż pracował dla tej samej rodziny. Birgitta widywała w dzieciństwie służących żyjących w szczęśliwych małżeństwach. Próbowала sobie wyobrazić Agnes z jakimś mężczyzną. Rzecz nie do pomyślenia, uznała, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jaki to byłby kontrast w stosunku do pożycia jej własnych rodziców, najpierw pełnego rozgoryczenia i pretensji, a potem jawnej nienawiści.

Organowa muzyka dobiegająca z domu Bundego zagrzmiała jeszcze głośniejsze, najwyraźniej utwór zmierzał do finału. Birgitta zaczęła się śmiać, jak gdyby długo narastające napięcie rozładowało się gwałtownym paroksyzmem, przerwany dopiero przez jabłko, które upadło przed nią z głuchym odgłosem. Pochyliła się, podniosła owoc i przesunęła nim po twarzy.

Karsten Haler doszedł do wniosku, że kobieta jest córką Bertrama von Ohlera. Bo kto inny chodziłby boso po jego podwórzu? Było w niej coś przerażającego, jak w człowieku niezdolnym nad sobą zapanować, kontrolować ruchy czy potrzeby fizjologiczne. To dorosła kobieta, a nie dziecko, które można by jakoś wytłumaczyć. A przecież dzień jest zimny i wilgotny. Wszystko to sprawiło, że poczuł się nieswojo.

Niespodziewanie wybuchła histerycznym śmiechem. Miał ochotę kazać jej przestać, ale się powstrzymał.

Kiedy upadło jabłko, natychmiast ucichła. Pomimo odległości dostrzegł, z jaką błogością pociera nim policzek. Jednak wcale jej to nie uspokoiło, wręcz przeciwnie, wzmocniło kapryśność, która, jak wyczuwał, mogła zaprowadzić kobietę dokądkolwiek.

Nic o niej nie wiedział. Może jest obłąkana?

Przemknęło mu przez myśl, żeby ją zawołać, zamienić z nią kilka słów, może nawet wyciągnąć parę informacji. Ale przez to, jak wyglądała, porzucił ten pomysł.

Teraz stała pod drzewem, beztriosko opierając się o pień, i jadła to jabłko, którego wcześniej z lubością dotykała. Przypominała mu pajęczycę pożerającą swoich kochanków.

To była dziwna okolica, ponura i cicha, wyjąwszy muzykę dobiegającą z sąsiedniego domu, która, jak ze zdumieniem zauważył, prawie nie ustawała. Posępne buczenie organów tylko podkreślało beznadziejny smutek, jaki spoczął na tych domach.

Jakąkolwiek aktywność wykazywał tylko mężczyzna w oświetlonej okrągłej szklarni na dachu. Ten sam, z którym rozmawiał chwilę zeszłego wieczoru i który robił wrażenie trochę roztargnionego, ale bez wątpienia sympatycznego. Nie tylko szklarnia czy gigantyczna pnąca się hortensja świadczyły, że interesuje się roślinami. Na jego posesji rosło kilka innych interesujących krzewów, a chociaż Karsten nie potrafił ich zidentyfikować z takiej odległości, ciemnoczerwone liście przykuły jego uwagę.

Próbował sobie wyobrazić, jak życie tutaj wyglądało przed

dziesięcioleciami. Zapewne niewiele się zmieniło. Domy zostały wzniesione jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt lat temu, solidne kamienne budynki na sporych parcelach, gdzie zostało jeszcze miejsce na drzewa owocowe, trawniki do gry w krykieta i do opalania się, a w paru przypadkach także na baseny.

Uderzało go, że okolica wygląda jak rezerwat przyrody, w którym rzadkie rośliny otaczane są szacunkiem i troską i którego – w przeciwieństwie do Etoszy^[1], gdzie kilka lat pracował jako przewodnik – nie najeżdżają hordy rozzuchwalonych turystów z lornetkami i drogim sprzętem fotograficznym.

Był tutaj intruzem, starannie przebrany i wyposażony w narzędzia dające mu dostęp do samej śmietanki mieszkańców Uppsali, do tych „wykształconych i wyrobionych”, jak nazywała ich matka.

Tych, którzy mają co najmniej dwa drogie samochody zaparkowane pod domem, żeglują po Karaibach, na narty jeżdżą w Alpy, zakupy robią w Londynie i w Nowym Jorku i narzekają na obciążenia podatkowe pod dyktatorskimi rządami socjaldemokratów. O tym wszystkim w młodości opowiadał mu ojciec, a on brał to za jakieś zawistne narzekanie.

To doświadczenia z Afryki pozwoliły mu zrozumieć kontekst. Potrzebował wioski w Namibii, żeby zrozumieć Uppsalę.

Poczuł chłód pełną po nodze. Kobieta już dawno opuściła ogród. Nie rozumiał, po co sam wciąż tutaj stoi, co może zdziałać swoją bezczelnością. Nie miał przecież żadnego planu, tylko myśl, jak wielką niesprawiedliwość stanowi to, że Bertrama von Ohlera fetuje się teraz na każdy możliwy sposób.

Niesprawiedliwość istnieje po to, aby z nią walczyć – tak zawsze twierdził ojciec, a akurat na tym się znał. Chociaż w jego nastawieniu mieściła się też pewna pobłażliwość. W samym środku przemowy potrafił przerwać i zacząć się śmiać z siebie samego i z własnych tyrad, umniejszyć to, przy czym przed chwilą obstawał, i to z naciskiem.

Może ciężar, który dźwigał, od kiedy przybył na brzeg Trelleborga, pod cuchnącym płaszczem tuląc syna do wychudzonej piersi, był tak wielki, że wszystko inne wydawało mu się małe?

W porównaniu ze złem, jakiego doświadczył podczas wojny,

niedociągnięcia i codzienne spory bladły, powodowały jedynie krótkotrwałe rozdrażnienie, coś takiego jak wtedy, gdy natrętna mucha brzęczy koło głowy. Może właśnie tak on sam powinien patrzeć na laureata Nagrody Nobla Bertrama von Ohlera. Jak na natrętną muchę.

Ale przecież od muchy człowiek odruchowo się opędza. I nie zawsze zastanawia się przy tym, czy ją trafił. To bardziej gest mający dać upust irytacji wywołanej obecnością namolnego owada. A potem jest głupia duma z własnej szybkości, kiedy małe truchło toczy się po ziemi, macha zafajdanymi łapkami i bladymi skrzydełkami, umierając bezbolesną, bezkrwawą śmiercią insekta, sensowną jak na owada. Sam był sobie winien, myśli człowiek beztrosko. Może tylko odrobinę się zawstydzi, że użył przemocy wobec tak nieważnego i w zasadzie niewinnego stworzenia.

Zero planu, zero pomysłu. Tylko nieustająca wściekłość. Powinien o tym wszystkim zapomnieć, bo na co komu wyciąganie na światło dziennie wszystkich starych brudów? Może jego rodzicom wcale by się to nie spodobało? Co się stało, już się nie odstanie, na pewno do takiego wniosku doszliby w swoim niebie.

Ale złość była za duża.

Ojciec coś by zrobił! Ta myśl nadleciała jak pocisk, uderzając z taką mocą, że aż musiał oprzeć się o ścianę. Tak, tak by właśnie było! Miłość Ludwiga Hallera do rodziny była tak bezwstydnie bezwarunkowa. Torowała sobie własne ścieżki, pokonywała wszelki opór, przewyciężała każdą przeszkodę, nawet jego przeszłość. Wbrew bolesnym wspomnieniom całego kontynentu Ludwig Haller, który stracił wszystko i prawie wszystkich, uciekinier, który widział wszystko, czego nigdy nie powinno oglądać żadne ludzkie oko, zachował miłość do swojego jedyne syna i do swojej żony.

Zemsta, jeżeli dotyczyła tych, którzy byli mu drodzy i bliscy, stanowiłaby coś równie oczywistego, kategorycznego i natychmiastowego jak miłość. Ojciec nie wahałby się ani sekundy.

Niezdecydowanie stanowiło zdradę. Dziadek Karstena, ojciec Ludwiga, nie potrafił się zdecydować, co kosztowało życie jego samego i wielu członków jego rodziny.

A może istniały jakieś inne przyczyny tego, że tyle czasu

wpatrywał się w dom starego człowieka, którego osobiście nie znał, którego nigdy nie spotkał, o którym tylko słyszał i czytał i blisko którego znalazł się teraz za sprawą niezbadanego zrządzenia losu.

Jak gdyby zdjął pokrywę studni i wpatrywał się w ciemną głębinę o kamiennych ścianach ociekających wilgocią i pokrytych połaciami mchu, które przypominały zeschlą czarną krew.

Gdzieś w tej głębinie byli jego rodzice, przemawiali do niego. Ojciec z tym swoim lekkim zaśpiewem i matka o łagodnym głosie. W dzieciństwie i tym ojcowskim zaśpiewem, i matczyną łagodnością instynktownie gardził.

Tam czaiła się także Nouibiwi, miss Elly, jak nazywał ją, zanim się pobrali, i również potem, chociaż tego nie lubiła. Ona mówiła niewiele, ale gdy już się odezwała, jej słowa zawsze były pełne mądrości.

Nouibiwi nie odzywała się z głębin studni, tylko patrzyła na niego tymi swoimi ogromnymi oczami, a ich białka błyszczały wśród ciemności, zachęcając, aby wreszcie coś zrobił!

Spojrzał w stronę domu Ohlera, który teraz przybrał całkiem inne proporcje, jakby się zmniejszył. Otynkowana fasada z ciemnymi plamami od deszczu nie wyglądała już tak przytłaczająco. Kiedy przyjrzało się dokładniej, można było dostrzec pęknięcia, zapewne powstałe z powodu osiadania na cienkiej warstwie gliny, na której spoczywało całe miasto. Po prostu brzozy rosły za blisko domu. Trzeba by je usunąć, chociażby po to, żeby wpuścić więcej słońca.

Okna, wcześniej zapraszające zgrabnymi lampami i roślinami w doniczkach, teraz, w mroku październikowego popołudnia, przypominały czarne oczy złowrogo przypatrujące się okolicy.

Podniósł z taczki łopatę i zważył ją w dłoni. Na trzonku, na wysokości siedemdziesięciu i dziewięćdziesięciu centymetrów, miała wycięte dwie głębokie szczyrby, które ułatwiały sadzenie. Właściwie ich nie potrzebował, bo i bez nich bezbłędnie potrafił ocenić głębokość kopanego dołu, ale pozostał mu zwyczaj żłobienia takich oznaczeń.

Wpatrywał się w narzędzia na taczce: młot, podkaszarkę, łom i jeszcze sporo innych.

Powinienem zbić szafot, pomyślał, taki toporny, szorstki, i postawić go w tym rezerwacie wysokiej kultury. Mogłaby przy tym

dudnić organowa muzyka.

– Tak, powinienem – powiedział na głos i odłożywszy łopatę, sięgnął po szpachelkę i szpadel oparty o drzewo.

Kontynuował mozolną pracę. Ziemia była twarda i atakowała wszelkimi rodzajami korzeni. Znowu pomyślał o brzożach, które przydałoby się usunąć. Postanowił kopać na głębokość czterdziestu centymetrów. Jeśli natknie się na jakieś większe kamienie, zostawi je. Głębokość sadzenia powinna wynosić co najmniej sześćdziesiąt centymetrów, ale że kopało się tu wyjątkowo ciężko, zdecydował się nieco podnieść grządki. Zresztą proponował to od razu, ale właściciel posesji odmówił, sądząc, że po jakimś czasie rośliny nieco osiądą.

Najchętniej po prostu wynająłby małą koparkę i wykonał całą robotę raz-dwa, ale i tutaj spotkał się ze sprzeciwem. Musiał więc kopać ręcznie. W gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko. Praca była mozolna i monotonna, ale po jakimś czasie precyzyjnie odmierzone ruchy wytworzyły przyjemny rytm, niemal hipnotyczny, a powtórzenia zapewniały czas na refleksję, czy raczej swoisty medytacyjny spokój.

Deszcz nie przeszkadzał, wręcz przeciwnie, rozmiękczał grunt. Karsten pracował w pocie czoła, jak zwykle. Każda wyrzucona szufla wymagała podobnego wysiłku mięśni, ale jednocześnie swoistej automatycznej finezji, która radowała Karstena, dawała mu satysfakcję. Ktoś obserwujący go mógłby pomyśleć: „Dobrze, że ja nie muszę wykonywać takiej mechanicznej pracy”.

Wiele razy różni ludzie współczuli mu, że musi się mozolić w taki staroświecki sposób. On widział to inaczej. Uważał, że to oni tracili coś cennego, i to ich należało żałować. Dostrzegali tylko pot na jego czole i mięśnie zmuszane do pracy. Niczego poza tym.

Dopiero o zmierzchu wyprostował się i odłożył szpadel. Miał ochotę na papierosa, jak zawsze po skończeniu pracy, chociaż rzucił palenie ponad dziesięć lat temu.

Rozejrzał się, by ocenić efekt swoich wysiłków. Rośliny miały pokryć obszar około piętnastu metrów kwadratowych i ponad połowę już przekopał. Uderzył nogą w kamień na dnie wykopu, co natychmiast uwolniło go z uchwytu gliny. Uznał to za dobry omen. Jutro dokończy wykop i napełni go własną mieszanką dla roślin gleb kwasowych:

świerkowymi igłami, szyszkami i gałęziami, torfem, kompostem i odrobiną żwiru. Proporcje bywały różne, nie trzymał się jakiegś sztywnej reguły, pracował na wyczucie, wrzucając to, co akurat uznał za odpowiednie. Gdy trafiał na zbutwiałą kłodę albo pień, też je wrzucał. Tym razem zamierzał przykryć mieszankę gałązkami odciętymi z trzmieliny rosnącej z przodu domu.

Przypomniawszy sobie, że na sąsiedniej posesji rośnie wysoki, rozłożysty buk, który musiał zrzucić mnóstwo liści. Postanowił zapytać właściciela, czy mógłby zebrać trochę tych liści do worków.

Spojrzał w górę na oświetloną szklarnię. „Człowiek z wieży”, chociaż częściowo ukryty za roślinami, był całkiem dobrze widoczny. Stał i przyglądał mu się. Karsten uniósł rękę i pomachał mężczyźnie, ten jednak wycofał się, nie odpowiedziawszy na pozdrowienie.

Samotny, zdziwaczały ramol, pomyślał Karsten, zbierając narzędzia i obracając taczkę. Ale pewnie podzieli się bukowymi liśćmi.

Spojrzał na wykopane doły i poczuł się, jakby stał nad otwartym grobem. Pół roku temu, w taki sam deszczowy dzień, był na pogrzebie swojej matki. Nieliczni żałobnicy kulili się pod parasolami, jakaś kobieta powiedziała coś, czego nie dosłyszał, inna kiwała ku niemu głową, a potem wszyscy odeszli, nie chcąc przeciągać ceremonii. Wtedy był zadowolony, że nie odbyła się stypa, że nie było żadnych przemów wśród szczęku filiżanek z kawą i talerzyków z ciastem. Na pogrzeb przyszło tylko pięć osób, nie licząc księdza, więc samotne życie matki wydałoby się jeszcze bardziej pożałowania godne, gdyby na stypie po niej pojawiła się taka garstka.

Kiedy jednak grób zasypano i ułożono na nim kilka wieńców, a na małym cmentarzu zapanowała cisza, Karsten zastanowił się, jak jego matkę wspominać będą inni. Potem żałował, że nie zebrał się w sobie, aby przez chwilę porozmawiać z obecnymi na pogrzebie. To wcale nie musiało być wymuszone, mógł po prostu wyrazić im wdzięczność za przybycie, zachęcić do paru wspomnień. Nawet jeśli żadnej z tych osób dobrze nie znał, a dwóch nigdy wcześniej nie widział.

A co mieliby do powiedzenia ci, którzy się nie zjawili? W historii jego matki istniało sporo luk i nie było już nikogo, kto mógłby je wypełnić. O latach wojny mówiono niewiele, może przez wzgląd na

ojca, co Karsten dobrze rozumiał. Ale o jej dzieciństwie i młodości też wiedział niewiele.

Teraz jest już za późno, myślał, kiedy tak stał w deszczu na cmentarzu. I przyszło mu do głowy, że nie rozpacza po śmierci matki, tylko użala się nad sobą. Jego samotność po jej odejściu stała się jeszcze bardziej oczywista. A matka naprawdę mówiła, że chce „już to zakończyć”, dręczona w ostatnich latach życia reumatyzmem i migrenowymi bólami głowy.

Było za późno nie tylko na wypełnienie luk w życiu matki, ale także dla niego samego, bo jego życie nikogo nie interesowało i gdyby umarł, na pogrzebie zjawiliby się jeszcze mniej ludzi. Ta myśl sprawiła, że przystanął na zwirowej ścieżce. Przypomniały mu się fragmenty jakiegoś hymnu, który matka śpiewała, gdy był jeszcze dzieckiem. Łzy napłynęły mu do oczu, ale wziął się w garść.

Z miejsca, w którym stał, widział cmentarnych dozorców, którzy przyglądali mu się bacznie. Jeden siedział na ogrodowym ciągniku, drugi stał obok z łopata w dłoni. Pewnie mieli jeszcze coś do zrobienia, ale nie chcieli zaczynać, dopóki on nie odejdzie.

Ruszył więc do wyjścia i kiwnąwszy głową w stronę dozorców, przeszedł przez furtkę i spojrzał na swój samochód. W tej samej chwili ciągnik ruszył. Karsten zdusił w sobie impuls, aby wrócić, podejść do dozorców, ucisnąć im dłonie i pogawędzić o pogodzie albo o pierwszych oznakach wiosny, które widać było również na cmentarzu.

Zamiast tego wskoczył do auta i pojechał do małego mieszkania matki na Norrtäljegatan, aby wziąć się do jego sprzątnięcia. Tam w szufladzie pod kuchennym blatem, dosyć dziwnym miejscu, znalazł dzienniki, jedenaście niewielkich zeszytów w czarnych miękkich okładkach, takich, jakich nie widział już od wielu lat. Delikatne falujące linie ledwie czytelnych gryzmołów jego matki. Uświadomił sobie, że to, co znał jako charakter pisma z jej starości, uformowało się już w młodym wieku.

Biorąc pod uwagę fakt, że odnalazł zeszyty w bezpośredniej bliskości kosza na śmieci, uznał, że zamierzała się ich pozbyć, ale przeszkodziła jej w tym śmierć, która przyszła pod postacią rozległego zawału.

To dziwne, jak każdy ukrywa swoje życie, pomyślał wówczas z narastającym rozdrażnieniem, opadając na krzesło. Nie tylko dziwne, ale także straszne, jak gdyby żadna bliskość nie była możliwa.

– Było nas tylko dwoje, a teraz zostałem sam – zaszlochał.

Zdenerwował się nie faktem, że matka prowadziła dziennik, ale tym, że zabrakło jej rozsądku, aby pozbyć się go na czas. Wykazała się swoim typowym niezdecydowaniem, wielokroć wynikającym ze swoistej fatalistycznej bierności, która zawsze go irytowała. Jeżeli matka za życia nie chciała się z nim dzielić wspomnieniami, skoro tak właśnie postanowiła, to dlaczego przekazała mu teraz tych kilka zeszytów pachnących śmiercią, niczym jakieś szydercze łożysko?

Gdy pierwsza złość na matkę już zelżała, pogodził się z nią. Przeczytał dzienniki. Przygnębiony, ale i pełen ponurej wdzięczności, pomалу uświadomił sobie jej wielkość.

A teraz potrafił stanąć nad otwartym grobem, w którym wkrótce zostanie posadzony rododendron czy inne rośliny źle znoszące gleby wapienne, już bez tłumionej złości ani łez, tylko z mocnym postanowieniem, że sprawi, aby życie matki zaśśniło, rozjaśniło ciemne zakamarki, gdzie „wykształceni i wyrobieni” ukrywają swoje brudy.

Zrozumiał, że słowa matki, bez wątpienia spisywane z mieszaniną zdecydowania i zgrozy, miały zapewnić jej godzinę pamięci. Znacznie później pojął, że nieliczni żałobnicy obecni na pogrzebie matki ulepieni są z tej samej gliny co ona. Wtedy wyglądali żałośnie, godne litości istoty przypadkiem przywiane na cmentarz. Teraz wydali mu się jedynymi sojusznikami, jakich miał.

Uśmiechnął się do siebie, splunął w stronę brzoź, a potem pochylił się, uniósł kamień wielki jak pięść i wszedł w cień krzaków, tam, gdzie stykały się cztery posesje. Zważył kamień w dłoni i potężnym rzutem posłał go w stronę domu Ohlera, nad budynek. Gdy przyglądał się lotowi kamienia, tej granitowej komety mknącej przez ciemne niebo, czuł się szczęśliwy jak wtedy, gdy jako dziecko wczesnym rankiem pierwszego maja pchał porzucony wózek wypełniony po brzegi pustymi butelkami, które zebrał po studenckich imprezach w noc Walpurgii. Zamierzał je oddać do skupu Una Lantza w Strandbodkilen. Wózek najpierw nieco opornie toczył się w dół zbocza, ale potem się rozochocił, nabrał

prędkości i zmienił w pocisk. Na wysokości rzeźby przedstawiającej studenckiego piosenkarza zjechał z toru i przechylił się mocno, wypluwając butelki po alkoholu wspaniałym zwolnionym ruchem.

Tym razem efekt nie był równie hałaśliwy, ale kiedy kamień spadł na dach frontowej części domu, rozległ się odgłos uderzenia, a następnie pocisk z grzechotem stoczył się po dachówkach i na ulicy znowu zrobiło się cicho.

Karsten zniknął z ogrodu Lundquista z poczuciem dobrze wykonanej roboty.

Po pierwszym ataku na dom Ohlera nazajutrz rano nastąpił kolejny. Rzucony kamień, chyba najpierwotniejsza forma napaści w dziejach ludzkości, jeżeli trafi prosto w cel, jest w stanie powalić olbrzyma.

Artykuł w niemieckim czasopiśmie raczej nie mógł wywołać aż tak drastycznych skutków, ale odpowiednio sformułowany, podparty faktami podanymi w przemyślanej kolejności, zdołał porządnie wszystkim zatrząść. To, że spadł niczym bomba, uderzając w trakcie dorocznego zjazdu Wszechniemieckiego Towarzystwa Lekarskiego w Düsseldorfie, tym bardziej wzmocniło cały efekt.

Towarzystwo, założone w 1768 roku, uznawano za jedną z najbardziej wpływowych organizacji medycznych Europy Zachodniej. Na liście członków figurowały takie osobistości, jak: Waller, Haagendorf i Schütze.

Zjawilo się ponad trzystu lekarzy, a Horst Bubb mógł oznajmić swojemu przyjacielowi Gregorowi Johanssonowi, że druzgocąca krytyka zaprezentowana przez Wolfganga Schimmela we „Frankfurter Allgemeine” zrobiła wielkie wrażenie. Informacje z dnia poprzedniego zdominowały rozmowy toczone w kularach, a Horst uznał, że większość obecnych zgadza się z główną tezą artykułu: Królewska Szwedzka Akademia Nauk skompromitowała się, wręcz okazała się skorumpowana. Osoba laureata nagrody w dziedzinie medycyny świadczyła, że komisja straciła resztki wiarygodności.

Docent szybko dostrzegł, że zadowolenie jego niemieckiego kolegi wzbudzała przede wszystkim atmosfera panująca w konferencyjnym hotelu. Bubb nie widział niczego dziwnego w tym, że przeważająca większość tak skwapliwie i stanowczo uznała, iż nagroda trafiła w niewłaściwe ręce i do niewłaściwego portfela.

– To jednak nieco irytujące, że spotykamy się akurat w Düsseldorfie – brzmiał jego jedyny komentarz.

Nie wyjaśnił, o co dokładnie mu chodzi. Przecież mieszkał w Düsseldorfie, powinien więc czuć dumę z bycia gospodarzem. Johansson

przypuszczał, że Bubba bolało, iż miasta nie kojarzono z naukową błyskotliwością i znaczeniem, które Horst, czasem próżny i arogancki, uważał za niezbędny warunek goszczenia grona szacownych uczonych.

Przez piętnaście minut rozmawiali o wrażeniu, jakie może wyrzeć artykuł, a raczej to Bubb o tym paplał, przekonany, że teraz Akademia dostrzeże swój błąd i ponownie rozpatrzy decyzję o przyznaniu Nobla. Może każą Ohlerowi podzielić się nagrodą z Fergusonem? Docent uważał takie posunięcie za całkowicie nieprawdopodobne, ale wyraził swój pogląd bardzo powściągliwie. Ze szczerą sympatią nie hamował entuzjazmu Niemca, ale też nie przedłużał dyskusji. Przed telefonem od Horsta nie zdążył nawet wypić porannej kawy.

Bubb, szukający poparcia także w Szwecji, spytał, czy Johansson byłby skłonny wykazać jakąś inicjatywę, na co docent chciał odpowiedzieć, że nie ma czasu, bo grabi liście, jednak się powstrzymał.

Wciąż czuł wczorajszą apatię i teraz, mając nieczyste sumienie, chciał jak najszybciej zakończyć rozmowę i przetrwać uzyskane informacje. Miał poczucie, że zachowuje się nielojalnie, przede wszystkim wobec niemieckich kolegów, którzy przecież walczyli również w jego sprawie, nawet jeżeli niebezpośrednio. To było ogromnie nieprzyjemne, bo nie chciał czuć się jak zdrajca. Pragnął tylko ciszy i spokoju, nie potrafił jednak powiedzieć Horstowi o swoim niezdecydowaniu.

Zamiast tego spytał o zdrowie żony naukowca.

– Bez zmian – zwięźle odparł Bubb.

– Słyszę dzwonek do drzwi – skłamał docent. – Pewnie ktoś z mediów chce ode mnie jakiegoś komentarza.

– Doskonale! – ucieszył się Horst. – Udziel wywiadu! Nie wahaj się podkreślać własnego udziału. Zrób to, Gregor, wypowiedz się.

– Dzięki, tak właśnie zrobię – odparł Johansson.

Po odłożeniu słuchawki przez dłuższą chwilę stał obok kuchennego stołu, nie mogąc uporządkować myśli. Jedyne uczucie, które był w stanie zarejestrować, stanowił dyskomfort. W głosie Horsta było coś, z czym nie umiał się pogodzić, taka małostkowa gorliwość, nie pragnienie szlachetnej zemsty, lecz drobny rewanżyzm, cecha, którą już się

śmiertelnie znużył.

Uznał, że najlepszym lekarstwem będzie kawa, a później praca w ogrodzie. Wczorajszy deszcz przyspieszył opadanie liści, a należało jeszcze zająć się kompostem. I powinien przygotować zimowe okrycie dla gloire de Dijon, jednej z najpiękniejszych odmian róż.

Nagły ruch sprawił, że wyjrzał przez okno. Ulicą wolno jechał policyjny radiowóz. To był nietypowy widok w tej okolicy. Docent nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział tutaj radiowóz. Auto zwolniło przed furką Bundego. Czyżby on naprawdę wezwał policję? – zastanawiał się docent. Przecież mężczyzna, którego widział rzekomo „skradającego się”, okazał się ogrodnikiem. Poprzedniego dnia Johansson dokładnie mu się przyjrzał – na pewno był silny i pracowity, bo kopanie w upplandzkiej glinie wymagało sporego wysiłku. Gregor znał to z własnego doświadczenia.

Jednak radiowóz pojechał dalej i zatrzymał się przed domem Ohlera.

Wysiadło z niego dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Docent stanął tak blisko okna, jak tylko zdołał, bo chciał dokładnie widzieć, co się dzieje. Policjanci ruszyli ścieżką prowadzącą w stronę domu. Sprawiali wrażenie, jakby nie byli pewni, czy trafili we właściwe miejsce. A może po prostu byli pod wrażeniem imponującego wejścia: schodów i posadzki z ciemnego jamtländzkiego łupku, czterech smukłych kremowych kolumn podtrzymujących balkon z ostro zakończoną, kutą barierką i szerokich drzwi z jakiegoś ciemnego egzotycznego drewna opatrzonych brązową kołatką.

Z trudem opanował pokusę otwarcia frontowych drzwi i wyjrzenia na zewnątrz. Uzmysłowił sobie, że przecież lepszy widok ma z wieży, więc najszybciej, jak potrafił, ruszył w górę schodów.

Stamtąd mógł obserwować samego profesora, który stał na trawniku przed domem. Wskazał w kierunku domu, a potem w dół, na trawnik. Docent, który dobrze go znał, od razu zauważył, że jest zdenerwowany. Siwe włosy sterczały mu na wszystkie strony. Jedną rękę unióś w stronę swojego domu, a drugą ze złością machnął w stronę ulicy.

Jeden z policjantów pochylił się i przyjrzał czemuś w trawie, czego

docent nie był w stanie dojrzeć.

Funkcjonariusz poszedł do auta i po chwili wrócił, niosąc jakąś torbę. Obiekt ich zainteresowania został podniesiony z murawy, po czym zniknął w torbie.

Profesor kontynuował swoje zamaszyste gesty i energiczną przemowę. Jeden policjant notował, drugi, ten trzymający torbę, skorzystał z okazji, aby się rozejrzeć. Zniknął za rogiem domu, okrążył go, a gdy wyłonił się z drugiej strony, jego kolega schował notatnik i zasalutował.

Docent był oszołomiony. Zasalutował! Policjanci kręcili się po chodniku jeszcze minutę czy dwie, a potem wsiedli do radiowozu i odjechali. Ich wizyta trwała około kwadransa.

O co chodziło? – zastanawiał się Johansson, schodząc na dół do kuchni, aby wreszcie zrobić sobie kawę. Co leżało na trawie? Może doszło do jakiegoś włamania?

Uświadomił sobie, że najlepszy sposób, aby się czegoś dowiedzieć, to po prostu zapytać Ohlera, to jednak było nie do pomyślenia. Cała nadzieja w Bundem, ale wypytywanie go, czyli otwarte okazanie zainteresowania, stanowiło alternatywę prawie równie nieprzyjemną.

Potem uderzyło go, że przecież gosposia Ohlera, Agnes, na pewno wie, co się dzieje. Przy odrobinie szczęścia zdoła ją zagadnąć, mijając na chodniku. Wziął kanapkę z serem, którą przygotował sobie dzień wcześniej, i włożył do lodówki. Może to, co robił z kanapkami, stanowiło jakiś spadek po jego dzieciństwie?

Ojciec zazwyczaj wychodził do pracy, zanim Gregor się budził. Odjeżdżał na swoim rowerze już o piątej rano. Jeżeli na ziemi leżał śnieg, ruszał przez las na nartach.

Matka wstawała wcześniej, grzała kawę i robiła śniadanie, a potem szykowała kanapkę dla Gregora. Te poranki, gdy wstawał wcześniej, były najlepsze. Jego rodzice cicho rozmawiali w kuchni, nie chcąc go obudzić.

Kiedy siadał na kuchennej ławie, matka podawała mu kanapkę i kubek mleka, a później przez jakiś czas razem siedzieli przy stole. Jesienią i zimą ojciec nieco wydłużał knot lampy naftowej. Wiosną i latem ptaki świergotały za oknem tak zachęcająco jak już nigdy później.

Docent bardzo cenił i szanował ojca, ale pod jednym względem nigdy nie zgadzał się z jego zdaniem, mianowicie w sprawach polityki. Dorastając w ubogiej wiejskiej chacie, w cieniu arystokratycznej posiadłości, uważał za coś nie do pomyślenia, że może istnieć społeczeństwo, w którym wszyscy są równi.

Weźmy choćby tę starą jędzę Hult, kulawą i kompletnie obłąkaną, albo Hannę Björk z Sandbacken, która pilnowała go, gdy rodzice gdzieś wychodzili, albo zawsze brudnego stolarza Kumlina czy też wuja Kalle z Selknä i innych robotników z linii Roslag. Czy oni mogli stanąć w jednym szeregu z hrabią, menedżerem lub chociaż inspektorem?

To przecież oczywiste, że nie, myślał nastoletni Gregor, dla którego opowieści ojca o równości między ludźmi były jak bajki, zmyślenia tylko udające prawdziwe historie.

Nigdy jednak nie doszło do konfliktu ojca z synem. Gregor cierpliwie wysłuchiwał ojcowskich wyjaśnień i nigdy nie podawał jego opinii w wątpliwość.

Co miesiąc, zawsze w niedzielę, z farm w obrębie miejscowej parafii przybywali ludzie po składkę członkowską na związek zawodowy. Ojciec Gregora był skarbnikiem w oddziale w Rasbo.

Zarząd oddziału zbierał się regularnie w ich gospodarstwie. Składał się z samych mężczyzn, młodych lub w średnim wieku, zarówno poważnych, jak i wesołych. Gdy po wyjątkowo trudnych pierwszych powojennych latach do władzy doszła partia pracy, zrodziła się w nich nadzieja. Wierzyli, że stary system robotników rolnych niedługo pójdzie do grobu, opowiadali o ustawowym urlopie i ubezpieczeniach społecznych. W wiejskich domach zaczęły pojawiać się książki inne niż psalterze oraz zbiory kazań. Związkowcy zbierający się u Johanssonów z radością rozprawiali o kolejnych mniejszych i większych zwycięstwach.

Gregor nieświadomie dzielił tę radość i wiarę w lepszą przyszłość, uznając je za swoiste przedłużenie ciepła i dobroci, których zaznał w rodzinnym domu. Ale w to, że ludzie są równi, nie wierzył ani wtedy, ani później. Chciałby, ale nieufność tkwiła w nim tak głęboko, że nigdy nie pozwolił sobie na udział w politycznej dyskusji ani nawet na głosowanie w wyborach.

Tylko w jednej politycznej kwestii miał ściśle określone zdanie:

był republikaninem i gardził wszystkim mającym cokolwiek wspólnego z rodziną królewską. Artykuły prasowe o księżniczkach, o operacjach plastycznych królowej i o gafach, które raz za razem popełniał monarcha, w ogóle wszystko, co wiązało się z dworem, irytowało go.

Kiedyś nawet napisał do lokalnej gazety list, w którym wypowiadał się z republikańskiego punktu widzenia.

Listu nie opublikowano i Gregor przestał prenumerować tę gazetę. W ogóle prawie nie czytał gazet.

Chętnie natomiast słuchał radia, zawsze stacji P1, i robił to również tego poranka. Nadawano akurat wiadomości i pierwszy blok informacyjny sprawił, że docent nabrał wiatru w antyroyalistyczne żagle. W jednym ze swoich napadów niepohamowanej szczerości król oznajmił, że wilki ciągle kopulują i dlatego w szwedzkich lasach jest ich coraz więcej. Uważał to za problem, a tak naprawdę pewnie miał ochotę parę odstrzelić. Zdawał się przy tym zupełnie nie przejmować, że przecież jest honorowym członkiem Światowego Funduszu na rzecz Przyrody, którego misja polegała na ochronie zagrożonych gatunków.

Gregor Johansson zaśmiał się szyderczo. Czasem tak łatwo być republikaninem, pomyślał. Jednak uśmiech zamarł mu na ustach, kiedy z powodu jakiegoś nieświadomego i bardzo niepożądanego skojarzenia połączył osobę króla z Ohlerem. Bo z czyich rąk Ohler miał przyjąć Nagrodę Nobla, jeśli nie z rąk Karola XVI Gustawa?

Docent westchnął ciężko. Przypomniał sobie rozmowę z Horstem, który namawiał go do działania, i poczuł pokusę, żeby natychmiast wziąć się do roboty. Lecz już po chwili zatonął w letargicznej obojętności, za murem, który pracowicie skonstruował dla własnego spokoju ducha. Nie będę walczył o sprawę i tak z góry przegraną. Jestem stary i zmęczony życiem, nie mam na to siły, przekonywał sam siebie.

Filiżanka z kawą zagrzechotała na spodku, kiedy podniósł się, by sprzątnąć ze stołu, i w tym samym momencie zabrzmiał dzwonek do drzwi. To pewnie Bunde, pomyślał Johansson z nagłym ożywieniem. Perspektywa usłyszenia jakichś plotek o wizycie policji sprawiła, że lekkim krokiem wyszedł z kuchni, aby otworzyć.

Ku jego wielkiemu zaskoczeniu na progu stał ogrodnik z posesji Lundquista. Uśmiechał się szeroko, policzki miał zaróżowione, przez co

jeszcze bardziej wyglądał na człowieka aktywnego fizycznie. Zaczął od przeprosin, że przeszkadza.

– To naprawdę żaden problem – zapewniał go docent, który natychmiast poczuł sympatię do nieznanego.

– Nie mogłem nie zwrócić uwagi na ten buk – powiedział mężczyzna, robiąc nieokreślony ruch dłonią. – Właśnie robię klomb z gleby kwasowej i...

– Potrzebuje pan bukowych liści – dokończył docent.

Mężczyzna uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Tak, bukowe liście to towar pierwszej klasy – rzekł.

Johansson odwzajemnił uśmiech.

– Chwileczkę, tylko coś na siebie włożę... Jeśli nie ma pan nic przeciwko, możemy iść razem.

Nagle zapragnął przejść się po swoim ogrodzie w towarzystwie sympatycznego specjalisty od zieleni. Mężczyzna zapewnił go, że chętnie przyjrzy się ogrodowi.

Inspekcja ponad tysiąca pięciuset metrów kwadratowych zajęła im ponad godzinę. Co chwila przystawali, czynili jakieś uwagi i wymieniali doświadczenia.

– O, fotergilla! – zawołał gość, kiedy przeszli na tyły domu. – Widziałem z daleka, ale nie poznałem, co to jest. Wspaniały okaz, co za boskie jesienne kolory!

Rozpromieniony docent delikatnie pogładził krwistoczerwone liście. Przepełniała go głęboka wdzięczność dla tego człowieka za to, że odciągnął go od kuchennego stołu, od ponurych myśli o Nagrodzie Nobla i rodzinie królewskiej. Czuł, jak gdyby przyjaźnili się od lat.

Ponadto gość zachowywał się bardzo taktownie. Uprzejmie pominął kilka mniej udanych aranżacji. Początkowo Johansson wstydził się oczywistych niedociągnięć, cieszył się, że jego klomb z żółtymi bylinami nie zakwitł i nie ukazał niezbyt gustownej mieszanki bladych i jaskrawych barw. Kiedy jednak uświadomił sobie, że mężczyzna skupia się na najpiękniejszych częściach ogrodu, przestał odczuwać dyskomfort.

Był zachwycony tą naturalną życzliwością ogrodnika, która wzbudzała nie tylko sympatię, ale i poczucie bliskości, wzajemnego

zrozumienia. Jak mógłby się nie odwdzięczyć? Może zaprosi go na filiżankę kawy? Albo lepiej wykopie jakąś roślinę i mu ją podaruje?

– Czy byłby pan zainteresowany fotergillą? – zaproponował. – To znaczy, do tego klombu, przy którym pan pracuje. Udaje się na lekko kwaśnej glebie.

– Może i tak. Chociaż wolałbym kilka białych azalii. Mam słabość do bieli.

– Tak, potrzebuje pan czegoś do rozjaśnienia klombu.

Prowadzili rozmowę jeszcze przez chwilę, dwaj fanatycy ogrodnictwa odbijający sobie nawzajem piłeczkę. Gdy wracali do części ogrodu mieszczącej się od frontu budynku, Johansson spytał:

– Widział pan, jak przyjechała policja?

– Tak, i nawet chciałem ich zapytać, co tutaj robią.

– Byli u Ohlera – oznajmił docent. – Podnieśli coś z trawnika i odjechali.

– Wie pan, co to było?

– Niestety nie. Jakiś niewielki przedmiot.

– A ja wiem. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – To był kamień.

– Kamień?

– Tak. Może z jakichś wykopków – odparł ogrodnik i zapytał: – Więc mogę napęlić tymi liśćmi parę worków?

– Tak... oczywiście – rzekł docent, nieco zaskoczony nagłą zmianą tematu.

Ogrodnik wyciągnął rękę.

– Bardzo panu dziękuję – oznajmił serdecznie.

Docent uścisnął mu dłoń, ale chociaż chciał coś powiedzieć, nie potrafił wydobyć z siebie nawet najprostszego zdania. Zdołał się odezwać, dopiero gdy mężczyzna stanął już przy furtce.

– Przepraszam, czy mógłbym wiedzieć, jak pan się nazywa?

– Karsten Haller – przedstawił się ogrodnik z uśmiechem.

– Gregor Johansson – powiedział docent, również się uśmiechając.

Kiedy Haller odszedł, docent postanowił, że wykopie fotergillę jeszcze dzisiaj. Dobrze się rozrosła i oddzielenie solidnego bocznego odrostu nie będzie wymagało żadnego wysiłku.

Potem zaczął się zastanawiać, skąd ogrodnik wiedział, że policjant znalazł kamień i że ten kamień może pochodzić z wykopków, i dlatego szybko zmienił temat na bukowe liście.

Oparł się o furtkę i wyjrzał nad nią, ale nie dostrzegł niczego szczególnego poza tym, że podjechał jakiś samochód i zaparkował przy domu Ohlera.

Docent wrócił do kuchni. Nie chciał być wścibski. Nie chciał też psuć sobie humoru myśleniem o profesorze. Dzisiaj cieszył się z nowej znajomości. Przeczynał, że niedługo znowu zobaczy Karstena Hallera.

Świnia, cholerna pruska świnia! – wykrzykiwał profesor.

Agnes cofnęła się o krok od stołu.

– Odwiedzał mnie w laboratorium, pamiętasz? Wtedy był młodym, obiecującym naukowcem. Nawet zaprosiłem go do domu na obiad, pamiętasz? A teraz ta pruska świnia wbija mi nóż w plecy, siedzi sobie w swoim bunkrze i szydzi ze mnie. Nigdy nie można ufać niemieckim sukinsynom!

Jak mam pamiętać każdy obiad? – pomyślała Agnes. To przecież nie moja wina, że jakiś zawistny Niemiec napisał coś w gazecie.

Przez cały ranek profesor rozstawiał ją po kątach, wrzeszczał na nią, a już szczytem wszystkiego była jego reakcja na posiłek, który mu przygotowała.

– Jajecznicza już... – zaczęła, lecz Ohler natychmiast jej przerwał.

– Co?! – ryknął. – Jajecznicza?! Co to za jedzenie?! Wiesz, że nie cierpię jajek!

– Przez całe życie bez problemu jadał pan jajka.

– Nonsens! Zabieraj to!

Agnes postanowiła wyjść z jadalni. Dzień zaczął się od wizyty policjantów – kretynów i partaczy, jak określił ich Ohler. A potem był ten okropny telefon, Bóg jeden wie od kogo, o tym Niemcu Svimmelu, czy jak tam się nazywał.

Popatrzyła na złocistą jajecznicę i na kielbasę z Toskanii. Na sałatkę z rukoli, pomidorów i ogórków, polaną oliwą. Na butelkę wody mineralnej. Na lnianą serwetkę, nóż i widelec.

Usiadła przy kuchennym stole. A on niech sobie siedzi w jadalni sam i krzyczy, pomyślała, jedząc własną porcję.

Wkrótce zacznie mu się kręcić w głowie i będzie potrzebował pomocy, żeby wstać i dojść do biblioteki. Zamiast obiadu zrobi mu herbatę i tosty – jeden z salami, a drugi z serem pleśniowym – które profesor odłoży, mrużąc coś gniewnie. Potem zdrzemnie się na kanapie, ale będzie uparcie twierdził, że wcale nie spał, tylko „zamknął oczy, żeby lepiej myśleć”.

Chociaż jego furia spadła na Agnes niezasłużenie, czuła pewną satysfakcję. Wręcz radość z cudzego nieszczęścia.

Kilka ostatnich dni obudziło profesora z marazmu, który ostatnimi laty dotknął także ją samą i cały dom. Było to takie łagodne spowalnianie tempa, nad którym nawet specjalnie się nie zastanawiała. Czas wielkich gestów minął, wydawałoby się – bezpowrotnie. Ale nadeszła wieść o nagrodzie i wszystko odżyło na nowo. Profesor zmienił się nie do poznania, czy raczej wrócił do dawnej postaci, jednak już bez tej energii i potencjału wieku średniego. Stał się roztrzęsioną starą kupą gnatów, drepczącą niecierpliwie po domu. Ciągle czegoś szukał, wszędzie szperał, przetrząsał rzeczy nieruszane od dziesięcioleci, wyjąwszy ich regularne odkurzanie przez Agnes. Sięgał po różne przedmioty i przyglądał im się, jakby widział je po raz pierwszy. Powyjmował z szuflad jakieś papiery, na których już dawno wyblakł druk. Nawet poszedł do piwnicy, Bóg jeden wie po co.

Od czasu do czasu pokrzykiwał na Agnes i kazał sobie pomagać, ostatnio z jakimiś pudłami, które były wsunięte pod stół w pokoju na drugim piętrze, gdzie nikt od lat nie postawił stopy.

– Wyciągnij je – polecił.

Siedział na ławie przy stole, dysząc ciężko przez nos. Jego chude, pokryte żyłkami dłonie spoczywały na krawędzi blatu.

– Po co? – zaryzykowała pytanie.

– Tam są dokumenty – odparł krótko. – Nie gadaj tyle, tylko wyciągaj pudła.

Kiedy mniej więcej po godzinie wróciła tam, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, Ohler pochylał się nad listami rozrzuconymi na całym stole. Wyciągnął jakąś stojącą lampę, której ostre światło padało na blat. Gdy Agnes zajrzała do środka, profesor położył ramiona na stole, jakby chciał ukryć, czym się zajmuje.

Zażyczył sobie, żeby przyniosła popołudniową herbatę, a potem zostawiła go w spokoju.

– Tylko bez żadnego biegania – powiedział. Na podłogę upadło kilka kopert. Agnes schyliła się, aby je podnieść, ale odepchnął ją i krzyknął: – Zostaw to!

Siedząc przy kuchennym stole i przyglądając się tężejącej

jajecznicy, wróciła myślami do tej nieprzyjemnej sceny. O tym, żeby wszystko zostawiła, mówiła jej siostra Greta podczas ostatniej wizyty Agnes na Gräsön. Co by się stało z profesorem, gdyby odeszła? Kto by się nim zaopiekował? Znalezienie następczyni nie wchodziło w grę, bo teraz były zupełnie inne czasy i nikt nie zaakceptowałby stosunków panujących w tym domu. Birgitta na pewno zaglądałaby do ojca, ale nie mogła tu siedzieć cały czas. Zresztą nawet gdyby chciała się przenieść, ta jej Finka by się na to nie zgodziła.

A co by się stało z nią samą? Czy zdołałaby wrócić na wyspę, do domu, który opuściła jesienią 1953 roku? Jak ona i Greta dawałyby sobie razem radę? Żadna nie była młoda, nawet jeśli Greta wydawała się nawet zwawsza niż przed laty.

Gwałtowny gest profesora dosłownie i w przenośni wytrącił Agnes z równowagi. Im dłużej o nim myślała, tym bardziej wydawał jej się obraźliwy. Przez ostatnich trzydzieści pięć lat Ohler nigdy nawet jej nie dotknął, chyba że niechcący, kiedy potrzebował pomocy przy ubieraniu się albo żeby wstać, gdy dostawał zawrotów głowy.

Wtedy, dwudziestego czerwca 1973 roku, dotykowi Ohlera towarzyszyła przesycona alkoholem paplanina i łzy, teraz – irytacja granicząca z niechęcią. Agnes nie zrobiła niczego, czym zasłużyłaby na takie traktowanie, na to poniżające odepchnięcie.

Wpatrując się w coraz mniej apetyczną jajecznicę, pomyślała, że oto wysiłek kury idzie na marne. Uśmiechnęła się, bo przypomniała sobie kury z własnego dzieciństwa, które gdacząc, dreptały za nią, gdziekolwiek się ruszyła, z nadzieją, że rzuci im kilka okruchów.

Wspomnienia z dzieciństwa wracały do niej coraz częściej i coraz wyraźniej. Tak to już jest, gdy człowiek się starzeje, przemknęło jej przez głowę. Docierała do kresu swej ziemskiej wędrówki i mogła jedynie spoglądać wstecz na trudną drogę pod górę, jaką było jej życie. Pomimo ubóstwa i izolacji, bo zgromadzenie było małe, a wyspa nie miała połączenia promowego ze stałym lądem i latem mało kto ją odwiedzał, właśnie lata przed wyjazdem do Uppsali wydawały jej się najszcześniejsze. Była wtedy pełna radości życia i wiary w lepszą przyszłość. Może z powodu wspaniałych okolicznych krajobrazów, a może po prostu dlatego, że była młoda?

Ojciec mówił, że aby dojrzeć Boga, należy spoglądać daleko. Tak właśnie było na wyspie – wystarczyło wejść na klif przy Sigvardzie i Wysokiej Annie, a otwierało się przed tobą całe morze. Czasem spokojne, połyskujące w blasku słońca, czasem zaś ciemne i groźne, ze zwałami chmur gromadzącymi się nad Morzem Alandzkim i sunącymi w stronę lądu. Tak właśnie bywało najczęściej: nad wyspą wisały burzowe chmury, ale dalej na wschodzie morze było skąpane w słońcu i tylko nieco pomarszczone bryzą. Czy Bóg przebywa gdzieś wśród wysepek i skał? W takim razie odwróci się do Niego plecami.

W Kåbo nie miała takiej perspektywy. Tu wszędzie stały wille, a każda z nich stanowiła wyraz tego samego: pieniędzy i władzy. Władzy pozwalającej rozkazywać, pozwalającej odepchnąć. Tutaj nie widać było żadnego Boga. Tak jakby Ohlerowie nie zostawiali wystarczająco dużo miejsca na Niego. Albo raczej jakby On stał się zbędny, bo wszystko, o czym marzyła jako dziecko, się spełniło. Marzyła o ciepłe – już nie było zimnych posadzek i szokującego ziąbu w wychodku; marzyła o bogato zastawionych stołach – już nie było za małych porcji i niesmacznych potraw; marzyła o ładnych, miękkich ubraniach – już nie było łachów po siostrze i szorstkich ręczników ze zgrzebnego płótna; marzyła o pięknym domu – już nie było topornych mebli i łuszczącej się farby na obłuczonyj wazie z kredensu.

Tu było wszystko. I wszystko było doskonałe. Bóg był niepotrzebny.

Przez pierwsze miesiące podziwiała ten dom i każdy przedmiot, który się w nim znajdował. Niemal z czcią dotykała kryształów, mebli z najdroższego drewna, lnianych obrusów, jedwabnej pościeli, ozdobnych, złożonych ram obrazów, zachwycona tym wszystkim, takim kruchym, lekkim, wyśmienitym, wręcz idealnym.

Teraz wiedziała lepiej. Tęskniła za szorstkimi ręcznikami i za pićm kawy z obłuczonego kubka. Ale wszystkie starocie już dawno zostały wyrzucone albo trafiły na strych czy do jakiejś szopy.

Klif Sigvarda i Wysokiej Anny pozostał jednak niezmienny. Podczas swojej ostatniej wizyty w domu na wyspie wspięła się na zbocze – co okazało się bardzo męczące – i została tam do zmierzchu. Później nie umiała wytłumaczyć ani sobie, ani siostrze, dlaczego

spędziła tam prawie cały dzień.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Agnes Greta nie skomentowała tej wyprawy. Może i ona czasem chodziła na klif?

Agnes wstała, sprzątnęła ze stołu, wyrzuciła jajecznicę do kosza na śmieci i pozmywała naczynia.

Pomyślała o policjantach, którzy przyjechali tego ranka. Jeden zachowywał się swobodnie i wyglądał na bystrego, a drugi wręcz przeciwnie – dukał coś nieskładnie, jakby sparaliżowała go świadomość, że stoi twarzą w twarz ze świeżo upieczonym noblistą.

Kiedy profesor się odwrócił, ten pierwszy powiedział ściszym głosem, że to pewnie nie był ostatni kamień, ale zapytany przez Agnes, co konkretnie ma na myśli, tylko się uśmiechnął. Czy policja wie coś, czego ona i profesor nie są świadomi? – zastanawiała się.

Znajome brzęczenie sprawiło, że aż poskoczyła. Mogła sobie wyobrazić, jak profesor pochyła się nad stołem w jadalni z palcem gotowym ponownie nacisnąć dzwonek, na wypadek gdyby okazała się niewystarczająco szybka.

I rzeczywiście – po chwili dzwonek znowu zabrzączał. Odwróciła głowę i spojrzała na drżące metalowe pudełko. A niech sobie dzwoni, pomyślała, lecz w tym samym momencie drżenie przeszło także ją, jak gdyby połączenie z jadalnią prowadziło w głąb jej ciała. Pulsujący alarm dotarł do żołądka Agnes, a stamtąd rozchodził się po całym tułowi i w dół, do nóg. Przypomniała sobie podeksycytowanie, jakie czuła na klifie rodzinnej wyspy.

Nie ruszyła się i sama nie wiedziała dokładnie, dlaczego nie reaguje. Może odepchnięcie przez profesora ugodziło ją tak mocno, że teraz się nie rusza mimo brzęczącego dzwonka. Pięćdziesiąt lat temu pociągnęłoby to za sobą ostrą reprimendę, może nawet zwolnienie z pracy, a jeszcze przed tygodniem zostałyby uznane za niedopuszczalną krnąbrność.

Gdy dzwonek zabrzączał po raz trzeci, usłyszała, że profesor ją woła. Wyszła z kuchni, poszła dłuższą drogą i wkroczyła do jadalni od strony innej niż zwykle. Tak jak się spodziewała, Ohler stał oparty o stół.

– Tak?

Skręcił się, jakby gdyby coś uderzyło go w plecy. Żyły na jego szyi

nabrzmiały, a wydatna dolna warga drżała.

– Agnes, czyżbyś zastrajkowała? – spytał, a z ust prysnęła mu ślina.

– Nie, ale przeszłam na emeryturę – odparła z udawanym spokojem.

Nie potrafiła się powstrzymać od patrzenia na archipelag kropelek śliny na lśniącym blacie.

– Na emeryturę? – powtórzył, marszcząc brwi.

– Tak jak pan, profesorze, wiele lat temu.

Poczuła się nieswojo, jakby zrobiła coś niestosownego, i musiała powtórzyć w myślach „jestem na emeryturze”, aby pojąć pełne znaczenie tych słów.

– Jak ty się do mnie odzywasz?

Nie odpowiedziała w obawie, że nie zapanuje nad głosem.

– Źle się czujesz?

– Dziękuję – wymamrotała.

– Co to za bezsensowna odpowiedź? – warknął, ale natychmiast zmienił ton. – Agnes, jesteś po prostu wyczerpana. Przez ostatnie dni sporo się działo, nieprawdaż?

Nadal się nie odzywała.

– Proszę, zrób mi kilka kanapek, ale nie z salami ani z wątrobianką. Na resztę dnia możesz wziąć wolne, w każdym razie do kolacji. Przychodzi Forslund, a on dużo nie je, zresztą sama wiesz. Zrób nam coś na szybko. On lubi domową kuchnię. Na pewno świetnie dasz sobie radę.

Algot Forslund był prawnikiem, który pracował dla rodziny Ohlerów równie długo jak Agnes. Jadł niewiele, ale nadrabiał piciem. „Domowa kuchnia” w jego przypadku oznaczała marynowane śledzie, a przede wszystkim wódkę.

Agnes wpatrywała się w profesora, chociaż nie potrafiła nawet potwierdzić, że zrozumiała jego słowa.

– Dla mnie to też jest za dużo – powiedział.

Powstrzymała odruch, aby podejść i wytrzeć stół.

– Może jesteśmy wypaleni – dodał Ohler z szerokim uśmiechem.

Wyszła z jadalni z poczuciem, że została zdradzona.

Liści nigdy za wiele – stwierdził Karsten Haller z uśmiechem.

Docent pomyślał, że ogrodnik uśmiecha się szerzej niż ktokolwiek w jego towarzystwie od wielu lat.

Haller napełnił liśćmi kilka worków, które przypominały teraz nabrzmiałe czarne jaja, gotowe pęknąć w każdej chwili.

– Na pewno nie będą panu potrzebne? – zapytał.

– Proszę brać, ile pan chce – zapewnił go docent. – Ja się po prostu cieszę, że mogę się ich pozbyć.

Cenił sobie nowego znajomego, który wprawdzie w kwestii liści był trochę gadatliwy, ale poza tym najwyraźniej wolał trudzić się w ciszy. Docent przypuszczał, że pewnie zazwyczaj pracuje samotnie.

Po napełnieniu kolejnych czterech worków Haller uniósł wzrok. Przypominał myśliwego z dumą przyglądającego się zdobyczy z całego dnia.

– Zastanawiałem się nad czymś – odezwał się Johansson. – Kiedy spotkaliśmy się poprzednio, powiedział pan, że policja podniosła z trawnika Ohlera kamień. Skąd pan to wie?

– Bo to ja nim rzuciłem – odpowiedział Haller po prostu.

– Co pan ma myśli?

– To ja rzuciłem tym kamieniem. Wczoraj wieczorem. Wylądował na dachu i najwyraźniej stoczył się z drugiej strony.

– Dlaczego? – spytał zdumiony docent.

Haller roześmiał się.

– Dlaczego? – powtórzył. – Cóż, to był impuls. Bardzo mi się to spodobało. Mógłbym rzucić jeszcze jednym, ba, mógłbym cisnąć całym ładunkiem brukowców. Najlepiej z katapulty, wie pan, takiej średniowiecznej, żeby na dom spadł deszcz kamieni.

Mówił żartobliwym tonem, ale docent wyczuł, że naprawdę chciałby to zrobić.

– To dopiero byłoby widowisko – oznajmił i obaj wybuchli śmiechem.

– Napije się pan kawy? – zapytał Johansson, gdy przestali się

śmiać.

– Z przyjemnością – odparł Haller.

– Mam tylko kilka ciasteczek migdałowych – oznajmił docent przepraszająco.

Johansson zastanawiał się, czy powinien zaprosić Hallera na wieżę, ale uznał, że nie byłoby to stosowne. Kiedy przygotował kawę i usiadł przy kuchennym stole, zaryzykował pytanie:

– Znał pan profesora Ohlera już wcześniej?

– Nie osobiście – odparł Haller.

– Wie pan, że otrzymał Nagrodę Nobla z medycyny?

– Chyba wszyscy o tym wiedzą.

Docent popatrzył na gościa. Spodobał mu się ten pomysł z katapultą i gdy wyobraził sobie deszcz kamieni spadających na dom Ohlera prosto z nieba, rozbawiło go to. Ale teraz zrobił się czujny. Co wiedział o ogrodniku siedzącym po drugiej stronie stołu? Dostrzegł w nim coś, co zupełnie nie pasowało do obrazu tego mężczyzny, jaki miał po ich wczorajszym spotkaniu.

– Proszę się poczęstować ciastkiem – zaproponował.

Haller sięgnął po ciastko, zjadł kawałek, po czym rzekł:

– To, co ja robię, jest całkiem jasne. A czym pan się zajmuje?

Przez chwilę docent zastanawiał się, czy czegoś nie zmyślić, doszedł jednak do wniosku, że najlepiej będzie trzymać się prawdy.

– Też jestem lekarzem, wirusologiem jak Ohler. Prawdę mówiąc, przez prawie trzydzieści lat pracowaliśmy razem w szpitalu uniwersyteckim.

Haller wydawał się nieco zaskoczony, ale nic nie powiedział. Wyraźnie czekał na ciąg dalszy. Johanssona ogarnęło poczucie, że powinien się wytłumaczyć, wyjaśnić, dlaczego tak długo był kolegą profesora.

– Ale nie utrzymujemy kontaktów towarzyskich – dodał.

– I nie dostał pan nagrody – zauważył Haller.

Docent sięgnął po dzbanek z kawą.

– Nalać jeszcze?

– Tak, poproszę – odparł Haller, podsuwając filiżankę. – Ale niedługo będę musiał się zbierać.

– Jak długo pan tu zostanie?

– Parę dni. Zamierzam wykopać jeszcze kilka grządek i przyciąć ten klon z przodu, może też ściąć brzozę.

– Rozsądnie – stwierdził docent. – Wykopałem fotergillę, gdyby pan był zainteresowany.

Haller uśmiechnął się i pokiwał głową. Gdy dopił kawę i już miał wstać od stołu, Johansson powiedział:

– Mogę panu zadać osobiste pytanie? Nie chciałbym być niedyskretny, ale wydaje mi się, że ma pan jakąś urazę do profesora Ohlera.

– Ładnie powiedziane – stwierdził Haller. – Jednak to prawda. Nie znam go osobiście, jak już mówiłem, ale dla mnie reprezentuje wszystko co najgorsze.

– A co to jest?

– Pogarda i ucisk ze strony tak zwanych „wykształconych”.

– A skąd pan wie, że profesor reprezentuje właśnie takie cechy? Przecież nie zna go pan osobiście?

– Osobiście nie, ale jednak go znam – oznajmił Haller z ironicznym uśmiechem. – Za to pan na pewno zna swojego kolegę bardzo dobrze. Skoro sam pan mieszka w tej wykształconej okolicy, w domu milionera.

Johansson poczuł się zakłopotany i jednocześnie urażony słowami gościa.

– Przepraszam – powiedział Haller. – Nie chciałem być niegrzeczny.

– A co jest takiego złego w wykształceniu? – zaczął docent spokojnie, ale potem podniósł głos. – Czy wykształcenie to coś złego? Siedzę teraz na kuchennej ławie robotnika rolnego, ławie z mojego dzieciństwa. Wykształcenie, jakie uzyskałem, musiałem sobie wywalczyć, centymetr po centymetrze.

Haller był zdumiony nagłą przemianą rozmówcy. Nigdy by się po nim nie spodziewał takiej furii.

– Centymetr po centymetrze! – powtórzył Johansson, przy każdym słowie stukając palcem wskazującym w drewniany blat. – Ani centymetra za darmo.

– Przepraszam. – Haller uniósł dłonie w pojednawczym geście, ale docent nie dał się zatrzymać.

– Mieszkam w tym domu, prawda, że wartym dzisiaj kilka milionów koron, niewyobrażalną sumę pieniędzy. Mój ojciec dorastał w pełnej przeciągów chałupie robotnika rolnego w Rasbo, wśród zasmarkanych bachorów i grzyba na ścianach. Dwoje z jego rodzeństwa umarło na hiszpankę. Ja znam wiele języków, a moja matka mówiła tylko trochę po fińsku. Mój ojciec chodził do szkoły tylko przez trzy lata. Zostałem doktorem medycyny w dziedzinie, o której nigdy nie słyszał. Nie potrafiłby nawet wymówić tytułu mojej dysertacji. Podróżowałem po całym świecie, a ojciec najdalej był w Skinnskattebergu, na pogrzebie brata. Moi rodzice spuchliby z dumny, gdyby mogli mnie teraz zobaczyć. Niech mi pan powie, panie ogrodniku, czy robiłem źle? Czy powinienem żałować?

– Przepraszam – powtórzył Haller po raz trzeci. – Oczywiście, że nie robił pan źle. Nie wiedziałem o pańskim pochodzeniu, chodzi o to, że ja...

– Mówi pan o pogardzie – przerwał mu docent, czując gorąco na twarzy. – Ale to pan czuje pogardę.

Haller spojrzał na Johanssona z mieszaniną podziwu i smutku, jakby nadepnął właśnie na coś cennego.

– Jestem tylko zgorzkniałym kretem – oznajmił. – Kimś, kto tylko kopie w ziemi.

– Ale nie jest pan ślepy.

– Zaślepiony – powiedział Haller.

– Czym?

– Może kiedyś panu opowiem.

Haller odsunął swoje krzesło tak daleko od stołu, że wydawało się, że siedzi pośrodku kuchni. Pochylił się i z łokciami opartymi o kolana wpatrywał się w podłogę.

Docent poczuł się wyczerpany. Rzadko pozwalał aż tak bardzo ponieść się emocjom.

– Jeśli będzie okazja – dodał Haller.

Te słowa, zakończone westchnieniem, sprawiły, że Johansson pożałował swojego wybuchu. W oczach ogrodnika dostrzegł smutek i

obawę i zrozumiał, że Karsten Haller jest po prostu samotnym człowiekiem, tak jak on nienawykłym do kontaktów z innymi. Ogarnęło go poczucie winy.

– Na pewno będzie jakaś okazja – rzekł pojednawczym tonem. – Czeka na pana fotergilla. Wyhodowana oczarowata.

Haller uniósł wzrok i kiwnął głową.

– Ale co do jednego ma pan rację – powiedział docent.

– Co do czego?

– Może kiedyś panu opowiem – odparł Johansson, a w odpowiedzi otrzymał ostrożny uśmiech i lekki ukłon.

Rozstali się w milczeniu, obaj zakłopotani nieprzyjemną sytuacją, do jakiej doszło podczas przerwy na kawę. Haller załadował worki z liśćmi na swoją taczkę, wcześniej machnięciem ręki odmówiwszy przyjęcia pomocy, i odszedł. Kilka minut później docent widział go niosącego te worki na podwórko sąsiada i opróżniającego je tam. Pod ścianą domu dostrzegł również kilka żółtych worków z torfowcem.

Uświadomił sobie, że ogrodnika czeka długi, pracowity dzień. Taki, jak wiele innych. Ale przy swojej robocie – zmagając się z belami torfowca i rozrzucając liście oraz świerkowe igły – mógł czuć się szczęśliwy we własnej samotności. Nie potrzebował ani towarzyskiego wyrobienia, ani wykształcenia w klasycznym znaczeniu tego słowa.

Johansson wszedł na wieżyczkę i podlał rośliny. Im dłużej trwała jesień, tym rzadziej to robił. Dlaczego zareagował tak gwałtownie? Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wydarzyło się coś podobnego. W pracy rzadko opowiadał się po czyjejś stronie; pozostawał obojętny zarówno w obliczu czystej głupoty, jak i tyranii. Nie angażował się w żadne spory czy konflikty. Zazwyczaj po prostu odchodził, a robił to ze spojrzeniem kogoś mającego moralną wyższość, dokonując cichej demonstracji, która zresztą nie robiła na nikim wrażenia.

Czy postępował tak z tchórzostwa? A może powodowało nim głęboko skrywane poczucie niższości, które uznał za główną przyczynę prymitywnej protekcyjności Hallera? Bo w rzeczywistości gardził wieloma kolegami ze studiów za ich brak manier i ignorancję. Nie mieli pojęcia, co się dzieje poza akademikami i stowarzyszeniami studenckimi, a w ich zachowaniu była taka pewność siebie, taka

arogancja, jakby uważali się za nieomylnych. Gdyby przyłapano ich na kłamstwie albo ewidentnej niewiedzy, nie poczuliby się nawet zakłopotani, tylko powiedzieli sobie: „Może to nie było udane, ale co z tego?” Byli chronieni i dobrze o tym wiedzieli.

Nigdy nie mówił im o warunkach życia w domu robotnika rolnego, tylko przyjmował postawę bierną. Zaledwie kilku jego kolegów pochodziło z rodzin robotniczych, a żaden z wiejskiego proletariatu. Johansson był więc osamotniony w swoim doświadczeniu, w swoim języku. Nie wstydził się swego pochodzenia, wręcz przeciwnie – był z niego dumny, ale nigdy nie reagował nawet na najgorsze formy pogardy i ignorancji o podłożu klasowym, a teraz, rozmawiając z Hallerem, właśnie to zrobił.

Zirykowało go niegrzeczne zachowanie gościa, ale jednocześnie czuł się dziwnie zakłopotany i dlatego dał się ponieść emocjom. Ostre słowa, które padły z jego ust, były skierowane zarówno do Hallera, jak i do niego samego. Otwarta pogarda ogrodnika dla profesora, a przede wszystkim ta wyraźna przyjemność z ciśnięcia kamieniem, obudziła jego własne wyrzuty sumienia, przypomniała namowy Bubba, aby wziął udział w kampanii przeciwko wyborowi dokonanej przez komisję noblowską. Obudziła jego poczucie bycia dyskryminowanym, zarówno kiedyś, jak i teraz.

Znaczenie słów profesora, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie, zwłaszcza w środowisku akademickim, stało się wyraźniejsze niż kiedykolwiek.

Ogrodnik Lundquista wziął się do roboty. Prace przygotowawcze już prawie skończył, wkrótce wszystko będzie gotowe do sadzenia. Haller bez wątplenia dobrze znał swój fach. Położył dwie deski jako kładki, aby nie zdeptać miękkich grządek.

Docent poczuł ukłucie zazdrości. Haller wykonywał konstruktywną, pożyteczną pracę, podczas gdy to, co on robił w swojej wieży, bardziej przypominało terapię. Ja już zrobiłem, co do mnie należało, próbowałem się pocieszyć. Przyczyniłem się do przełomowego odkrycia, które zmniejszyło ludzkie cierpienie i ocaliło niejedno życie. Nie muszę się tłumaczyć z tego, że teraz w swojej wieży hoduję egzotyczne rośliny. Spłaciłem z nawiązką dług, jaki miałem wobec

społeczeństwa, które poniosło koszty mojego wykształcenia, i teraz mam prawo cieszyć się...

– Ale czy ja się cieszę? – zapytał na głos i spojrzał w stronę ogrodu Lundquista, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź.

Haller uniósł wzrok w tej samej chwili. Docent wiedział, że jest dobrze widoczny na tle matowych liści oliwki, więc pomachał ogrodnikowi, ten odwzajemnił gest.

Może zostaniemy przyjaciółmi? – pomyślał Johansson i nagle uświadomił sobie, że nigdy nie miał prawdziwego przyjaciela. Od dawna nawet nie użył słowa „przyjaciel”.

Kiedy ostatnio to zrobił? Chyba wtedy, kiedy napisał ten obowiązkowy bożonarodzeniowy list do Düsseldorfu, który zawsze zaczynał od „Lieber Freund”.

Czy to Horst Bubb ma być tym, do kogo zadzwoni, by opowiedzieć o swoich zmartwieniach, tym, kogo poprosi o radę i u kogo będzie szukał wsparcia? Horstem kierowała tylko jedna myśl: zdyskredytować Bertrama Ohlera, człowieka, którego nigdy nie spotkał i z którym nie miał żadnych problemów.

Docent miał świadomość, że cokolwiek powie swojemu „drogiemu przyjacielowi” z Niemiec, usłyszy tyradę o niesprawiedliwym werdykcie Akademii Nauk i heroicznej walce Wolfganga Schimmela o uhonorowanie Alana Fergusona z Vermontu. I że sam nie zaangażuje się w tę walkę, chociaż również uważał, że doszło do rażącej niesprawiedliwości.

Czy to czyniło go oportunistą i tchórzem? Czy tylko dokonując jednoznacznego wyboru, uwolni się od poczucia dyskomfortu?

Westchnął ciężko i zerknąwszy jeszcze raz na Hallera, zszedł z wieży.

Algot Forslund podał Agnes swój kapelusz. Kapelusz brzydko pachniał, dymem i jakąś zgnilizną, więc szybko odłożyła go na półkę. Prawnik zdjął palto, ale nie fatygował gosposi, tylko sam je powiesił.

Chociaż byli w tym samym wieku, Forslund wyglądał zdecydowanie starszej. Zawsze był wątlej postury, lecz w ciągu ostatniego roku pierś mu się zapadła, plecy przygarbiły, a skóra na twarzy i szyi poszarzała i obwisła.

Agnes miała pewność, że główną przyczyną nie było nadużywanie alkoholu, tylko jakaś poważna choroba, ale ten przygarbiony mężczyzna, który stał w holu, czekając, aż otworzy mu drzwi do biblioteki, był jej całkiem obojętny. Forslund nigdy jej nie interesował – ani młody, ani stary, ani trzeźwy, ani pijany – więc dlaczego teraz miałyby się nim przejmować?

Od pewnego czasu Bertram von Ohler był jego jedynym klientem. Prawnik przychodził tutaj cztery, pięć razy w roku. Zawsze znajdowały się jakieś dokumenty do uporządkowania. Agnes podejrzewała, że pewnie znowu chodziło o testament. Profesor już parokrotnie go zmieniał, dodając lub usuwając jakiś detal. W ciągu dnia przeglądał swoje „archiwum”, jak nazywał stary sejf. Tylko Agnes, poza samym profesorem, wiedziała, że klucz do niego trzyma w starej puszcze w piwnicy.

Musiała przynieść Ohlerowi ten klucz, bo sam nie odważył się zejść po schodach. Profesor szybko zapomniał o swojej obietnicy, że będzie mogła odpocząć po obiedzie. Wypełnił jej popołudnie ciągle nowymi instrukcjami i poleceniami, więc teraz czuła się bardzo zmęczona. Jak zawsze, gdy musiała dużo chodzić, nasilił się ból w lewym biodrze. Kuśtykała, co zauważył nawet mało spostrzegawczy Forslund.

– Czemu utykasz? Ganiał cię? – zapytał prawnik, szczerząc się w uśmiechu.

– Proszę wejść – powiedziała Agnes, przytrzymując otwarte drzwi. Forslund skierował się do biblioteki.

– Dziękuję, Agnes – rzucił profesor. – Za godzinę coś przekąsimy. Może za pół godziny – poprawił się, zerkając na gościa.

Czy uwzględnił ją w testamencie? Tak przypuszczała. Wspomnił coś o tym kilka lat temu, ale od tamtej pory zmieniał dokument już kilka razy. Forslund na pewno chętnie usunąłby Agnes z testamentu. Kiedyś okazywał jej wyraźne zainteresowanie, zwykł mawiać, że w domu jest wiele pomieszczeń, w których mógłby udzielić prywatnej porady prawnej. Upojony alkoholem zawsze próbował ją obmacywać, a kiedy to nic nie dawało, składał jej nieprzyzwoite propozycje. Zawsze stanowczo odmawiała, czasem nawet opryskliwie. Ale to działo się wiele lat temu. Od tamtej pory oboje już mocno przywiędli.

Gdy zajmowała się przygotowaniem kolacji, uświadomiła sobie, że zupełnie nie dba o własne zabezpieczenie. Profesor często zmieniał testament, a ona ledwie się orientowała, ile ma na swoim koncie w banku. Powiedziała mu o emeryturze, ale nie zastanawiała się nad jej stroną finansową.

Od zawsze mieszkała i jadła za darmo u Ohlerów, jej wydatki ograniczały się do ubrań i paru drobiazgów. Regularnie wpłacała też pewną sumę na Luterkański Fundusz Pomocowy.

Czy ma wystarczająco dużo pieniędzy, aby coś sobie wynająć? Nie wiedziała. A koszty utrzymania? Nigdy się nad tym nie zastanawiała, zakładając, że w razie potrzeby może zamieszkać w domu rodzinnym w Gräsö. Ale czy Greta zaakceptowałaby to, że się do niej wprowadzi? I czy ona sama chciałaby tam wracać?

Chociaż zapach śledzia w sosie musztardowym trochę ją mdlił, zawsze przyrządzała go samodzielnie. Cokolwiek by mówić o Forslundzie, znał się na śledziach. Śledź marynowany z cebulą, klasyczny śledź marynowany, *glasmästarsill* – nigdy nie miał ich dość. Chwalił również jej powidła. Pomyślała z uśmiechem, że gdyby chodziło tylko o śledzie i powidła, tworzyliby doskonałą parę.

Rano wstawiła do lodówki butelkę wódki i kieliszki, aby były porządnie zmrożone. Teraz wyjęła wódkę i kieliszki i postawiła na tacy. Miskę z kartoflami przykryła czystą ściereczką, talerze przybrała kawałkami ogórka i kaparami i zadbała, aby marynowany na słodko filet śledziowy z kremową masą jajeczną nabrał w piekarniku odpowiedniego

koloru.

Forslund zawsze wolał jeść w kuchni, bo, jak mawiał, to jest odpowiednie miejsce na śledzia, i tym razem profesor się z nim zgodził. Pojawili się, kiedy wyjmowała rybę z piekarnika.

– Doskonale! – zawołał Forslund. – Agnes to prawdziwy skarb.

Widok i zapachy wszystkich dobrych rzeczy na stole wyraźnie go rozweseliły.

Profesor stał w drzwiach i przyglądał się Agnes z dziwnym wyrazem twarzy, jakby nie kojarzył, kim jest ta kobieta w kuchni. Dostrzegła to kątem oka, gdy nalewała Ohlerowi pierwszy kieliszek wódki. Ostatnimi czasy za bardzo trzęsły mu się ręce, żeby mógł sam to zrobić. Prawnik nie miał tego problemu, więc sam sobie nalał.

– Gdybyście czegoś potrzebowali, będę w pokoju telewizyjnym – powiedziała.

– Tak naprawdę to Agnes powinna zostać tutaj i też świętować – oznajmił Forslund. – To byłoby...

– Dziękuję, Agnes – przerwał mu profesor, który właśnie się odblokował. – Jak zwykle wszystko wygląda bardzo apetycznie.

– Ale przecież jeszcze nikt nie umarł od jednego kieliszka wódki – stwierdził Forslund, nabijając pikła na widelec.

– Agnes nie tyka alkoholu – odparł profesor, odsuwając się na bok, żeby gosposia mogła wyjść z kuchni.

Opadła ciężko na kanapę i włączyła telewizor. Miała własny odbiornik w swoim saloniku na piętrze i właśnie tam wolałaby usiąść, ale musiała być w pobliżu, aby w razie czego szybko zareagować.

Właśnie zaczął się wieczorny dziennik i pierwszym, co zobaczyła na ekranie, była fotografia profesora sprzed co najmniej dwudziestu pięciu lat. W pierwszej chwili ledwo go rozpoznała, jakby zdjęcie nie przedstawiało prawdziwego Bertrama von Ohlera.

Prezenter mówił o „zmasowanej krytyce” Akademii w związku z wyborem laureata nagrody. Później pojawił się dziennikarz, który stał w jakimś dużym pomieszczeniu z rzędami krzeseł i podium w głębi. Mrużył jedno oko, co na chwilę ją rozproszyło, ale głos miał wyraźny i dźwięczny. Opisywał atmosferę panującą na spotkaniu grupy naukowców podczas jakiejś konferencji w Niemczech. Mówił bardzo

szybko, tak jak mężczyzna, z którym rozmawiał, podpisany na ekranie „HORST BUBB”, ale Agnes zrozumiała go na tyle, aby się zorientować, że Bertram von Ohler właśnie zbiera niezłe cięgi.

Na koniec materiału prezynter oznajmił, że Królewska Akademia Nauk odmówiła komentarza w tej sprawie.

Potem nadano reportaż ze Stanów Zjednoczonych o kryzysie w branży motoryzacyjnej, ale Agnes już go nie oglądała.

Przez jakiś czas siedziała nieruchomo, nie przyjmując do wiadomości niczego z tego, o czym mówiono, potem wstała, podeszła do barku, wyjęła butelkę i naląła odrobinę likieru do kryształowego kieliszka, który wypolerowała dzisiaj rano.

Gdy podniosła kieliszek do ust, czując ostry zapach alkoholu unoszący się do jej nosa, zadzwonił telefon.

Przenośny aparat leżał na stole. Agnes odstawiła kieliszek i odebrała po drugim dzwonku.

– Mogę rozmawiać z profesorem Ohlerem? – odezwała się jakaś kobieta tonem raczej stwierdzającym niż pytającym.

– Teraz jest zajęty – odparła Agnes. – Proszę zadzwonić jutro.

– Nazywam się Liselott Karnehagen i dzwonię z „Aftonbladet”.

– Niestety, profesor nie może teraz rozmawiać. – Agnes trwała przy swoim.

– Prosilibyśmy o jakiś komentarz. Bardzo nam na tym zależy.

– Ode mnie?

– A kim pani jest? Sekretarką?

– Nie, i teraz naprawdę...

– Profesor von Ohler wydaje się mieć związek z oszu... – nie rezygnowała dziennikarka.

– Może i tak – weszła jej w słowo Agnes. – Ale właśnie je śledzia.

– Śledzia?

– Tak. Proszę zadzwonić jutro – powtórzyła Agnes i zakończyła połączenie.

Telefon natychmiast znowu się rozdzwonił. Szybko wyszła z salonu i wyjęła wtyczkę telefoniczną z gniazdka. Uświadomiła sobie, że nadchodzą ciężkie czasy.

Idąc korytarzem biegnącym przez pół domu, dotarła do drzwi

kuchni. Forslund coś mówił, ale nie potrafiła zrozumieć o czym. Zastanawiała się, czy zapukać i spytać, czy wszystko w porządku, ale porzuciła ten pomysł, kiedy przypomniała sobie o kieliszku z likierem. Wróciła do pokoju telewizyjnego i usiadła na sofie.

Nie podobała jej się ta nagroda. Dlaczego wszyscy mieli teraz niepokoić profesora? Jest starym człowiekiem i ma już tyle, że nie potrzebuje niczego więcej. Czytała w gazecie, ile wynosi nagroda, jakieś niepojęte miliony. To pewnie dlatego przyszedł prawnik. Znowu pomyślała o własnej sytuacji. Profesor nie przyjął do wiadomości jej słów o emeryturze i bardzo dobrze to rozumiała.

Była mu potrzebna.

Pięćdziesiąt pięć lat, pomyślała, odchylając głowę na oparcie sofy, i od razu zasnęła z kieliszkiem w ręku.

Gdyby odszedł teraz od stołu, upadłby. Powinien otworzyć oczy, toby mu przyniosło ulgę, ale nawet taka prosta czynność, jak uniesienie powiek, wiązała się z niepewnością, nawet lękiem. Czuł ucisk w piersiach, nogi były jak dwie kłody, głowa ciężka jak ołów, a strach wił się wokół jego ciała niczym węże.

Będę musiał tak stać aż po kres czasu, pomyślał. Kiedyś widział sparaliżowanego człowieka. Miał sztywne stawy, twarz nieruchomą jak maska, ciało zimne i błyszczące niczym brzuch oribi, ryby, która każdej wiosny skakała w rzece przy jego domu. Żona tego mężczyzny opowiadała, że nocą przemawia słowami, których nikt nie rozumie. Wkradła się w niego jakaś dziwna mowa i właśnie to najbardziej przerażało wieśniaków. Wkrótce potem żona opuściła go i zamieszkała u jednego ze swoich braci. Nie chciała się zarazić, a ten argument większość rozumiała i akceptowała.

Mężczyzna zmarł po kilku miesiącach. Potem stał się bohaterem opowieści, która powędrowała doliną. Według tej historii przemawiał przez niego Bóg, a żona była złą kobietą, która porzuciła męża w trudnym czasie.

Lepiej upaść czy pozostać sparaliżowanym? Wybór należał do niego. Zdecydował się na to pierwsze. Puści blat i upadnie jak wieża, w której zdetonowano dynamit.

Fala ulgi zmyła strach. Upadając na podłogę, uderzył się w bark, ale prawie nie zabolalo. Może ból zjawi się później? Ważne, że lęk zniknął, bo przede wszystkim o to chodziło.

Podciągnął się na czworaki. Był kompletnie pijany, tak jak nigdy od dziesięcioleci. Ale umysł miał jasny, a myśli klarowne niczym kryształ. Myślał o tym, jak złał go docent, i o tym, jak bardzo było mu wstyd. Naruszył zasady gościnności, starając się być kimś ważnym. Fatalny błąd.

Przewrócił się na bok i leżał na podłodze z wyprostowanymi nogami. Jestem upadłym bohaterem, przemknęło mu przez głowę i w tej samej chwili ogarnęła go złość za takie uzalanie się nad sobą.

Próbował myśleć o sadzeniu, które musiał dokończyć. O tej porze roku niełatwo znaleźć białe azalie, dlatego będzie musiał zadowolić się rododendronami – trzema Cunningham's White, które dostał za pół ceny. Próbował sobie wyobrazić, jak będzie je sadił, ale na próżno. Myśli o Ohlerze ciągle wracały.

Miał ochotę cisnąć następnym kamieniem, a potem jeszcze jednym. Żartobliwa wzmianka o katapulcie wcale nie była tylko czczym gadaniem. Chciał oblegać ten wielki dom, wypędzić profesora na światło dzienne, odsłoniętego, ośmieszonego.

– Wstawaj!

To miał być kategoryczny rozkaz, ale usłyszał tylko słaby jęk. Zaśmiał się szyderczo.

Gdy zobaczył profesora w telewizyjnym dzienniku, postanowił zrobić sobie drinka, co zdarzało mu się bardzo rzadko. Miał słabą głowę, więc tych kilka kieliszków rumu kupionego podczas ostatniej wizyty w Niemczech wystarczyło, żeby się upił.

Zabiję skurwysyna, taka była jego ostatnia myśl, zanim przewrócił się i zastygł.

Grożono mu śmiercią?! – zawołał Ottosson. – To zaszło już zdecydowanie za daleko.

– W każdym razie on tak to rozumie – stwierdził Allan Fredriksson, po raz trzeci drapiąc się z tyłu głowy.

– Masz wszy? – zapytał Sammy Nilsson.

Ann Lindell uśmiechnęła się szeroko i sama się podrapała, ruchem mającym przypominać małpkę. Wszystko za plecami Fredrikssona, ale on się odwrócił, jakby wyczuł, co się wprawia.

– Bardzo zabawne – mruknął z sarkazmem.

Lindell szturchnęła go w bok.

– Dobra – powiedziała. – Czaszka w skrzynce na listy.

– I jeszcze jeden rzucony kamień – dodał Fredriksson, machając kartką. – A potem parę artykułów w gazetach. Dzisiaj było coś w lokalnej gazecie, a wczoraj w „Aktuellt”.

– Ale grożenie śmiercią? – Ottosson pokręcił głową.

Widać było, że chce to od siebie odsunąć, najlepiej od razu przekazać umundurowanej policji.

– Wohlin jest bardzo stanowczy – kontynuował Fredriksson. – Chodzi przecież o laureata Nagrody Nobla, arystokratycznego profesora.

Komisarz Agne Wohlin był nową gwiazdą Departamentu Policji w Uppsali. Nikt go nie lubił, tak jak instynktownie nie lubi się nowych komisarzy, zwłaszcza przybyłych z Dalsland. To ostatnie dodał Sammy Nilsson, nikt tak naprawdę nie rozumiał dlaczego. Nigdy wcześniej nie wyrażał się źle o Dalslandczykach. W wydziale zabójstw niewielu znało kogokolwiek z Dalsland czy choćby potrafiło wskazać ten region na mapie.

– To jest sprawa dla policji mundurowej – oznajmił Sammy. – Mogą tam postawić paru niebieskich i będzie spokój.

– Wohlin chce, żebyś sporządził model pogrózek.

– To coś dla SePo – dalej próbował Sammy.

– Dla nas – powtórzył Fredriksson.

Nie dla mnie, pomyślała Lindell, ale Ottosson już postanowił.

– Ann, ty wiesz, jak sobie radzić z tymi biedakami w Kåbo. Pojedziesz tam i porozmawiasz ze staruszką.

– Tylko nie schodź do piwnicy – ostrzegł Fredriksson.

Lata temu Ann Lindell prowadziła śledztwo w sprawie serii morderstw w okolicy Uppsali i musiała odwiedzić pewną willę w Kåbo, której to wizyty o mało nie przypłaciła życiem. Od tamtej pory ani razu nie postawiła nogi w tej okolicy.

– Czy to jest to samo osiedle? – spytała.

– Nie sądzę – odparł Fredriksson. – Chociaż ta sama ulica.

Obaj wydawali się dziwnie nieświadomi tego, jakie wrażenie wywiera na niej rozmowa o Kåbo. Może sądzą, że już zostawiła wszystko za sobą? Jeżeli tak, są w błędzie. Wciąż budziła się czasami w środku nocy, cała spocona, przeniesiona we śnie z powrotem do płonącego piekła.

Sammy objął ją ramieniem.

– Ja pójdę – powiedział, odciągając Ann od Ottossona i szaleńczo drapiącego się Fredrikssona.

– Co to może być, do cholery? – To były ostatnie słowa Fredrikssona, jakie zdołała usłyszeć.

– Źle się dzieje w państwie duńskim – oznajmił Sammy, gdy winda ruszyła w dół.

Lindell nie spytała go, co ma na myśli. Cały ten poranek był absurdalny. Gdyby kazano jej wymienić wszystko, co było dzisiaj dziwne, nie miałyby czasu na nic innego.

Ann uznała, że profesor po prostu nie chce, aby jacyś mundurowi biegali mu po domu, ale bez przesady! Przecież powinno wystarczyć, że komisarz Wohlin pójdzie tam sam i przeuroczym dialektem z Dalarny zaprezentuje swoje kwalifikacje, uspokajając starszego pana. Potem wszystko wróciłoby do normy.

– Gdzie jest Dalarna? – zapytała Sammy'ego.

– Dalsland – poprawił.

Kiedy wyjechali z garażu na autostradę Råby, Ann opowiedziała Nilssonowi o swoim śnie, w którym było wszystko – od wściekłych szczurów i gnijących trupów po dym i żarłoczny ogień. Nie rozmawiała o tym nawet z Brantem, chociaż to przecież on był świadkiem jej

nocnych koszmarów.

Uświadomiła sobie, dlaczego mówiono, że Ottosson się nią opiekuje. Chciał, aby skonfrontowała się z widokiem wielkich willi i na nowo przepracowała tamte wydarzenia. Sądził, że wtedy zastartuje, zacznie mówić. Miał rację. Ta specyficzna terapia dała lepsze wyniki, niż można się było spodziewać. Ann rozładowała swój umysł, ubierając dręczące ją wspomnienia w słowa, jeszcze zanim przyjechali do Kåbo.

A Sammy był odpowiednią osobą do zwierzeń. Układało im się lepiej niż kiedykolwiek. Jesienią Lindell nawet spotkała się parę razy z rodziną Nilssonów na gruncie towarzyskim.

Zresztą w rozpadającym się zespole wybór był niewielki. Ottosson zapowiedział, że pod koniec roku przechodzi na emeryturę i przenosi się do swojego domu w Jumkil. Berglund już odszedł. Haver był na długim urlopie zdrowotnym, z którego najprawdopodobniej nie wróci, a kilka dni temu Beatrice Andersson rzuciła prawdziwą bombę: zamierzała się rozwieść, zrezygnować z pracy i przeprowadzić do Skanii. Poznała jakiegoś farmera z okolic Östra Sönnarslöv i planowała zacząć z nim wszystko od nowa. Zabrzmiało to, jakby dostała gotowy pakiet od jakiejś agencji, łącznie z formularzami oraz subwencją na rozpoczęcie działalności i jej kontynuację.

– Jak, do cholery, można poznać kogoś ze Skanii? – zastanawiał się Sammy Nilsson.

– Może przez biuletyn Kooperatywy Rolniczej? – podsunął Ottosson.

– A co jest nie tak z rolnikami? – syknął Fredriksson.

– Chodziło mi o Skanię – powiedział Nilsson, znany z niechętnego nastawienia do mieszkańców prowincji. W niełaskę popadł u niego również Dalsland.

Ann Lindell ledwie pamiętała drogę przez kwartał zabudowań po zachodniej stronie Villavägen. Groza, którą przeżyła pięć lat temu, wymazała wiele jej wspomnień. Tam, gdzie kiedyś stała willa Hinderstenów, teraz wznosił się nowoczesny dom, inspirowany stylem funkcjonalizmu.

– Wtedy był docent, teraz jest profesor – stwierdził Sammy z uśmiechem. – Czy to nie znaczy, że...

– Teraz mamy i docenta, i profesora – przerwała mu Ann. – Sąsiadem noblisty jest docent, a nasz profesor właśnie jego uważa za czarny charakter całej historii.

– Co masz na myśli? To on groził profesorowi śmiercią?

Lindell wzruszyła ramionami.

– Musimy po prostu sprawdzić – oznajmiła tonem, który świadczył, że dobrze rozumie, na czym polega jej zadanie.

Pod domem stała furgonetka lokalnej stacji radiowej i kilka innych samochodów.

– Dziennikarze – jęknął Sammy. – I jeszcze to. Zanosi się na niezłą zabawę.

Zatrzymali się za furgonetką. Od razu rozpoznali dziennikarza – Göte Bengtssona, jedną z gwiazd lokalnej rozgłośni.

Kiedy Ann wysiadała z samochodu, stał na chodniku z krzywym uśmiechem. Ubrany w obszerną parkę, przypominał kudłatego niedźwiedzia.

– Komitet powitalny – powiedziała Lindell.

Göte Bengtsson pokiwał głową. Wyglądał na trochę rozmęczonego, zupełnie jakby właśnie go obudzono i posłano na zlecenie, które ledwie go interesuje. Ale Lindell nie dała się nabrać.

– Rozumiem, Nagroda Nobla – odezwał się dostojnym tonem.

Kątem oka Ann dostrzegła, jak zbliża się jeden z kolegów Bengtssona. W tle pojawił się fotograf.

– Braki personalne – wyjaśniła, starając się przybrać jednocześnie zakłopotany i znudzony wyraz twarzy.

Jednak dziennikarz też nie był naiwny.

– Przecież on wciąż żyje – stwierdził, doskonale wiedząc, jakimi sprawami zwykle zajmowała się Lindell.

– I pan także – zauważył Sammy Nilsson, który dołączył do nich na chodniku i dobrowolnie wziął na siebie zadanie rozbicia kolegów Bengtssona. Zbliżył się.

– Czy to jakaś nowa inicjatywa, rodzaj działalności prewencyjnej ze strony wydziału zabójstw? – zapytał Bengtsson.

Lindell było zimno i też chciałyby mieć na sobie taką parkę.

– Stylowa chałupka – zauważyła i odpowiedziała dziennikarzowi:

– Nie, jesteśmy tutaj z przydziału, żeby mieć pojęcie, jak w Kåbo załatwia się sprawy towarzyskie.

Nie była to uwaga szczególnie dowcipna, ale Bengtsson się uśmiechnął.

– Odbyłem pogawędkę z naszym laureatem – powiedział. – Był niesłychanie wylewny.

– To miło – odparła Ann z uśmiechem. – Więc pan mnie nie potrzebuje.

– Może jednak później? – spytał Bengtsson.

Lindell skinęła głową z uśmiechem.

Bengtsson odwzajemnił uśmiech, po czym odwrócił głowę i patrzył, jak Sammy oddala się od dziennikarzy, machając lekceważąco ręką.

– Karnehagen z „Aftonbladet” i nowa gwiazda z „Expressen” – wyjaśnił. – Macie ochotę na kawę? – Skinął głową w stronę swojej furgonetki.

Napili się kawy, gawędząc o tym i owym, między innymi o zbliżającej się emeryturze Bengtssona. Na chodniku na zewnątrz stali dziennikarze z tabloidów.

– Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla okazanej przez państwa gnuśności. Przyszło tu tylko dwóch umundurowanych policjantów, a potem już nic się nie działo.

– A co, pańskim zdaniem, powinniśmy zrobić? – zapytał Sammy Nilsson. – Otoczyć całą okolicę kordonem, wezwać marines?

Rozmawiali z Bertramem von Ohlerem już od dziesięciu minut i oboje byli przekonani, że nic więcej tutaj nie wskórają.

Profesor wpatrywał się w Nilssona spod zmarszczonych brwi.

– Może porozmawiamy z pańską... pracownicą? – zaproponowała Lindell.

– Po co?

– Może zobaczyła albo usłyszała coś ciekawego?

– A co takiego mogłaby zobaczyć albo usłyszeć?

Lindell zdobyła się na uśmiech. To jest laureat Nobla, pomyślała.

– Nie chcę, żebyście niepokoili Agnes – ciągnął profesor. – Ona jest niesłychanie wrażliwa.

Agnes Andersson nie wyglądała na przejętą. Siedziała sztywno wyprostowana po drugiej stronie gigantycznego kuchennego stołu, splecione dłonie trzymała na blacie. Przypominała podstarzałą konfirmantkę czekającą na pytania z Biblii, które poznała już wcześniej i odpowiedzi miała doskonale opanowane.

– Co za niesamowita kuchnia – pochwaliła Lindell. – Jak dobrze zorganizowana.

– Dziękuję – powiedziała Agnes.

Ann ponownie omiotła spojrzeniem ściany i szafki.

– Od dawna pani tutaj pracuje?

– Pięćdziesiąt pięć lat. Zjawiłam się tu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim.

Lindell pomyślała, że w Agnes Andersson jest coś znajomego. Czyżby się już kiedyś spotkały?

– Jako młoda dziewczyna – zauważyła, uważniej przyglądając się siedzącej przed nią kobiecie.

Ile mogła mieć lat? Na pewno ponad siedemdziesiąt. Jej wyłupiaste oczy wpatrywały się teraz w Ann.

– Wcześniej było tutaj więcej do roboty – oznajmiła. – I nas też było więcej. Teraz został tylko profesor i ja.

– Ale przecież pani sama nie dałaby rady posprzątać tego wielkiego domu.

– No tak, ale trzy razy w roku przyjeżdża moja siostra i mi pomaga. Na Boże Narodzenie, w maju, kiedy kwitną jabłonie, i jesienią.

Lindell próbowała sobie wyobrazić, jak to jest sprzątać czternaście pokoi i na dodatek kuchnię, ale jakoś nie potrafiła. Samo polerowanie tych wszystkich miedzianych ozdób na ścianach musiało zajmować co najmniej tydzień.

– Moja siostra bardzo lubi kwiaty jabłoni – dodała Agnes.

Teraz Ann próbowała sobie wyobrazić, jak to jest mieć siostrę, która lubi kwiaty jabłoni, ale również bez powodzenia.

– Pani musi być bardzo silną kobietą – stwierdziła ze szczerym podziwem.

Agnes prawie niezauważalnie kiwnęła głową.

– Zerknę na ogród – powiedział Sammy i wyszedł kuchennymi

drzwiami, nie czekając na dalsze słowa Lindell.

– Trzeba mieć dużo siły, żeby zajmować się takim domem właściwie samej.

– Przyzwyczaiałam się.

Lindell uśmiechnęła się, a Agnes, ku jej zaskoczeniu, odpowiedziała uśmiechem.

– Profesor na pewno ma sporo gości.

– Już nie. Chce trochę zwolnić.

– Co pani sądzi o tym, co się wydarzyło? Chodzi mi o rzucanie kamieniami i te pogróżki w skrzynce na listy dzisiaj rano.

– A co mam sądzić? – odparła Agnes po chwili namysłu. – Myślę, że to jakieś niesforne dzieciaki, takie szczeniackie dowcipy.

– Były też telefony z pogróżkami?

– Nic mi o tym nie wiadomo – zaprzeczyła Agnes, ale po raz pierwszy była nieco zbita z tropu.

– Czy ostatnio nie zauważyła pani czegoś nietypowego?

Gospoia pokręciła głową. I wtedy do Ann dotarło, dlaczego Agnes Andersson wydaje jej się znajoma. Chodziło o akcent, którego nawet nie starała się ukryć. Pięćdziesiąt pięć lat życia w Uppsali prawie go zatarło, ale ślady dialektu z Gräsö nadal pozostały, niczym cień przeszłości.

– Pani nie urodziła się w Uppsali, prawda?

– Urodziłam się w Gräsö – odparła Agnes.

Lindell chciała ją jeszcze zapytać, czy zna Violę, ale powstrzymała się. Na pewno znała Violę, jak wszyscy w Gräsö, tak jak każdy wiedział o Munkargrundarn i innych miejscach na wyspie.

Ann poznała Violę dziesięć lat temu, gdy podczas śledztwa w sprawie morderstwa spotkała Edvarda Risberga. Po rozwodzie Risberg przeprowadził do Gräsö i wynajął piętro starego domu Violi na wyspie, a później on i Lindell zostali parą. Kiedy zaszła w ciążę z innym mężczyzną, ich związek się rozpadł. Uważała to za największy błąd swojego życia. Chociaż uwielbiała Erika i nigdy nie żałowała, że przyszedł na świat, nie potrafiła się pozbyć myśli, że mógłby być synem Edvarda. Za jedną noc zapomnienia zapłaciła utratą mężczyzny, którego bardzo kochała.

Wiedziała, że nigdy więcej nie doświadczy takiej namiętności. Że

Edvard na zawsze pozostanie cierniem w jej sercu. Rozmawiała o nim z Andersem Brantem, ale zawsze w luźny sposób, typowy w sytuacjach, kiedy rozmowa schodzi na dawne związki. Może jednak on też wyczuwał, że nigdy nie zdoła zastąpić Edvarda?

Wspomnienie Violi, chociaż mgliste, oznaczało wędrówkę po bolesnej ścieżce. Przypominało spoglądanie na znajomy piękny krajobraz przez okno pociągu, bez możliwości zatrzymania się, wyjścia i ponownego podziwiania tego krajobrazu z bliska. Już nigdy nie pójdzie z Edvardem do łóżka. Nie poczuje, jak zwija się w kłębek obok niej. Nie usłyszy Violi krzątającej się w kuchni, przygotowującej poranną kawę i kanapki.

Ann podniosła wzrok i napotkawszy spojrzenie Agnes, poczuła się przyłapana. Natychmiast wróciła do teraźniejszości.

– Czy przychodzi pani na myśl ktoś, kto mógłby źle życzyć profesorowi?

– To mógłby być Bunde, nasz sąsiad – powiedziała Agnes. – To on napisał ten artykuł w dzisiejszym „Upsala Nya”. Docent, który mieszka dom dalej, też nie przepada za profesorem, ale to spokojny człowiek, nie skrzywdziłby nawet muchy. To on ma tę wysoką wieżę, którą pani na pewno zauważyła. Hoduje tam oliwki i mnóstwo innych roślin.

Ann odwróciła głowę i popatrzyła przez okno na szklaną kopułę. Wiedziała, że docent Johansson jest kolegą z pracy Bertrama von Ohlera. Profesor uważał go za pomysłodawcę artykułu w dzisiejszej gazecie, mimo że tekst napisał Torben Bunde. Uważał również, że to docent stoi za podrzuceniem czaszki do skrzynki pocztowej.

Lindell nie czytała artykułu Bundego, nawet go nie zauważyła, przeglądając rano „Upsala Nya”. Dowiedziała się o nim od Göte Bengtssona, który twierdził, że artykuł nie zawiera niczego nowego, stanowi raczej omówienie kontrowersji, jakie pojawiły się po ogłoszeniu laureata nagrody, przede wszystkim w Niemczech. Zdaniem Bengtssona Bunde był dobrze poinformowany i koncentrował się na faktach, unikając komentarzy, ale w ostatnim akapicie nie potrafił się powstrzymać od paru kąśliwych uwag. Porównał Szwecję do kurnika, profesora von Ohlera przedstawił jako ofiarę prowincjonalnych wąskich horyzontów. Podsumowując, stwierdził, że ktoś zasłużony i wybitny w

provincialnym szwedzkim szpitalu niekoniecznie powinien otrzymać Nagrodę Nobla.

Bengtsson pokazał Ann dom Bundego. Teraz spojrzała w tamtą stronę i dostrzegła jakąś sylwetkę w oknie.

– Prawdziwe gniazdo os – wyrwało jej się.

Agnes uśmiechnęła się lekko.

– I są jeszcze ci Niemcy – podjęła. – Niemcy nigdy nie lubili profesora. I vice versa.

Starsza kobieta wyraźnie się ożywiła. Jej oczy błyszczały, a dłonie uniosła znad stołu i każde słowo podkreślała gestami.

Opowiedziała o artykule opublikowanym w jakimś niemieckim czasopiśmie.

– Gdy profesor go przeczytał, najpierw ciskał się jak furiat, a potem opadł na kanapę w bibliotece i w ogóle się nie odzywał. Prawie nie było z nim kontaktu. – Agnes westchnęła i mówiła dalej: – Martwiłam się, myślałam nawet, żeby zadzwonić po jego córkę. To przecież starszy pan, w każdej chwili serce może odmówić mu posłuszeństwa.

Lindell pokiwała głową, jakby doskonale rozumiała jej obawy.

– Ale Birgitta tylko by wszystko jeszcze pogorszyła – oznajmiła Agnes.

W tej kobiecie było coś z Violi. Może istnieje jakiś kobiecy gen z Gräsö? Ta myśl rozbawiła Lindell, nie mogła jednak tego okazać.

– Z tego, co wiem, profesor ma dwóch synów.

Agnes cmoknęła.

– Abrahama i Carla – powiedziała. – Patrzyłam, jak dorastają. Czyściłam im buty.

Lindell odczekała chwilę, nim zadała kolejne pytanie.

– Czy może mi pani powiedzieć, jakim pracodawcą jest profesor?

– Da się z nim wytrzymać – odparła Agnes. – Ale ze mną również, prawda?

Ann nie bardzo wiedziała, jak ma rozumieć tę odpowiedź. Zanim jednak zdążyła się zastanowić, czy to pochwała, czy raczej krytyka profesora, usłyszała głosy dobiegające z podwórza. Wydawało jej się, że jeden z nich należy do Sammy'ego.

- Muszę już iść – stwierdziła. – Bardzo pani dziękuję za rozmowę.
- Nie ma za co – odparła Agnes, wstając.

Lindell zrobiła to samo i przez chwilę stały po przeciwległych stronach blatu.

– Wyjdę drzwiami kuchennymi, tak jak mój partner. Mogę zerwać kilka jabłek?

Agnes okrążyła stół, otworzyła szufladę i wyjęła z niej plastikową torbę, którą wręczyła Ann.

– Viola jest bardzo chora – powiedziała, kiedy Lindell stała już z ręką na klamce.

Ann spojrzała na starszą kobietę.

– Skąd pani o tym wie?

– Moja siostra Greta jest ze wszystkim na bieżąco – wyjaśniła Agnes.

– Więc na pewno wiedziała pani, że...

– ...pani jest tą policjantką z Uppsali, która była związana z Edvardem? Tak. Pamiętałam pani nazwisko. Znam Violę przez całe życie. Poznałam też Edvarda. To dobry człowiek.

Lindell spuściła wzrok. Miała ochotę zasłonić twarz plastikową torbą.

– Viola czuje się coraz gorzej, ale nie chce iść do szpitala – powiedziała Agnes. – Wczoraj była u niej Greta. Viola mówiła, że Edvard będzie przy niej do końca. On jest dla niej jak syn.

Ann tylko pokiwała głową. Nie była w stanie wykrztusić nawet słowa.

– Zadzwoń do Greta i powiem jej, że pani przesyła Violi pozdrowienia – zaproponowała Agnes.

– Dziękuję – wyszeptała Lindell.

Otworzyła drzwi i wyszła do ogrodu. Porywisty wiatr wyrwał jej torbę, która pofrunęła w górę i zawisała na gałęzi.

Nilsson stał przy ogrodzeniu i rozmawiał z mężczyzną z sąsiedniej posesji. Ann słyszała ich śmiech. To właśnie stanowiło specjalność Sammy'ego – swobodna rozmowa, w trakcie której wyciągał informacje.

Ann ściągnęła torebkę z gałęzi. Zastanawiała się, które jabłko wybrać. Czy podłużne, żółtozielone, czy jaskrawoczerwone, czy może te

plamiste, nieco stożkowate? Najbardziej podobały jej się czerwone, więc sięgnęła po nie i zerwała kilka.

Gdy napełniła torbę jabłkami wszystkich trzech rodzajów, przypomniała sobie, że przecież jest w pracy. Postawiła torbę na ziemi i ruszyła w stronę Nilssona.

Mężczyzna, z którym rozmawiał, miał zaczerwienioną nie tylko twarz, ale i oczy. Pewnie dlatego, że silny wiatr wiał prosto na niego.

– Teraz już wiem wszystko o igliwiu sosnowym – powiedział Sammy.

Ann nie miała pojęcia, czego dotyczyła ich rozmowa, i nie zamierzała w to wnikać. Skinęła głową mężczyźnie po drugiej stronie płotu, a on odpowiedział kiwnięciem i przyglądał jej się dłuższą chwilę, jakby gdyby wydawała mu się znajoma, tylko nie potrafił sobie przypomnieć skąd.

– Idziemy? – zwróciła się do Nilssona.

– Miło było pana poznać – rzekł Sammy – ale obowiązki wzywają. Lindell miała już po dziurki w nosie tych wszystkich uprzejmości.

– Powinniśmy porozmawiać z docentem – mruknęła, kiedy przeszli kilka metrów.

– Co z tobą? – spytał Sammy. – Czy ta służąca była niemiła?

– Nie, wręcz przeciwnie.

– Mój starszy pan był prawie do rany przyłóż.

– To świetnie. Ale dlaczego „prawie”?

– Powiedział, że zna profesora, ale nic poza tym. Ale potem powiedział jeszcze coś, co mnie zastanowiło, że Ohler zawsze był ciemieżcą, gnidą. To były naprawdę mocne słowa.

– Agnes zna Violę i Edvarda z Gräsö – oznajmiła Lindell.

– A niech mnie! Świat jest mały!

– Gräsö jest małe.

– Ciekawe, o co mu chodziło z tą gnidą?

– Viola jest bardzo chora.

– To do niej pojedź – rzucił Sammy bez zastanowienia.

Tak, może powinnam jechać, pomyślała. Pewnie byłaby szczęśliwa. Ja cały czas bym płakała, a Viola by mnie uspokajała.

– Pójdziemy zobaczyć się z docentem?

Nilsson pokiwał głową i zerknął za siebie, a potem weszli za róg domu. Na ulicy zaparkował jeszcze jeden samochód.

– Będziemy musieli ściągnąć tutaj Moberga – stwierdził Sammy.

Anthony Moberg był policjantem z drogówki, wyjątkowo gorliwym i całkowicie pozbawionym umiejętności społecznych.

Wystawiał najwięcej mandatów w całym departamencie – a może i w całym kraju.

– Pójdziemy zobaczyć się z docentem? – powtórzyła Lindell tak beznamiętnym tonem, że Sammy aż się zatrzymał i spojrzał na nią.

– Zapomnij o Gräsö – powiedział, nie potrafiąc ukryć irytacji.

– Dobrze, będę weselsza – odparła Lindell, obdarzając go krzywym uśmiechem. – To był po prostu szok, że ktoś mnie sobie przypomniał.

– Szok – mruknął Sammy, ale wydawało się, że jest zadowolony.

Potruchtał do dziennikarzy, którzy tłoczyli się, napierając na furtkę. Poza Bengtssonem. – Zrobimy sztuczkę z telefonem – powiedział cicho do partnerki.

Otworzył bramę i uśmiechnął się do dziennikarzy.

– Ann Lindell co nieco państwu powie – oznajmił, po czym się ulotnił.

Ann omiotła tłum spojrzeniem i rozpoczęła przemowę.

– Jak już państwo wiecie, otrzymaliśmy wiadomość, że profesor von Ohler padł ofiarą licznych wybryków, a że ze względu na Nagrodę Nobla skupia na sobie wiele uwagi zarówno w kraju, jak i za granicą, potraktowaliśmy sprawę poważnie...

– Co on o tym wszystkim myśli? – zapytała Liselott Karnehagen z „Aftonbladet”, wyjmując kieszonkowy magnetofon.

– Chciałaby pani wiedzieć, co myśli profesor Ohler?

Karnehagen gorliwie pokiwała głową.

– No cóż, musi go pani sama o to zapytać – odparła Lindell.

W tej samej chwili rozległ się przenikliwy gwizd. Wszyscy się odwrócili. Sammy stał przy furtce docenta i wyrazistym gestem wskazywał swój telefon komórkowy.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała Lindell, przepychając się do przodu. – Najwyraźniej muszę odebrać jakiś telefon.

Ruszyła śpiesznym krokiem i dotarła do furtki, zanim dziennikarze

zorientowali się, co się dzieje. Göte Bengtsson uruchomił swojego vana i odjechał. Mijając Lindell i Nilssona, uniósł dłoń z wyprostowanym kciukiem.

– Docent Gregor Johansson. – Lindell zapisała w notatniku. Uświadomiła sobie, że to pierwszy docent, z jakim porozmawia. Ten, którego wcześniej spotkała, był już w stanie rozkładu.

W domu żywego docenta również brzydko pachniało, ale nie zgnilizną, raczej brudem i stęchłym powietrzem.

– Może pójdziemy na wieżę? – zaproponował Johansson.

Sammy i Ann zerknęli jedno na drugie. Żadne z nich nie miało ochoty na wykład o orchidei albo o innych egzotycznych gatunkach roślin, ale nie powiedzieli „nie”, uznawszy, że docent będzie zadowolony, jeśli rozmowa odbędzie się w szklarni. Może chciał im pokazać, jak ładnie ją urządził? Emanowała od niego samotność, a Lindell nie miała nic przeciwko dotrzymywaniu mu przez jakiś czas towarzystwa.

– To byłoby interesujące – odparł Sammy.

Gdy wchodzili za docentem na górę, ten z ożywieniem opowiadał, kiedy i w jak sposób postawił tę wieżę, a Lindell myślała o Violi. Czyżby leżała na łożu śmierci? Słowa Agnes sugerowałyby, że tak. Agnes raczej nie należy do osób, które niepotrzebnie dramatyzują. Zdawało się, że jej stosunek do życia, własnego i innych, jest konkretny, pozbawiony sentymentów. Powiedziała, że Edvard będzie z Violą do końca. To mogło oznaczać, że ten koniec jest już bliski.

Ann westchnęła ciężko. Sammy spojrział na nią z troską i wyciągnął rękę, aby pomóc jej we wspinaczce na wieżę.

– Muszę przyznać, że widok jest naprawdę wspaniały – oznajmiła, gdy dotarli na górę.

Docent pokiwał głową.

– Kiedy w ogrodzie botanicznym puszczają coroczne fajerwerki, zwykle tutaj siedzę z kieliszkiem wina.

– Co za cudowne rośliny! – zawołała Lindell. – Drzewo oliwne! Sammy, widzisz to? I cytryny. Nie sądziłam, że kiedykolwiek coś takiego zobaczę.

Oczy docenta rozbłysły z dumy, ale widać było, że nie bardzo wie,

jak zareagować na ten entuzjazm i szczerą pochwałę.

– Dziękuję, to było miłe – zdołał wreszcie powiedzieć.

Lindell cieszyła się, że weszli na wieżę. Rozciągał się z niej widok na całą okolicę. To właśnie tu odbywa się przedstawienie, pomyślała, czując, jak przybywa jej energii. Dawny kolega, a teraz zaciekły wróg profesora najwyraźniej ze spokojem patrzy na wszystko z góry: na sąsiada Bundego, którego widzieli tylko przez chwilę, jak murenę czającą się przed niespodziewanym atakiem; na czerwonoookiego ogrodnika na sąsiednim podwórku, tego od „gnidy”, nietypowego ptaszka w tym gnieździe uczonych os; na Niemców, zazdroszczących, że nie dostali Nagrody Nobla ani w ogóle żadnej innej; na Agnes o półwiecznym doświadczeniu, gotującą w błyszczących miedzianych rondlach, która wie o Bertramie von Ohlerze znacznie więcej niż on sam.

A wisienkę na torcie stanowił ten tajemniczy ktoś, kto zabawiał się, rzucając w dom Ohlera kamieniami i kładąc czaszkę na słupek ogrodzenia obok profesorskiej skrzynki na listy.

– Co pan myśli o tym rzucaniu kamieniami? – Sammy niespodziewanie przerwał docentowi wykład o sukulentach.

Johansson spojrział na Nilssona z wyrzutem, jak gdyby policjant nadużył jego zaufania.

– Nic nie myślę – odparł.

– Widział pan albo słyszał cokolwiek?

Gregor Johansson pokręcił przecząco głową.

– A czy rozmawiał pan z tym ogrodnikiem, Hallerem? Wygląda na to, że panowie mają sporo ze sobą wspólnego – rzekł Sammy, wskazując mężczyznę w ogrodzie. – Nazwał Ohlera gnidą, o co mogło mu chodzić?

– Nie mam pojęcia – odparł docent.

– Rozmawiał pan z nim na temat profesora i nagrody?

– Tylko przez chwilę – powiedział naukowiec.

– Czy podziela pan jego opinię, że Ohler to gnida?

– Byłbym bardzo ostrożny, jeśli chodzi o rozpowszechnianie takich opinii,

– Rozsądnie – przyznał Nilsson. – Dziękujemy panu za rozmowę. Miło było spojrzeć na życie z pewnej perspektywy, ale musimy już iść.

– Czym, do cholery, są te sukulenty? – spytał Sammy, kiedy

wsiadali do auta.

– O co ci, do cholery, chodziło, że byłeś taki niegrzeczny? – odparowała Ann. – To bardzo miły i uprzejmy starszy pan.

Zerknęła na dom Ohlera. Tłum dziennikarzy półkolem otaczał wejście na frontowe schody, a na samych schodach stał profesor. Przypominało to konferencję prasową w Białym Domu.

– Tak, starszy i całkiem miły, szczególnie dla nas, ale myślę, że kryje się w tym jakieś gówno – powiedział Nilsson. – Haller zwrócił naszą uwagę na parę spraw. Stał wśród wykopanych przez siebie kamieni, zauważyłaś? Powiedział też, że tutaj jest więcej amunicji dla tego, kto byłby zainteresowany. I cuchnął gorzałą, nie poczułaś? A o docencie mówił, że to jego towarzysz broni. O co mu chodziło?

Lindell odchyliła głowę i zamknęła oczy. Nie chciała już słuchać o docencie, o kamieniach i o czaszkach. Napiszą raport, a potem zajmą się naprawdę ważnymi sprawami.

Ważne sprawy okazały się sześćdziesięcioletnim właścicielem garaży i członkiem Obrony Cywilnej z okolicy Almunge, który znudził się swoją żoną, a potem również sobą samym.

Żona została przywiązana plecami do pieńka w drewnitni i dwukrotnie postrzelona: raz w głowę i raz w pierś. Ściany szopy pokrywała zeschnięta krew, tkanka mózgowa i odłamki kości.

Mężczyzna leżał na plecach kilka metrów za drewnitnią. Brakowało mu połowy czaszki. Obok niego leżał sztucer.

Znalazł ich sąsiad. Usłyszał strzały i „natychmiast zrozumiał”, że stało się coś złego.

– To ma służyć do obrony domu – warknął Sammy, kopiąc w podmurówkę zbiornika na podwórzu.

Po pierwszym ataku mdłości zwymiotował jeszcze raz, w szopie. Ogarnięty złością wykrzykiwał na mężczyznę leżącego u jego stóp.

Lindell musiała odciągnąć go od trupa.

– Nie wiemy, co się stało – powiedziała.

– Związał ją i zastrzelił – stwierdził Sammy.

Temu nie mogła zaprzeczyć i dlatego nic więcej nie powiedziała. Jej też było niedobrze, częściowo przez widok zabitych, częściowo przez smród diesla.

– Odejźmy kawalek – zaproponowała, chwytając partnera za ramię.

Szli w milczeniu. Niewiele mogli zrobić, musieli czekać, aż swoje obowiązki wykonają technicy kryminalistyczni. Lindell uderzył kontrast między willą w Kåbo a farmą w Almunge. Ottosson zadzwonił, kiedy wyszli od docenta i jechali główną drogą, i kazał im jechać na miejsce zdarzenia. Przed zaledwie półgodziną byli wśród śmietanki towarzyskiej, a teraz są przy parze martwych ludzi w małej wiosce na prowincji. Jeden z tych ludzi najwyraźniej okazał się bardzo nieszczęśliwy albo zły, albo obłąkany, albo wszystko naraz. Na twarzy związanej martwej kobiety zastygł wyraz przerażenia. Czy bała się męża, czy wiedziała, co ją czeka? Lindell rozumiała wściekłość Sammy'ego. Ale skoro on nie był w stanie trzeźwo myśleć, musiała wziąć się do tego sama.

Może mężczyzna chciał tylko wystraszyć żonę, wiążąc ją, a potem wydarzenia wymknęły mu się spod kontroli? Ale dlaczego w drewnutni? Czy wszystko zaczęło się od zwykłej głupiej sprzeczki? Pewnie nigdy się nie dowiedzą. Rozglądając się pobieżnie po domu, nie znaleźli żadnego listu ani niczego, co mogłoby rzucić przynajmniej odrobinę światła na przyczyny tej tragedii. Jedyną rzeczą sugerującą dramatyczny rozwój wypadków było rozdarte pudełko z amunicją na kuchennym stole. Kilka pocisków stoczyło się na podłogę.

Czy to mogło być podwójne morderstwo? Należało rozważyć taką możliwość, nawet jeśli wydawała się mało prawdopodobna.

Technicy kryminalistyczni zjawili się w ciągu godziny. Przez ten czas Sammy i Lindell wypytywali najbliższych sąsiadów, w większości starszych ludzi. Byli wyraźnie wstrząśnięci, w tej małej wiosce wszyscy się znali. Nikt nie potrafił podać rozsądnego wyjaśnienia. Wszyscy zgodnie twierdzili, że mężczyzna nigdy nie groził żonie ani jej nie prześladował.

– Zachowywał się całkiem normalnie – powiedział jeden z sąsiadów, który niedawno wprowadził się do starej, na wpół rozwalającej chałupy. – Pomagał mi w naprawie dachu. Naprawdę ciężko pracował, rzadko robił sobie przerwy.

– Ona nie była specjalnie rozmowna, ale bardzo życzliwa – stwierdziła kobieta w zaawansowanej ciąży mieszkająca dwa domy

dalej. – Razem piekłyśmy ciasta.

Kiedy skończyli z nią rozmawiać, zanosiła się niekontrolowanym szlochem, a Lindell poczuła się jak sadystka.

– Po lecie nie mieli dużo do roboty – powiedział najbliższy sąsiad.
– Może wpadł w depresję? Umówiliśmy się, że pomoże mi przy nawożeniu. Teraz muszę znaleźć kogoś innego, a to niełatwe.

Lindell już wiele razy miała się przekonać, że ludzie będący blisko oka cyklonu często dostrzegają pozornie drobne i nieistotne, a w rzeczywistości bardzo ważne szczegóły.

„Depresja” była słowem, które raz za razem pojawiała się w myślach Ann, kiedy z Sammym kręcili się po farmie. Fredriksson i Beatrice dołączyli do nich pół godziny temu i teraz przeszukiwali dom. Fredriksson był średnio zadowolony, bo zawsze wolał pracować na dworze, ale najwyraźniej głowa przestała go już swędzieć. Kiedy zniknął za drzwiami, Lindell dostrzegła, że włosy na karku ma pozlepiane jakimś żółtobiałym kremem.

Gospodarstwo wyglądało na trochę zaniedbane. A może takie wrażenie wywoływała pora roku?

Nigdzie nie było widać dzieci. Według informacji uzyskanych od sąsiadów mężczyzna miał przyrodnią siostrę gdzieś „na północy”. Poza tym małżonkowie nigdy nie wspominali o żadnych krewnych.

– Nawet jeżeli znajdziemy jakichś ich krewnych, na pewno nie będą chcieli źle mówić o zmarłych, zwłaszcza o tym starym skurwielu – stwierdził stanowczo Sammy, wciąż mocno zdenerwowany.

Albo na odwrót, pomyślała Lindell. Może dopiero teraz rodzina zacznie wyciągać brudy. Milczała jednak, nie chcąc dolewać oliwy do ognia.

W drodze powrotnej zasnęła w aucie. To nie było niczym szczególnym. Często zapadała w drzemkę po okresie napięcia. Inni się nakręcali, ona zasypiała.

Sammy obudził ją przed rondem Gnista.

– Jedziemy do domu czy do przedszkola? – spytał.

– Pod komisariat, muszę zabrać rower – odparła.

Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że ma jeszcze sporo czasu na odebranie Erika.

– Normalny dzień pracy – powiedziała z westchnieniem, kiedy skręcili do garażu pod komisariatem.

Sammy zerknął na nią i zmiął w ustach przekleństwo.

Kto ma dostęp do czaszek?

Pytanie Sammy'ego Nilssona padło znienacka jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem porannego zebrania. Oczy wszystkich skierowały się na niego, w większości szczerze zdumione. Wczorajszy incydent z Ohlerem nie należał do spraw, jakimi zajmowali się w wydziale zabójstw. Prasa nie ujawniła, na czym polegały pogróżki wobec profesora, oprócz tego, że ktoś cisnął w jego dom kamieniem.

– Grabarze – podsunął Allan Fredriksson.

– Lekarze – odpowiedział sam sobie Nilsson.

– Nie możesz wykluczyć Johanssona – dodała z uśmiechem Lindell.

– Ze staruszka jest lepszy spryciarz – przyznał Sammy. – On i ten ogrodnik coś knują, na sto procent.

– A co by to miało być? – Ottosson sprawiał wrażenie rozbawionego.

Zapewne uznał, że poczują się swobodniej, jeśli dla odmiany pogawędzą chwilę o mniej okropnych zbrodniach niż morderstwo.

– Nie wiem – odparł Sammy – ale myślę, że ogrodnik rzucił kamieniem, a docent podłożył czaszkę.

– Przestępcy coraz bardziej nam się starzeją – stwierdziła Lindell przygnębionym tonem.

Sammy posłał jej szeroki uśmiech, więc zrozumiała, że zdołał się otrząsnąć z wczorajszego rozdrażnienia, które w istocie było wyrazem bezsilności.

– Rozumiem – powiedział Ottosson. – Zaczynamy?

– A jest jakiś wybór? – spytał oschle Fredriksson.

– Może wyprawa na grzyby – zażartował Sammy.

Myśli Fredrikssona natychmiast zdryfowały ku jesiennym kurkom. Ottosson otworzył zebranie.

– Almunge! Nic nie wskazuje na inne rozwiązania niż morderstwo, a potem samobójstwo. Wydaje się, że czyn został popełniony bez premedytacji, jak to się ładnie nazywa. Kobieta zapewne wiesziała

pranie, na co już wczoraj wieczorem wskazywał Allan. – Lindell podniosła wzrok: czyżby Fredriksson pracował po godzinach? – Na sznurze za domem wisiało kilka sztuk garderoby, a pozostałe ubrania leżały w koszu na ziemi. Wilgotne.

– Może to mąż wieszał? – rzucił Pedersen. Był jednym z nowych. Ann jeszcze nie wyrobiła sobie o nim zdania.

– Kobieta miała klamerki przyczepione do paska. Ale jak zwykle żadnej możliwości nie wykluczamy – odpowiedział mu szef.

Śmiało możemy wykluczyć większość możliwości, pomyślała Lindell. Była zmęczona tymi wszystkimi wyświechtanymi formułkami. Nawet takimi, których sama używała.

Poczuła, jak mdłości podchodzą jej do gardła. Może to informacja o przypiętych do paska klamerkach wywołała taką reakcję? Morderstwo podczas wypełniania codziennych obowiązków, odwleczenie ofiary w inne miejsce i przywiązanie do pniaka, na którym rąbano drewno, wszystkie te elementy wskazywały na nagłą decyzję i sprawiały, że zbrodnia wydawała się jeszcze bardziej bestialska. Nielojalna, nasunęło się Lindell. Nie zabija się kogoś, kto właśnie wieszka twoje rzeczy.

Całkiem zatopiała się w tych rozważaniach. O czym myślała Alice Eleonora Sigvardsson, wieszając bieliznę męża, jego koszule i swoje bluzki? Czy coś podejrzewała? Czy tamtego ranka się pokłócili?

Żadnych innych poważnych zbrodni nie zgłoszono. W istocie ostatnie tygodnie upłynęły bardzo spokojne. Dało to zespołowi chwilę wytchnienia. Poświęcili więcej uwagi kilku toczącym się już śledztwom i w paru przypadkach sprawy zostały zamknięte. Chuligani zrobili sobie wcześniejsze ferie, dowcipkował Hill, kolejny nowicjusz.

Zebranie trwało. Słuchając tego, o czym była mowa, Lindell coraz bardziej się rozpraszała. Ale też ani razu nikt się do niej nie zwrócił. Porzuciwszy Almunge, poszybowała myślami na wyspę Gräsö. Przed wczorajszą rozmową z Agnes ostatni raz zdarzyło się to kilka tygodni temu. Miała wyrzuty sumienia, że tyle czasu nie myślała o Edvardzie. A co za tym idzie, o Violi. Już wcześniej tak bywało. W okresach względnej życiowej harmonii wspomnienia słabły.

Nilsson, z którym to kiedyś omawiała, utrzymywał, że Ann sama nie pozwala sobie być szczęśliwą. Jego zdaniem Edvard nie rokował

nadziei; nigdy nie rokował. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy Sammy nie jest zazdrosny, ale to raczej nie wchodziło w grę. Sammy Nilsson zawsze wydawał się zadowolony z własnego rodzinnego życia.

Teraz miała Andersa. Od czasu przygody w Brazylii zmienił się, nie był już tak bardzo pewny swego. Przeważnie zostawał u niej. Nigdy nie rozmawiali o tym, żeby razem zamieszkać, ale coraz więcej jego rzeczy, zwłaszcza książek i płyt CD, gromadziło się w jej domu. Prawdę mówiąc, Ann nie miała nic przeciwko temu: przedmioty, gdziekolwiek się znajdowały, nie były czynnikiem decydującym. Jednak starała się zachować ostrożność, niczym podczas przechadzki po cienkim lodzie. Nigdy tego powiedzonka nie lubiła, ale jej zdaniem dobrze oddawało to, co czuła. Nadal musieli posuwać się na oślep.

Anders ciągle jeszcze nie doszedł do siebie po tym, jak na początku roku został ugodzony nożem. Czasem Ann odnosiła wrażenie, że wyolbrzymia swoje niedomagania – chciał być słaby i budzić litość. Albo to powrót do pełni sił psychicznych tak się przedłużał. Anders miał zachwianą równowagę, to oczywiste. Ann wzruszały jego próby, by wydawać się silniejszym niż był w rzeczywistości.

Przeżycia w Brazylii – gdzie najpierw był świadkiem morderstwa, a później został potrącony przez autobus – też pozostawiły wyraźne ślady. I, rzecz jasna, Ann zdawała sobie sprawę, że zerwanie z kobietą, którą tam spotkał, zdominowało jego nastrój. Anders nie mówił nic konkretnego, ale uniki, które stosował, pozwalały wnioskować, że czuł się przygnębiony. Nigdy nie zostało jasno powiedziane, z czyjej inicjatywy nastąpiło rozstanie, chociaż kiedyś napomknął, że tamta kobieta bardzo cierpiała. Ale równie dobrze mógł w ten sposób chronić własną próżność. Bo kto chce być stroną porzucaną?

Ann postanowiła nie rozgrzebywać tej sprawy. Kiedy uświadomiła sobie, że Anders jest niewierny, przypomniały jej się słowa piosenki Billie Holiday *Nie wyjaśniaj*: „Niczego nie wyjaśniaj, po prostu wróć”. Właśnie w taką popadła desperację. Wtedy była gotowa przełknąć wiele. I przełknęła. Nie zadawała pytań, nie rzucała oskarżeń. To on miał szansę zdecydować, w jakim tempie ta historia będzie odkrywana. Jej fragmenty nadal wychodziły na jaw, kawałek po kawałku. Ale im więcej mijało czasu, tym ich poznanie wydawało się Ann mniej pilne.

Anders był teraz z nią, nie w Brazylii ani gdziekolwiek indziej. Wręcz przeciwnie, chwilami stawał się niemal przylepny. Oferował jej ciepło i seks. Był taktowny. I dobry dla Erika, który bez trudu zaakceptował go w roli ojczyma. Dobrze sobie razem radzili. Nie kłócili się, bo Anders zawsze ustępował – przedtem rzecz niewyobrażalna – jakby chciał wypróbować nową taktykę. Szedł na kompromis, ale zachowywał milczenie niczym oznakę swojej prawości.

Czy Ann była nadmiernie uległa? Jej przyjaciółka Görel właśnie tak twierdziła. Görel chciała wiedzieć, chciała pełnego wyznania win, chciała zobaczyć, jak on się czołga. Kiedy Ann odpierała jej zarzuty, słyszała, że jest za mało stanowcza. I, zdaniem Görel, na dłuższą metę miało się to źle skończyć. Jeśli nawet Anders Brant teraz jest w porządku, to kiedyś jego zdradziecka natura znów dojdzie do głosu. Ann będzie wtedy może nie całkiem bezsilna, ale w każdym razie słabo uzbrojona.

Jednak Ann nie potrafiła uwierzyć w tę wizję Andersa jako uśpionego potwora. Ona też postąpiła nieuczciwie wobec niego, wiedziała więc, że życia nie da się przeżyć według jakiejś instrukcji ze stuprocentowo moralnymi i racjonalnymi wskazówkami. Czasami człowiek się zagubi, a wtedy nikt inny nie musi wyznaczać mu kary: wystarczająco dobrze sam to załatwi.

„Musisz pamiętać o sobie. Nie daj się oszukiwać”, w kółko powtarzała Görel i Ann zaczynała być zmęczona jej ciągłym zrządzeniem. Czasami odnosiła wrażenie, że przyjaciółka wołałaby widzieć ją nieszczęśliwą, samotną, szukającą pociechy. Był to jednak tak dziwny wniosek, że tłumiała go w zarodku. Dlaczego Görel, która przez lata zawsze ją wspierała, teraz miałaby tak myśleć?

Lindell opowiedziała Andersowi o Edvardzie, o swojej zdradzie i o długim procesie rehabilitacji – takiego słowa użyła – aby móc wrócić i ośmielić się uwierzyć, że spotka innego mężczyznę. Zrobiła to bez ukrytych motywów. Nie chciała wzbudzać w Andersie poczucia winy, tylko nakreślić rzeczowy obraz własnej osoby i ich wspólnej sytuacji.

Anders wysłuchał jej cierpliwie, zadał kilka pytań, a chociaż potem już nie komentował zwierzeń, wyczuwała, że jest jej wdzięczny.

A teraz Edvard znowu znalazł się na tapecie. Nie miała wyjścia.

Musiała pojechać na wyspę i odwiedzić Violę, dopóki jeszcze nie było za późno. Jeśli Edvard będzie wolał się ukryć, to jego problem. Ona postara się zachować spokój i jakoś przez to wszystko przebrnąć. Nie miała wyboru. Minęło osiem lat. Byłoby śmieszne, gdyby po tak długim czasie nie potrafiła się z nim spotkać.

Nagle przyszło jej do głowy, że może Edvard żyje z jakąś kobietą. Poczowała, jak płoną jej policzki. Sammy, zawsze troskliwy i czujny, wykonał ręką jakiś gest. Nie zrozumiała, o co mu chodzi, więc tylko skinęła głową i starała się przybrać zadowoloną minę.

Zebranie dobiegło końca. Wszyscy odetchnęli i wyszli najszybciej, jak się dało. Tylko Ottosson tradycyjnie się guzdrał. I Ann. Był to zwyczaj, który mieli od dawna: po oficjalnym spotkaniu rodzaj dogrywki w ciepłej, zażyłej atmosferze. Czasami rozmawiali tylko o pracy, kiedy indziej wyłącznie o prywatnych sprawach – a wtedy głównie o życiu Ann – ale najczęściej o wszystkim po trochu.

Pozostali członkowie ekipy akceptowali te krótkie narady, rozumiejąc, że więź łącząca szefa z ich koleżanką jest w pewnym stopniu wyjątkowa. Tym, co sprawiało, że traktowali Lindell przychylnie lub wyrozumiale, był fakt, że nigdy nie korzystała z pozycji ulubienicy, aby uzyskać coś dla siebie.

I właśnie o tym związku, nieco osobliwym, teraz napomknęła.

– Z kim będę mogła pogadać, kiedy rok dobiegnie końca?

Ottosson uśmiechnął się, ale milczał i zbierał swoje papiery. Oboje wiedzieli, że na pytanie Ann nie ma odpowiedzi. Szef podjął inny wątek.

– Myślałem o tej historii z profesorem. Czy to nie mógł być ktoś, kogo kiedyś źle potraktowano? Ohler był zatrudniony w szpitalu uniwersyteckim, prawda? Może ktoś od dawna nosił w sobie urazę i teraz, kiedy o profesorze zrobiło się głośno, chce mu trochę zaleźć za skórę.

– O ile wiem, Ohler prowadził głównie prace badawcze. Pewnie nie miał do czynienia z szerokim kręgiem ludzi. Mam na myśli wizyty pacjentów, operacje i tak dalej. Gość jest wirusologiem.

Ottosson kiwnął głową.

– To chyba dobrze – dodała Lindell.

– Aha, jeden z tych.

Teraz ona przytaknęła.

– Miałaś ostatnio kontakt z Olą? – zapytał.

– Nie, już od kilku tygodni – odparła. – Odwiedzał kogoś w Sztokholmie.

– Kobietę?

– Trudno uwierzyć.

Swego czasu Ann czuła miętę do Oli Havera. Było to niedługo po jej rozstaniu z Edvardem. Patrząc wstecz, nie bardzo potrafiła zrozumieć dlaczego.

– Wraca? – spytał Ottosson.

– Nie sądzę.

– Ze mną nie chce rozmawiać. Kiedy ostatnio do niego dzwoniłem, po prostu się rozłączył. Pewnie wróci, dopiero kiedy odejdę.

Ottosson wydawał się szczerze zmartwiony. Nie użalał się nad sobą, ale było mu przykro, że może powiedział lub zrobił coś, co zbulwersowało Olę.

– To nie tak – powiedziała Lindell. – On nie ma do ciebie żadnej osobistej urazy, tylko ogólnie jest zły na wydział. A ty musisz wziąć winę na siebie, bo jesteś szefem. Ola wścieka się na życie, na Rebeckę, na wszystko i na wszystkich.

Ottosson nie spuszczał z niej oczu.

– W ostatnich dniach wiele osób się wścieka – zauważył nieco zagadkowo.

– Jakież skargi?

– Nie – zaprzeczył. – Czasem żałuję, że jest ich tak mało.

– To odwiedź naszego noblistę – zasugerowała Lindell. – On uskarża się prawie na wszystko.

Po kilku minutach wyszła. Była trochę zniecierpliwiona i wiedziała dlaczego. Chciała zadzwonić na wyspę Gräsö.

Notatki z Afryki już go nie interesowały. Długo nosił się z zamiarem sklejenia tych luźnych zapisków w jeden spójny tekst. Rzecz jasna, wiele z nich należało usunąć, ale wystarczająco liczne mogły przetrzymać nawet drobiazgową kontrolę.

Teraz już sam nie wiedział. Błahe spostrzeżenia białego człowieka na temat przyrody Czarnego Lądu – na co one komu? Panna Elly byłaby szczerze ubawiona. Uśmiechając się na wspomnienie jej spontanicznych reakcji, przeczytał dwa zdania: „Nie wiem nic o świetlikach. To mnie martwi”. Panna Elly chyba by się udusiła ze śmiechu.

Wyrzucę te stosy papierów do śmieci, zdecydował, ale niemal natychmiast zmienił zdanie. Co by się stało, gdyby jego matka myślała w ten sam sposób i wyrzuciła swoje dzienniki? Wówczas on żyłby w niewiedzy, kim naprawdę była, i nigdy nie poznałby odpowiedzi na pytania, nad którymi od dzieciństwa łamał sobie głowę. Może te odpowiedzi nadeszły trochę za późno, ale na widok niewyrobionego pisma matki zawsze doświadczał przypływu serdecznych uczuć.

Tyle że on nie doczekał się własnego potomstwa, które by jego zapiski czytało i rozumiało z perspektywy czasu. Nigdy nie mieli dziecka. Właśnie dlatego Panna Elly umarła; nie znajdował na to innego wytłumaczenia. Wstyd, że okazała się nieplodną samicą, był zbyt wielki. Rozpacz drażyła ją tak długo, aż pozostały tylko skóra i kości. Umierając, prawie nic nie ważyła. Sam poniósł jej trumnę na ramieniu.

Więc kogo miały obejść jego wspominki? Nie żywił ambicji, by wyróżniać się inteligencją, bo nigdy w ten sposób siebie nie postrzegał. Oczywiście, miał pojęcie o pewnych sprawach. Potrafił tropić, transportować drewno, naśladować głosy ptaków, przygotowywać grządki na kwaśnej glebie i robić jeszcze wiele innych rzeczy. Ale żadna z nich nie była warta odnotowania. Ptaki śpiewały lepiej niż on. Miliony ludzi w Afryce umiały tropić. Jednakże zdaniem Panny Elly został obdarzony talentem, który posiadało niewielu białych. Jego umiejętności w tej dziedzinie robiły na niej wrażenie. Gdyby nie to, wszystko, na czym się znał, można by zaklasyfikować do kategorii „powszednie”.

Nie miał również ambicji, by zostać pisarzem. Nigdy nie czytał zbyt wiele. Podczas lat spędzonych w Afryce po prostu brakowało książek. U stryja w Windhoek były tylko niemieckie powieści i na nędznym poziomie i pornografia na poziomie jeszcze niższym. A później, kiedy znalazł się na północy, nigdy nie czuł potrzeby posiadania książek.

Gdyby chociaż, robiąc te notatki, był czymś poruszony, może okazałyby się pouczające albo przynajmniej ciekawe dla dużego grona czytelników. Jednak o dziwo – zauważył to dopiero po latach – jego pisanina była pozbawiona jakichkolwiek uwag na temat wydarzeń w kraju. Nawet gdy wzrastał opór i pojawiały się zbrojne grupy, czasami zwykle bandy chłopaków z płaskowyzu z kilkoma automatami, żadne ślady tych wydarzeń nie zostały przez niego uwiecznione. A przecież nie miał cienia wątpliwości, którą stronę popiera, co wielokrotnie kończyło się kłótniami z innymi białymi, zwłaszcza z rodziną Hallerów w stolicy. Nic z tego wszystkiego nie trafiło do notatek, ani jeden wyraz gniewu.

W jego tekstach dominowały zwierzęta i przyroda, niebo, gwiazdy i pustynne piaski, deszcz, który padał albo go nie było, nocne ryki, wycia i piski, i wschody słońca tak piękne, że czasami płakał z wdzięczności. Znalazło się też kilka linijek o Pannie Elly. Gdybym pisał więcej o niej i o naszej miłości, pomyślał, mógłbym zapełnić Bóg wie ile stron. A ja pisałem o świetlikach. Nic dziwnego, że się śmiała.

Krótko mówiąc, tego, co dla innych jest najciekawsze, powszechnie uważane za właściwe lub w bardziej konwencjonalnym sensie – ekscytujące, w jego notatkach po prostu brakowało.

Ale może w przyszłości znalazłby się ktoś, w Szwecji albo w Namibii, kto by się tymi zapiskami zainteresował? – zakończył tę gonitwę myśli. Problem polegał na tym, w jaki sposób ta osoba miałaby je otrzymać. I była to trudność nie do pokonania. Kiedy on umrze, jego tekst umrze wraz z nim.

Powinien więc pozwolić, by rozstrzygnął przypadek. Spisane na komputerze wspomnienia z Afryki zostaną włączone do pozostałych po nim ruchomości. Ci, którym przypadnie obowiązek porządkowania jego dobytku, będą musieli podjąć decyzję. Albo notatki skończą w worku na śmieci razem ze starymi kwitami, gwarancją tosterka i resztą tego, co

gromadził, albo też ich znalazca zacznie je przeglądać, możliwe, że skuszony egzotyczną fotografią na pierwszej karcie – zdjęciem Panny Elly siedzącej na czaszce hipopotama – i po kilku stronach powie do swego pomocnika: „To naprawdę ciekawe”. A ta druga osoba, zmęczona próżnowaniem współtowarzysza, zachęci go, by zabrał papiery do domu i tam kontynuował lekturę.

Tak by się mogło stać, gdyby tekst nabrał własnego życia. A co by było potem, Bóg jeden raczy wiedzieć. Liczba możliwości przyprawiała o zawrót głowy.

Karsten Haller roześmiał się i z lekkim roztargnieniem mieszając makaron, który właśnie gotował, pomyślał o poznanych tego ranka policjantach. Mężczyzna (przedstawił się jako Nilsson) sprawiał wrażenie sympatycznego. A może tylko takiego zgrywał? Nie, uznał Karsten, wydawał się autentycznie miły i otwarty. Natomiast kobieta, która nadeszła później, wyglądała jak siedem lat chudych.

Obrzuciła go podejrzliwym i zdecydowanie niechętnym spojrzeniem. Może gardzi ludźmi pracującymi fizycznie? Albo była zła na swojego kolegę? Uznała, że marnuje czas, i wylała swoje niezadowolenie na przypadkową osobę.

Tym, co Karstena zdumiało, była informacja o nowych pogroźkach wobec profesora. Na czym polegały, Nilsson nie powiedział. Wspomniał tylko, że chodziło o jakiś przedmiot umieszczony koło skrzynki pocztowej. Zapytany o to, Karsten zapewnił, że niczego nie widział, był zajęty kopaniem, więc w ogóle nie zwracał uwagi na sąsiednie posesje, zwłaszcza od strony ulicy. Policjant wydawał się usatysfakcjonowany jego słowami.

Jasne, że profesora atakowano z wielu stron. Poranny artykuł w gazecie mówił sam za siebie. Kontrowersje wokół świeżo upieczonego noblisty były faktem, i to nie tylko w Szwecji. Dobrze mu tak, myślał z zadowoleniem Karsten, gdy zdejmował garnek z kuchenki, wylewał makaron do durszlaka, splukiwał go zimną wodą, przyprawiał odrobiną masła i przerzucał na talerz.

Ale kto zostawił jakiś przedmiot obok skrzynki pocztowej? I co to było? Z zachowania policji można by wnosić, że przynajmniej bomba.

Gotowy mięsny sos okazał się niezbyt smaczny, jednak Karsten i

tak spałaszował wszystko z apetytem. Może od docenta Johanssona dowiedziałby się czegoś więcej? Postanowił złożyć staruszkowi wizytę. Ostatecznie czekała tam na niego fotergilla.

Sięgnął po zeszyt, otworzył na nowej stronie i zanotował, ile godzin poświęcił ogrodowi Lundquista, ile kilometrów przejechał w ciągu tego dnia i ile wydał na rośliny. Wszystko musiało być dokładnie spisane ze względu na późniejsze rozliczenia, ale też dla niego samego.

Znajdował w tym pewną przyjemność, kiedy kartkując stare zeszyty, przypominał sobie rzeczy duże i małe, sadzenie roślin czy brukowanie ścieżek, które szczególnie mu się udały, i to, którzy klienci byli z niego zadowoleni, a którzy na niego narzekali. Ci ostatni stanowili zdecydowaną mniejszość.

Przyszło mu do głowy, że takie dzienniki są równie dobre jak każde. Od powrotu do Szwecji wypełnił łącznie trzydzieści osiem zeszytów. Wszystkie stały w równym rzędzie na regale.

Był samotnym człowiekiem, stopniowo to do niego docierało. Rzecz nie w tym, że dużo rozmyślał o sobie i swojej sytuacji. Ale obserwował innych ludzi. Widział, jak się wzajemnie odszukują, jak się gromadzą, przerażeni, że mogliby samotnie jeść obiad w restauracji albo siedzieć na ławce w miejskim parku i filozofować, czytać książkę czy po prostu od niechcienia przyglądać się przechodniom. Nie wspominając już o wyprawie w pojedynkę na koncert lub do teatru. Każdy starał się wyglądać, jakby czekał na znajomego, każdy zerkał na zegarek, wyciągał komórkę i rozmawiał z kimś albo przynajmniej udawał, że rozmawia.

To wszystko było dla Karstena obce. Zwykle najbardziej zadowolony czuł się w swoim własnym towarzystwie. Jednak ostatnimi czasy poznał nowy rodzaj niepokoju, zapewne wywołany śmiercią matki. Porażała go myśl, że egzystencja samotnika jest sprzeczna z samą ideą życia, z jego afrykańską wizją, wedle której samotność uważano za chorobę.

Dlatego przyszło mu do głowy – dość późno, fakt – że wszystko, co robi, musi odnosić nie tylko do własnych oczekiwań i potrzeb, ale również do oczekiwań i potrzeb innych ludzi. Osobista satysfakcja miała duże znaczenie, a mimo to wydawała się trochę żalosna: Lundquista nie

było w mieście i Karsten nie miał nawet z kim porozmawiać ani komu pokazać postępów swojej pracy. Chociaż jego klienci w większości nie znali się na ogrodnictwie i zwykle byli mu wdzięczni za zwolnienie ich od myślenia i decydowania, zachowywali się uprzejmie, udając, że są zainteresowani albo pod wrażeniem przemiany swoich ogrodów.

Teraz brnął po omacku. W sprawach zawodowych czuł się pewnie. Znał wszystkie gatunki roślin, ich cechy charakterystyczne i potrzeby. A przecież narażony na pustkę samotności zrobił się apatyczny i zakłopotany. W swoich codziennych zapiskach dostrzegał już tylko ilość przepracowanego czasu i sumy pieniędzy, nic więcej.

Był samotnikiem wznoszącym pomniki, których ludzie prawie nie zauważali.

Naczynia zostały szybko pozmywane, a do pory snu brakowało jeszcze kilku godzin. Karsten usiadł w skąpo umeblowanej bawialni i dalej rozmyślał. Nieszczerze się do tego nadawał. Był człowiekiem czynu, ale praktyka snucia wspominków, której hołdował przez ostatnie lata, zaczynała dawać rezultaty. Stawał się coraz bardziej wytrwały i sprawny. Bylebym nie zrobił się taki jak ojciec, przyszło mu do głowy. On potrafił siedzieć całymi godzinami, gapiąc się w przestrzeń.

Początkowo Karsten sądził, że to wojna wciąż jeszcze wrze w jego tacie, bo chociaż ósmego maja 1945 roku nastął pokój, ale nie oznaczało to końca wojny. Póki życia ojciec ciągle na nowo przemierzał długą drogę z Prus Wschodnich do Stralsundu.

Na słupach ulicznych latarni i prowizorycznej szubienicy po prawej stronie wisieli „zdrajcy”, a po lewej kołysały się na wietrze „hitlerowskie świnię”. Języki mieli spuchnięte. Często byli zbrukani własnym moczem i kałem. Ptaki siedziały im na ramionach. Wokół ich gnijących ciał brzęczały muchy. U ich stóp buszowały psy.

Wśród tego wszystkiego maszerowały kolumny nędzarzy, głodnych, przerażonych, prześmierdłych, zobojętniałych, rannych, umierających. Kierowały się na zachód. Karsten również brał udział w pochodzie ludzkich wraków, przytroczony do ciała ojca pasem niemieckiego żołnierza. Nadal miał ten pas z orłem.

Sam niczego nie pamiętał, był zaledwie niemowlęciem. Czym go karmili? Kiedyś o to zapytał. „Miłością”, odparł ojciec i zalał się łzami.

Karsten widział, jak tata próbuje je powstrzymać. Potem Haller przytulił syna, wtedy już czternastoletniego, tak mocno, że aż zabołało. Teraz, prawie pięćdziesiąt lat później, Karsten nadal czuł ten uścisk.

Uśmiechnął się. Co za determinacja. Co za miłość go otaczała. Wdzięczność za energię i rozwagę rodziców zalała go gwałtowną falą.

Zrozumiał, że zdołał zawrócić swoje myśli. Właśnie na tym polegała cała sztuka. Jeszcze parę lat wcześniej pomknęłyby w inną stronę, prosto w otchłań. Teraz potrafił je zatrzymać i zmienić ich bieg. Zwyciężyły szczęśliwe wspomnienia.

Wstał i podszedł do okna. Po drugiej stronie ulicy mieszkała kobieta, która o tej porze zwykle siadała do posiłku. Była po czterdziestce i wprowadziła się tutaj przed rokiem. Karsten przypuszczał, że jest rozwiedziona. Ale nigdy nie zauważył żadnych dzieci. Jej kuchenny stół oświetlała czerwona lampa z abażurem w kształcie lejka. Zupełnie jakby się patrzyło na obraz: łagodne światło, kobieta o oszczędnych, nieśpiesznych ruchach. Zawsze jadła powoli, zawsze sama, czasami przeglądała jakieś czasopismo.

Obserwował ją przez chwilę, pozwolił oczom odpoczywać. Tak samo było w Okandze, przy południowym wodopoju, gdzie potrafił ponad pół godziny obserwować z ukrycia zwierzęta, które przychodziły się napić.

Niski kościółek spowijała mgła. Na cmentarnym murze, twarzą w stronę drogi, siedział jakiś stary człowiek i majtał nogami. Przedstawiał sobą widok tak osobliwy, że Ann ogarnęły wątpliwości, czy wszystko z nim w porządku. Było ciemno, chłodno i trochę wilgotno; przedtem mocno padało.

Kiedy przejeżdżała obok muru, staruszek obrócił się i powiódł za nią spojrzeniem. Jechała bardzo wolno, więc mogła dostrzec, jak się uśmiecha. Przyśpieszyła, pokonując pagórek, skręciła w lewo, minęła sklep i nagle poczuła zawrót głowy. To już tyle lat. Spróbowała policzyć dokładnie, co do dnia, ile czasu upłynęło, ale od razu się poddała. Po drodze postanowiła sobie żyć terażniejszością, nie dać się wciągnąć w bagno poczucia winy i zmarnowanych szans.

Czy powinna była zabrać Erika? Dopiero teraz o tym pomyślała, gdy do celu zostało zaledwie kilka kilometrów. Viola oczywiście by to doceniła. Ale Edvard pewnie nie.

Ann zapowiedziała, że wróci przed dziewiątą. Było dziesięć po szóstej. Sprawdziła rozkład kursowania promu. Musi wyjść od Violi najpóźniej o wpół do ósmej.

Nie wahała się co do wyboru drogi. Jeździła tędy tyle razy jak odurzona – pełna oczekiwań i pożądaniami, a czasami upojonej *joie de vivre*^[2]. I okazało się, że wbrew intencjom Ann ten dawny stan powrócił. Odczuwała go czysto fizycznie w postaci dreszczu emocji w całym ciele.

Otworzyła okno, jakby chcąc zdmuchnąć wszystkie myśli, które krążyły we wnętrzu samochodu. Wicher się wzmaczał. Wiało w kierunku zachodnim. Znowu przypomniał jej się Edvard i jego rozważania na temat pogody i wiatru. Zawsze wciągał ją w te spekulacje. Na początku pobytu na wyspie był trochę niepewny, bo nawykł do aury w głębi ładu i do patrzenia na prognozy pogody z punktu widzenia rolnika, pod kątem opadów i przejaśnień. Ale kiedy już się oswoił, Viola, a przede wszystkim jej stary sąsiad Viktor nauczyli go wiele o osobliwościach meteorologicznych archipelagu.

Boczna droga prowadząca na farmę Violi została poszerzona. Na

pewno dzięki Edvardowi. Zawsze na nią narzekał. Viola rzadko opuszczała dom, więc nie czuła potrzeby ulepszenia drogi. Edvard, robotnik budowlany, który musiał dojeżdżać do pracy, miał na ten temat inne zdanie. Ann zastanawiała się, czy nadal działa w tej branży. Nic nie wiedziała o jego obecnym życiu.

Na podwórzu stały dwa samochody. Bliżej bramy stał pikap, pewnie Edvarda, a z tyłu toyota corolla, co najmniej dwudziestopięcioletnia. Powinam była zadzwonić, przemknęło Ann przez myśl. Może on z kimś mieszka? To przecież całkiem prawdopodobne. Edvard niewątpliwie nadal mógł uchodzić za atrakcyjnego mężczyznę, a takich na wyspie brakowało.

Wysiadła na drżących nogach, gotowa w każdej chwili wskoczyć z powrotem do auta i odjechać. Przybrała zrelaksowaną minę. Wiedziała, że musiał ją usłyszeć, chyba że jeszcze pogorszył mu się słuch.

Świeciło się w kuchni, w salonie i piętro wyżej. Okna sypialni Violi – Ann wiedziała, że choroba przykuła starszą panią do łóżka – wychodziły na morze.

Kiedy znalazła się kilka metrów od oszklonego ganku, dostrzegła, że wszystkie framugi zostały niedawno pomalowane. Drzwi otworzyły się. Edvard. Nie zapalił światła. Możliwe, że stał tam, obserwując Ann, niepewny, czy się nie pomylił. Dla niej jego sylwetka była tak swojska, że rozpoznałaby ją wśród tysiąca innych.

– To ty – powiedział.

– Ja – odparła. Ty i ja, pomyślała. – Słyszałam, że Viola jest chora.

Tylko pokiwał głową, jakby czekał na dalszy ciąg. Czyżby szok okazał się tak wielki, że nie był w stanie wykrztusić słowa? A może niesmak wywołany jej nieoczekiwaną wizytą odebrał mu mowę?

– Masz gości? – spytała i natychmiast uświadomiła sobie, że to pytanie jest niewiarygodnie głupie, ale nie potrafiła się zmusić, by zadać je w inny sposób.

– Tak, jest przyjaciółka Violi. – Edvard skinął w kierunku toyoty. – Niedługo jedzie do domu.

Ann wyczuła, że zrozumiał jej zakłopotanie. Przyjaciółka Violi, pomyślała, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– Jak ona się czuje?

Nadal stał w drzwiach, z ręką na klamce. Może nie chciał Ann wpuścić?

– Jest bardzo słaba – odparł wreszcie.

W jego głosie dosłyszała zmęczenie.

– Poprawiłeś drogę.

Potwierdził kiwnięciem głowy.

– I pomalowałeś ganek.

– Tak, od ostatniego razu wiele się wydarzyło – powiedział, a Ann nie umiała stwierdzić, czy z niej pokpiwa, czy może rozbawiły go jej uwagi.

– Ładnie. Bardzo ładnie. – Z zapalem pokiwała głową, jakby chciała podkreślić, że jej zdaniem wszystko wydaje się w doskonałym stanie: boczna droga, dom, on. I życie.

– Wejdz – rzekł lakonicznie i porzuciwszy swoje miejsce na progu, zniknął w głębi domu.

Podążyła za Edvardem, jakby był katem, a ona właśnie wstępowała na szafot.

Zapach się nie zmienił. Kuchnia, na lewo od wejścia, po dawnemu lśniła czystością. Ann podejrzewała, że Edvard ma jakąś pomoc, bo sam nigdy nie potrafił porządnie posprzątać. Zawsze coś zostawało: brudna filiżanka na stole albo okruchy na desce do krojenia. Może w domu jest jeszcze jedna kobieta?

Po prawej stronie były schody prowadzące do jego sypialni, wydeptane jego stopami, nieodmalowywane od ostatniego razu.

Edvard szedł dalej, prosto. Lekko utykał. Włosy na potylicy chyba odrobinę mu się przerzedziły. Poza tym wyglądał tak samo jak dawniej.

Zanim otworzył drzwi pokoju Violi, zatrzymał się i zaczekał na Ann.

– Masz gościa – powiedział, przesuwając się o krok w lewo, żeby zrobić przejście.

W pokoju pachniało jakimś środkiem czyszczącym i kawą. Wnętrze oświetlała tylko lampa stojąca na stole w kącie pomieszczenia. Na ogromnym łóżku, niczym cesarzowa wdowa, leżała Viola zanurzona w morzu koców. Ann pamiętała, że starsza pani zawsze marzła i zimą często używała podwójnej ilości okryć.

Twarz Violi była bardziej wychudzona niż kiedykolwiek, a jej rzadkie białe włosy stały się jeszcze radsze i jeszcze bielsze. Ale kiedy tylko Ann weszła do pokoju, chora otworzyła oczy i utkwiała w niej wzrok, dokładnie w taki sam sposób, jak przy ich pierwszym spotkaniu.

– Moja własna policjantka – zachrypiała, starając się wydobyć ręce spod koca.

Ann podeszła do łóżka i przyłożyła dłoń do jej zimnego policzka.

– Wiedziałam – odezwała się znów Viola.

Ann z trudem powstrzymała łzy. Ten moment wydawał jej się tak ważny i cenny, że nie chciała tracić nawet sekundy na płacz. Chciała mieć pogodne spojrzenie, być równie silna jak jej przyjaciółka.

– Dostałam twoją kartkę – powiedziała staruszka.

Z nieoświetlonej części pokoju dobiegło dyskretne pokasztywanie. Ann odwróciła głowę i dostrzegła kobietę siedzącą na krześle. Uświadomiła sobie, że to z pewnością siostra gospodyni profesora Ohlera. Mimo półmroku nietrudno było zauważyć podobieństwo, zwłaszcza te lekko wyłupiaste oczy, które teraz wpatrywały się w Ann ze smętnym wyrazem.

Przedstawiła się w nadziei, że kobieta szybko sobie pójdzie i zostawi je w spokoju. Nie chciała mieć pod bokiem pogrzebowej płaczki.

A może w głębi serca nadal żywiła pragnienie, aby byli w domu tylko we trójkę – Viola, Edvard i ona? Jak dawniej.

Kobieta podniosła się zdumiewająco energicznie i skinęła głową na przywitanie.

– Zaczekam w kuchni – oznajmiła. – Może później zechce pani wypić filiżankę kawy?

Nie czekając na odpowiedź, cicho wyszła z pokoju. Pozostał po niej tylko nikły zapach potu. Edvard poszedł w jej ślady, starannie zamykając za sobą drzwi.

Lindell zajęła krzesło, które stało po drugiej stronie łóżka.

– Nie przywiozłaś chłopca? – spytała Viola.

Ann pokręciła głową, a ujrawszy, że na pobrużdżonej twarzy staruszki gniewnie marszczą się brwi, zrozumiała swój błąd. Czasami uważała Violę za babcię Erika ze strony ojca, takie zastępstwo za

krewną, której mały nigdy nie miał. A jednak z czystego egoizmu nie przywiozła dzisiaj syna. Obawiała się reakcji Edvarda. Wstydziła się pokazać ten fizyczny dowód krachu ich romansu. Bo to był romans, pełen pożądania i czułości. Dla niej Erik i tak zawsze będzie dzieckiem Edvarda, nikogo innego.

Należało wznieść się ponad małostkowe uczucia, nie zważać na ewentualną niechęć dawnego kochanka ani na własne zażenowanie i pokazać chłopczyka jego „babce”. Staruszka by tego chciała, co Ann uświadomiła sobie dopiero teraz. Może Viola uważała ją za córkę, której nigdy nie było jej dane mieć?

Ann uświadomiła sobie, że chociaż nie dochowała Edwardowi wierności, zdradziła go, uzyskała przebaczenie Violi. Przeszyło ją uczucie tęsknoty, jakby wszystkie złe rzeczy dały się jeszcze cofnąć. Niemożliwe marzenia, ślepy zaułek. Na chwilę czy dwie powróciła do dawnego życia, do innego rodzaju miłości niż ta, której doświadczała z Andersem Brantem.

– Następnym razem – powiedziała. – Chcesz zobaczyć zdjęcie Erika?

Viola pokręciła przecząco głową i Ann wcale nie była zdziwiona. W tym domu nigdy nie widziała żadnej fotografii.

– Trzeba rozklekotanej staruszki, żeby cię przyciągnąć na wyspę – zagadnęła chora, odzyskując odrobinę swojej typowej ironii.

– Gdybyś wiedziała, jak pragnęłam tu być – odparła cicho Ann.

– Edvard jest w dREWUTNI. Zawsze tam chodzi, kiedy czymś się zdenerwuje. Nie usłyszysz nas.

– Jak się czujesz?

– Chcę umrzeć w domu.

Lindell wiedziała, że nie ma sensu protestować, więc tylko skinęła głową i uścisnęła kościstą dłoń staruszki.

– Ja swoje już zrobiłam. Zawsze sama dawałam sobie radę. Nie byłam dla nikogo ciężarem. Urodziłam się, kiedy dzwony były na rozpoczęcie wojny, i odchodzę z tego świata w złych czasach. Nie masz pojęcia, jak na Gräsö ludzie bali się Rosjan. Nie mieliśmy o niczym pojęcia. Rozumiesz, tak źle nami rządzono? Ale tu, na wyspie, mało kogo to obchodziło. Ważni panowie siedzieli w Sztokholmie i wydawali

rozkazy, a my radziliśmy sobie sami – zakończyła z szerokim uśmiechem.

Był to jej popisowy temat: brak kompetencji i zdrowego rozsądku u wszystkich ze Sztokholmu, obojętne, czy chodziło o rząd czy o wczasowiczów. Takie widzenie świata Viola dzieliła z całym pokoleniami buntowniczych wyspiarzy.

– Boli cię?

Staruszka ponownie pokręciła głową.

– Trochę biodro, ale dokucza mi już od lat.

Ann nie mogła zrozumieć, dlaczego Viola szykuje się na śmierć. Wydawała się taka sama jak dawniej. Odkąd się znały, była chuda jak szczapa, a skargi na biodro Ann też już nieraz słyszała.

Wyjaśnienie nadeszło niemal natychmiast.

– Viktor umarł.

– O, nie! – wykrzyknęła Ann, ściskając ze współczuciem rękę staruszki.

– W poniedziałek miną trzy tygodnie – powiedziała Viola. – Pochowali go tydzień temu. Na pogrzeb przyszło ponad sto osób.

Viktor był towarzyszem jej życia. Nigdy nie zalegalizowali tego związku. To nie potoczyło się w zwykły sposób, wyjaśniła enigmatycznie Viola, kiedy Ann ją o to zapytała. W latach dwudziestych chodzili razem do szkoły, mieszkali po sąsiedzku przez całe życie i widywali się w zasadzie codziennie. Viktor do niej wpadał, pomagał przy różnych pracach. Przez osiemdziesiąt lat wspólnie siadywali w kuchni Violi.

– Urodziliśmy się w tym samym roku. Nigdy żeśmy się nie zaręczyli, ale Viktor był wspaniałym człowiekiem. I pewnego dnia nagle po prostu padł martwy. Szedł nad jezioro sprawdzić, czy Edvard oddał jego łódź.

– To miał jeszcze łódź na wodzie?

Viola zachichotała.

– Ciągle ich z Edvardem nie było. Dla Viktora to się nazywało życie. Tak bardzo lubił Edvarda, że mogli razem wypływać.

Jak ja za tym tęskniłam, pomyślała Ann.

– To prawda – powiedziała na głos. – Był wspaniałym

człowiekiem.

– Często cię wspominał – ciągnęła Viola. – Zwłaszcza kiedy wypił kropelkę.

– Marzyłam, żeby tu być – wyznała Ann.

– Powinnaś była tu być – odparła staruszka. – Ale nie jest jeszcze za późno.

Nie mów tak! – o mało nie krzyknęła Ann. Nie kuś mnie wizją życia, które już nie istnieje. Ale nie powiedziała tego. Skoro Viola pragnie wierzyć, że ona mogłaby wrócić, tak musi pozostać.

– Edvard z nikim się nie spotyka? – zadała pytanie, które dręczyło ją od dawna.

Staruszka prychnęła.

– Robi się zupełnie jak Viktor, wioskowy stary kawaler – stwierdziła takim tonem, jakby obowiązkiem Ann było zmienić ten stan rzeczy.

– Zupełnie nic?... – drażzyła Lindell.

Chciała usłyszeć zapewnienie, że przez te lata zdarzały się w jego życiu kobiety, i aluzję do tego, że teraz też kogoś ma, z kimś się spotyka.

Usłyszała tylko kolejne prychnięcie.

– Widziałam cię na zdjęciu w gazecie – powiedziała Viola. – Edvard zwykle czyta na głos, kiedy jest jakiś ciekawy artykuł.

Ann mogła ich sobie wyobrazić przy kuchennym stole o zmierzchu. Edvard w okularach do czytania i Viola wpatrzona w okno na podwórze.

– Kobieta od razu dodaje trochę uroku – oznajmiła staruszka. Nigdy nie przestała się dziwić, że kobiety służą w policji. – To jak dodatkowy... ale...

Umilkła w pół słowa i zamknęła oczy. Leżała tak spokojnie, że Ann ogarnął strach. Koce nie poruszały się, ręka była zimna.

– Żegnaj, Ann – powiedziała nagle, unosząc powieki. – Teraz się prześpię. Taka jestem szczęśliwa, że mogłyśmy chwilę porozmawiać. Dbaj o siebie i o Erika. Niech wam się dobrze wiedzie.

Ann poczuła, jak chora chwyta ją za rękę. Odwzajemniła uścisk. Ich spojrzenia się spotkały. Viola posłała jej swój zwykły, dawny uśmiech i jej powieki znowu opadły. Jeszcze przez chwilę Ann siedziała

bez ruchu, po czym ostrożnie uwolniła dłoń i wstała.

Wychodząc, zamknęła drzwi, ale natychmiast pożałowała tej decyzji i otworzyła je z powrotem. Może Viola będzie chciała o coś poprosić. Rzuciła ostatnie spojrzenie na staruszkę, a później pozwoliła oczom zarejestrować widok tego pokoju. Naszła ją chęć, żeby zabrać coś na pamiątkę.

W kuchni panowała cisza. Znajoma Violi – Ann przypomniała sobie, że ma na imię Greta – siedziała przy stole i piła kawę. Edvarda nie było w zasięgu wzroku.

– Wyjęłam filiżankę dla pani – powiedziała Greta.

Ann zerknęła na zegar. Miała jeszcze czas, żeby zamienić z kobietą parę słów.

Za kawę podziękowała, ale usiadła naprzeciwko niej.

– Nie wiedziałam, że Viktor umarł – zagadnęła. – Naprawdę żałuję, że nie byłam na pogrzebie.

– Edvard niósł trumnę. Niedługo będzie znowu to robił – odparła Greta. – Viola chce iść za Viktorem. Jestem pewna, że pani to rozumie.

Ann przytaknęła. Nie gniewała jej szczerą tej kobiety. Przecież było właśnie tak, jak mówiła, więc po co udawać?

– Już panią kiedyś spotkałam – powiedziała do Grety.

– Znam Violę przez całe życie. Czasem opiekowała się Agnes i mną, gdy byłyśmy małe. Tak, zdarzało mi się wpaść na panią, kiedy była pani z Edvardem. Ale wtedy widziała pani tylko jego.

– Więc Agnes Andersson to pani siostra – rzekła Ann. – Świat jest naprawdę mały.

– Co się dzieje u Ohlera?

Lindell poczuła ulgę, że mogą porozmawiać na inny temat niż jej dawny pobyt na Gräsö, więc zrelacjonowała Grecie, co przytrafiło się profesorowi. Kobieta z pewnością chciała poznać wersję wydarzeń inną od opowieści siostry. Wysłuchiwała wszystkiego, nie przerywając, a potem jeszcze przez chwilę milczała. Ann spotykała się z taką reakcją podczas licznych przesłuchań. Jej rozmówczynię najwyraźniej coś dręczyło.

– Nie dziwota, że ludzie źle mu życzą – odezwała się w końcu Greta.

– Co pani ma na myśli?

– Niech mi Bóg przebaczy, ale Ohler jest podłym człowiekiem.

Odsunęła na bok filiżankę i popatrzyła w okno. Ann podążyła spojrzeniem za jej wzrokiem w obawie, że może nadchodzi Edvard.

– Powinnam sprawdzić, jak się czuje Viola – oznajmiła Greta.

– Nie trzeba, powiedziała, że chce się zdrzemnąć – odparła Ann. – Widzę, że coś panią niepokoi. Martwi się pani o siostrę?

– Nie, teraz już nie – odparła Greta i grymas goryczy wykrzywił jej usta. – Oni zawsze traktowali kobiety jak dziwki. Każdą, która u nich pracowała.

– Panią też?

Przytaknęła bez słowa. W palcach zwijała nitkę zwisającą z koronkowego obrusa. Ann domyśliła się, że to właśnie Greta nakryła obrusem kuchenną ceratę.

– Ja się wyrwałam, ale Anna nie. Czy pani wie, że ona przez jakiś czas mieszkała u Violi?

– Kim jest Anna?

Greta ze zdumieniem popatrzyła na policjantkę.

– Moją starszą siostrą. Musiała tutaj zamieszkać. Nasi rodzice byli bardzo surowi. Nie mogli znieść, że Anna złożyła wypowiedzenie, więc kiedy wróciła na wyspę, nie została mile powitana. Tata był przekonany, że niestosownie się zachowała i dlatego musiała odejść, więc w zastępstwie wysłał Ohlerom mnie. To było w czasie wojny, miałam wtedy tylko czternaście lat. I przetrwałam tam kolejnych dziewięć. A potem przyszła kolej na Agnes.

– Co takiego zrobiła Anna?

– Nic. Absolutnie nic. Była najłagodniejszą istotą, jaką można sobie wyobrazić.

– I musiała zamieszkać tutaj?

– Tak, Viola się nad nią ulitowała. Nigdy nie wybaczyła naszemu tacie. Zresztą mamie też. Mówiła, że matka, która nie broni swoich dzieci, nie jest prawdziwą chrześcijanką. Anna mieszkała tu prawie rok. Ani razu nie odwiedziła rodziców. A to mniej niż kilometr przez pastwisko i wzgórze Lovgrena.

Greta opowiedziała Ann o Armii Boga i o tym, jak ich ojciec prawil kazania we własnym domu, piętnując wiarołomność córki.

– Kongregacja odrodziła się podczas wojny. Ludzie byli wystraszeni i wtedy dostali możliwość rozmów o Annie. Zawsze dobrze jest mieć znajomego grzesznika, którego można potępić i nad nim polamentować. Agnes mówiła, że nigdy tak nie zajeżdżało piekielną siarką jak w tamtym czasie. Wiecznie się bała, była małą dziewczynką. Anna zawsze odnosiła się do niej tak serdecznie, a tu nagle stała się wcieleniem diabła. Ja nie musiałam tego wysłuchiwać. Właśnie wtedy zapłakiwałam się co wieczór w pokoju dla służby.

– Co dalej działo się z Anną?

– Opuściła wyspę. Pojechała na południe.

Nitka z obrusa całkiem się wypruła i teraz Greta owijała ją machinalnie wokół lewego palca wskazującego. Ten mimowolnie filuterny gest klócił się z wyrazem powagi na jej twarzy.

– Czy Anna wybaczyła rodzicom? – spytała Lindell.

Greta wolno pokręciła głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Nie utrzymywałyście kontaktów?

– Wiem, że pisywała do Violi – odparła Greta. – Anna była jej dozgonnie wdzięczna za wsparcie, jakie od niej otrzymała po powrocie od Ohlerów. – Odwinęła nitkę z palca i podniosła wzrok.

– Więc sądzi pani, że są ludzie, którzy źle życzą Ohlerowi? – Ann poczuła ukłucie wyrzutów sumienia, że tak szybko pozostawiła Annę jej losowi. Ale Greta przyjęła zmianę tematu z wyraźną ulgą.

– Mocno w to wierzę – powiedziała. – Tacy ważniacy zawsze narobią sobie wrogów.

– A czy Agnes coś mówiła? Rozumiem, że nie chce pani plotkować, ale jesteśmy w trudnej sytuacji – tłumaczyła mgliście Lindell.

– Myślę, że pani też jest w trudnej sytuacji. – Greta zacisnęła usta.

– Nie rozumiem?

– To widać gołym okiem. Przyjechała pani zobaczyć się z Violą, ale dygocze jak liść osiki z powodu Edvarda. A teraz bawi się pani w policjantów i złodziei, żeby chociaż na moment przestać o nim myśleć.

Policzki Ann oblał jaskrawy rumieniec.

– Tak, to prawda – przyznała. – Proszę mi wybaczyć.

Ona ma rację, pomyślała, przeklinając swój brak wrażliwości. W kuchni umierającej przyjaciółki Ann Lindell odgrywała śledztwo, a mężczyzna, który był miłością jej życia, rąbał drewno, byle tylko się nie spotkali.

– Jestem jak liść osiki. A teraz pojedę już do domu i zostawię was w spokoju.

Zabrzmiało to bardziej płaczliwie, niż zamierzała.

– Siostra nic mi nie mówiła – powiedziała Greta. – Ale ja wiem swoje. Gardzę tym domem i, niech mi Bóg wybaczy, całą tą rodziną. Nie rozumiem, jak Agnes to znosi. Jeżdżę tam jej pomagać. Jest taka przemęczona.

Ann wstała. Napięcie sprawiło, że dosłownie się trzęsła.

– Dziękuję – powiedziała. – Cieszę się, że przyjechałam. Mogłam chociaż chwilę porozmawiać z Violą. Może pani uważa, że to nietaktowne z mojej strony pojawiać się w tym domu, ale dla mnie Viola też była jak matka.

Starsza kobieta obrzuciła ją szybkim spojrzeniem. W jej oczach Ann dostrzegła błysk zdumienia.

– No i miałam okazję zobaczyć Edvarda. Przekonać się, że dobrze sobie radzi. I porozmawiać z panią.

Wyciągnęła nad stołem rękę, zmuszając Gretę, by także wstała. Pożegnały się uściskiem dłoni, po czym Ann wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi ganku.

Przejaśniło się. Na granatowym niebie lśniły gwiazdy.

Jak dawniej, przemknęło jej przez myśl. Rozejrzała się, ale Edvarda nie było nigdzie widać. Po chwili wahania Ann wsiadła do samochodu.

Zjechała ze wzgórza w stronę przystani promu. Mijając kościół, zerknęła, czy staruszek nadal siedzi na murze. Siedział. Wszystko było tak, jak powinno być na wyspie. Kiedy samochód Lindell – piąty z kolei i zarazem ostatni – wtoczył się na pokład, natychmiast zamknęła się za nim bramka i prom odbił od brzegu.

Jeszcze przez parę sekund Ann siedziała zamyślona, po czym zaciągnęła ręczny hamulec, wysiadła z auta i podeszła do relingu. Płakała z żalu, a jednocześnie czuła dumę, że zdołała zapanować nad

emocjami podczas spotkania z Edvardem. Stały łąd szybko się przybliżał. Szkoda, że nie mogła dłużej stać przy relingu.

W nagłym odruchu postanowiła zadzwonić do domu, ale powstrzymała się. Po pierwsze, wiedziała, że Anders i Erik dobrze się dogadują, a po drugie, nie chciała, by czar prysnął – znów znajdowała się na niezgrabnym, topornym promie Zarządu Dróg.

Przyszło jej na myśl, że ten cykl wydarzeń i uczuć, które nawarstwiły się w domu Violi, wyraża wszystko, co jest do powiedzenia o życiu. Jeden dom. Jeden z tysięcy, z milionów.

Viola przeżyła niemal sto lat, doświadczając smutków na przemian z radościami. Ludzie zjawiali się i wrastali w jej dom. Viktor, który bywał tam przez całe życie. Edvard, który przypadkowo wynajął pokój i już został. Anna, która w latach czterdziestych znalazła tu schronienie. I wreszcie ponad pół wieku później ona sama.

– Anna – wyszeptała Lindell. – Anna i Ann.

Słyszając głucho stuknięcie promu o przyczółek, wierzchem dłoni otarła łzy z twarzy. Gdyby tylko mogła wydmuchać nos na sposób Edvarda! Po prostu dmuchać i dmuchać, a wtedy wszystko się oczyszcza.

Dałam radę, pomyślała, zjeżdżając z promu. Jej następna myśl poświęcona była Violi. Wkrótce odejdziesz. Edvard poniesie cię, tak jak poniósł Viktora.

Nagle wyobraziła sobie dawnego kochanka, dotyk jego dłoni, i eksplodowało w niej takie poczucie straty, że ledwie zdołała zjechać na pobocze i zatrzymać samochód.

A jednak nie dałam rady!

Dalsza część drogi do Uppsali była powtórzeniem podróży sprzed lat, kiedy wszystko się skończyło. Ann konwulsyjnie zaciskała ręce na kierownicy i jechała pod wiatr, kierując się na południowy zachód.

Uczucie niepokoju ustąpiło podczas kopania. O dziewiątej zrobił sobie przerwę. Wbił szpadel w ziemię, po czym usiadł na opartym o ścianę rozchwianym ogrodowym krześle. Wypił kawę, zjadł kanapkę. Cieszył się październikowym słońcem, którego promienie właśnie znalazły drogę do posesji Lundquista.

Przed nim widniał rezultat porannej pracy: świeżo wykopany dół. Nowy grób. Aby uniknąć usuwania zwału gliniastej ziemi, Karsten po jednej stronie uformował z niej niewielką zaokrągloną krawędź. Wcześniej przytaszczył lżejszą ziemię z większą ilością próchnicy i wysypał na stertę koło dołu.

Zamierzał posadzić tu magnolię, która czekała w worku na śmieci koło domu. Obok leżały trzy torby kompostu. Jako rośliny okrywowej chciał użyć golterii – wybór może mało wyszukany, ale pewny, bo była odporna i łatwo się rozrastała. Poza tym Karsten lubił jej niebieskie kwiaty. Magnolia nosiła nazwę Wada's Memory i należała do najpiękniejszych odmian kwitnących na biało. Całości miały dopełniać zawilce himalajskie oraz – jako towarzysz dla magnolii – fotergilla od docenta. Planował również zasadzić kilka żółtych gwiazd betlejemskich. Dominacja wiosny z elementem roziskrzonego jesiennego ognia, o taki efekt mu chodziło.

Cóż to była za radość móc przyglądać się rezultatom własnej pracy. A nawet ich dotykać. Kierowca autobusu ma powód do dumy ze swojej jazdy, ale czysto fizycznie niewiele jest potem do pokazania. Nauczycielka odczuwa satysfakcję, kiedy uczniowie rozumieją to, co im tłumaczy, lecz o jej wysiłku nie zaświadcza nic namacalnego.

Natomiast projektant ogrodów może powrócić do swojego miejsca pracy pięć, dziesięć czy nawet pięćdziesiąt lat później i stwierdzić, że jego dzieło nadal tam jest – schodki, murek, kasztanowiec, albo cokolwiek innego, i to o wiele wspanialsze niż w projekcie. Kamień ścierany przez ludzkie stopy, deszcz i wiatr z wiekiem nabiera urody. Piękno klonu pensylwańskiego objawia się w pełnej krasie dopiero po paru dekadach.

Czy magnolia przetrwa pół wieku, nie było pewne. Będzie jednak wspaniale kwitnąć każdej wiosny za jego życia, a może i wiele lat dłużej.

Wydało mu się, że z domu profesora dobiega jakieś łomotanie. Otworzyło się okno. Karsten zobaczył, jak starsza kobieta – chyba pomoc domowa – zapina haczyk, żeby się nie zamknęło. Musi mieć teraz dużo roboty, pomyślał, ogarniając wzrokiem ścianę budynku ze wszystkimi oknami, łącznie osiemnastoma, i to tylko od tyłu.

Jego matka opisywała, ile pracy wymagało pucowanie szyb w całym domu, nawet jeśli robiło to kilka osób. Musiała przechodzić przez ten rytuał trzy razy do roku. Teraz pewnie okna były myte nie tak często. Sprawiały wrażenie poszarzałych i obskurnych.

Myśli o matce, a co za tym idzie, o klanie Ohlerów, wzbudziły w nim niepokój. Z pewnym trudem dźwignął się na nogi. Coraz bardziej sztywniały mu stawy. Przyglądając się wielkiemu domowi, próbował wyobrazić ją tam sobie. W swoich dziennikach matka lakonicznie, ale barwnie przedstawiała codzienne zajęcia, pozostałą służbę i państwo. Nie stroniła też od elementu sensacji, pisząc o intrygach i plotkach, zawsze obecnych wśród licznych domowników. Nie widział w tym nic dziwnego: była wówczas młodziutką, niedoświadczoną dziewczyną.

Notatki z kilku pierwszych miesięcy przepełniało zdumienie nad życiem w domu Carla von Ohlera. Matka opisywała toalety niczym jakieś cuda, a wykrzykniki, które dodawała, wymieniając ilość prześcieradeł, kryształowych kieliszków i zastawy stołowej, jeszcze podkreślały jej ekscytację.

Ale szybko nabrały innego znaczenia.

Ogarnęło go nieprzeparte pragnienie, by zobaczyć ten dom od środka. Chciał wspiać się po schodach, którymi chadzała, obejrzyć gigantyczne szafy z książkami w bibliotece, którą przedstawiała w tak wzniosłych słowach, zajrzeć do kuchni. Ale to było niemożliwe. Nigdy by go tam nie wpuszczono, do jakiegokolwiek pretekstu by się uciekł.

W zasadzie mógł jedynie wdrzeć się siłą albo wejść ukradkiem. Uśmiechnął się w duchu. Włamanie, ale bez intencji kradzieży. Jak by to zostało zaklasyfikowane? Może jako wtargnięcie?

Nieznajoma w oknie przypomniawszy mu o losie jego matki, ale także uświadomiła pewną ciągłość. Nawet teraz kobiety służyły u Ohlerów,

tak jak sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat temu. Zastanawiał się, ile z nich w tym czasie przyszło tu i stąd odeszło. Ile doświadczyło tego, co jego matka?

Nigdy nie śledził dokładnie debaty publicznej na temat służby domowej i potrącania jej wypłat, ale kiedy znalazł zapiski matki, nabrała ona dla niego innego sensu. Dzienniki stanowiły unikalne wyznanie kobiety w najbardziej zależnej pozycji, jaką tylko można sobie wyobrazić. A on miał coraz silniejsze poczucie, że powinien ten tekst upublicznić. Byłby to obraz zgoła inny niż żarliwe, pompatyczne hołdy dla noblisty. Karsten nie wahał się przyznać, że pragnie zdemaskować rodzinę Ohlerów w dużej mierze z chęci zemsty.

Sygnał telefonu komórkowego przywołał go do rzeczywistości. Dzwonił Roffe ze szkółki, gdzie zwykle ogrodnik się zaopatrywał, z informacją, że dwie skrzynki sadzonek golterii są już gotowe do zabrania. Czy dwadzieścia osiem roślin wystarczy? Karsten zerknął na przekopany teren. Od czasu, kiedy składał zamówienie, zdążył powiększyć rabatę o ładnych parę metrów kwadratowych. Posadzę je rzadziej, pomyślał. I tak szybko się rozrosną i zbliżą do siebie.

Wszystko układało się w spójną całość: magnolia, byliny i jeszcze fotergilla. Podniósł z ziemi jabłko Ingrid Marie i przeżuwał je w zamyśleniu. W końcu postanowił, że zaczeka, aż zapadnie zmierzch, po czym znowu zabrał się do pracy.

Ann Lindell urządziła sobie przechadzkę po swoich dawnych śledztwach. Właśnie tak to odbierała. Nigdy dotychczas nie było równie nudnego okresu. Wszelkiej maści krętacze chyba faktycznie zrobili sobie jesienną przerwę. Lekko roztargniona, grzebała w aktach, które miała na biurku, łącznie z kilkoma sprawami mocno już zleżałymi. Teczki na szczęście nie zaczęły śmierdzieć jak stary ser, ale wysychały, kurczyły się i zapadały w coraz głębszą, zakurzoną niepamięć. Pomyślała, że tego gwałtu w parku Angielskim sprzed trzech lat nie może odpuścić, chociaż miała świadomość, że perspektywa sukcesu jest znikoma.

Był też przypadek zabójstwa nożem w barze w centrum miasta, z którym też powinna coś zrobić. Zbrodnia wyglądała na rezultat kłótni w kręgach przestępczych, jak to określiła lokalna prasa, były więc spore szanse na dorwanie sprawcy. Gdyby pokopali trochę głębiej, prawdopodobnie udałoby się znaleźć kogoś, kto uznałby za korzystne przymknięcie nożownika na kilka lat. Dostali cynk o Ludwigu Ohrmanie, którego trzeba by przesłuchać. Lindell rzuciła okiem na jego kartotekę. Niezbyt miły facet, doszła do wniosku.

Odsunęła na bok akta Ohrmana i pogrążyła się w rozmyślaniach o wczorajszym wypadku na Gräsö. Pozostał jej po nim lekki niesmak. Żałowała, że nie pożegnała się z Edvardem. Nie była pewna, czy zdoła zapanować nad emocjami, jeśli stanie z nim twarzą w twarz, więc wymknęła się ukradkiem, postanowiwszy zatelefonować do niego później. Ale jak widać to również nie był dobry pomysł. Po prostu nie potrafiła zdobyć się na odwagę. Obawiała się osądu Edvarda. Czy on pozostawił już wszystko za sobą? Czy jej wybaczył? Bała się również własnej reakcji. Nie chciała, aby nostalgiczna wycieczka w przeszłość zniszczyła wszystko, co zbudowała z takim trudem. Edvard był historią. Oczywiście nadal miał na nią ten magnetyczny wpływ, poczuła to natychmiast, ale teraz żyła nowym życiem. Cofnięcie się o kilka lat nie miało najmniejszego sensu.

– I na tym koniec – stwierdziła.

Przypuszczała, że tak właśnie musi się czuć narkoman, kiedy mimo

głodu odrzuca zaproszenie, by dać sobie w żyłę – roztrzęsiony, ale zadowolony z siebie.

Ludwig Ohrman musi poczekać, postanowiła. Teraz nadeszła pora na Savoy, kawiarnię, w której rozwikłała wiele trudnych problemów – zarówno osobistych, jak i zawodowych – i w której zamierzała uczcić swój sukces jednym z tamtejszych smakowitych ciast.

Wybór padł na tort księżniczki^[3]. Widok marcepanu wywołał uśmiech na twarzy Ann. Zapewne dzięki miłym doświadczeniom z dzieciństwa. Czasami, kiedy jeździła z ojcem w trasę jego ciężarówką rozwożącą napoje na obszarze wokół Ödeshög i Vadstena, robili postój w jakiejś cukierni. Dopiero dużo później do Ann dotarło, że to, co uważała za hojny gest taty, wcale nie musiało nim być. Bez wątplenia częstowano ich. W tym rejonie ojciec dostarczał gazowane napoje przez dwadzieścia lat.

W kawiarni panował niezwykły spokój. Ann była jedyną klientką, dopóki do pobliskiego stolika nie przydreptała mozolnie jakaś starsza pani. Kiedy tylko usiadła, pojawiła się nastolatka z tacą w ręku – pewnie praktykantka, uznała Lindell – i postawiła przed staruszką filiżankę kawy i ciastko z owocami. Te dwie kobiety dzieliło co najmniej siedemdziesiąt lat.

Ann od razu rozpoznała starszą panią. Już parokrotnie spotkały się w Savoyu. Za każdym razem staruszka wyglądała na coraz bardziej niedołączną, ale umysł miała ostry jak brzytwa. Kiedyś wspomniała, że z zawodu jest hydrologiem. Gdy rozpoczynała karierę w latach czterdziestych, była to niecodzienna profesja dla kobiety.

– A więc mamy noblistę – odezwała się, celując kościstym palcem w rozłożoną na stoliku gazetę.

– Tak, to miło – odparła Lindell.

Staruszka skosztowała ciasta. Na blat posypały się okruszki.

– Może nie aż tak bardzo – oznajmiła. – Znałam jego ojca – dodała, kiedy odgryzła następny kawałek. – Operował mnie. Wtedy dziewiętnastolatkę. Zręczny, bardzo zręczny chirurg. Pęknięty wyrostek.

Lindell skinęła głową. Teraz przypominała sobie nieco rwany sposób wysławiania się swojej rozmówczyni.

– Dobry przyjaciel mego ojca – ciągnęła kobieta. – Podczas wojny

należeli do pewnego towarzystwa. Tata był Szkotem. Ale z tego syna – wskazała gazetę – był prawdziwy kawał gnojka. Już wtedy.

Jej szczerść i dobór słów zdziwiły policjantkę.

– Dlaczego?

– To już uległo przedawnieniu – odparła staruszka, z wyraźną przyjemnością wbijając sztuczne zęby w sam środek ciastka.

Ciekawość Ann została pobudzona, ale nie sposób było dalej rozmawiać, bo do kawiarni weszły dwie kobiety z trójką małych dzieci. Wszyscy zasiedli przy jedynym okrągłym stole, który najwyraźniej stał się miejscem spotkań młodych matek z tej części miasta, rodzajem otwartego przedszkola. Lindell nieszczęśliwie to cieszyło.

– W każdym razie według prawa – dodała starsza pani, skrupulatnie wycierając usta.

Matki wymieniły rozbawione spojrzenia. Zapewne uznały staruszkę za zniedołężniałą sklerotyczkę, która mówi sama do siebie.

Jeden z ich podopiecznych, kilkuletni chłopczyk, zaczął chlapać sokiem pomarańczowym na podłogę.

– Czy to dobry pomysł, żeby on wylewał sok? – zapytała Lindell.

– Willie! Nie wolno tak robić! – krzyknęła jedna z kobiet, ale nic nie wskazywało na to, że zamierza posprzątać po swoim synku. Wręcz przeciwnie, wróciła do rozmowy ze znajomą, a tymczasem mały Wilhelm wziął się do rozkruszania bułki.

Ann westchnęła, starsza pani również. Podniosły się jednocześnie, jakby na dany sygnał, i razem wyszły. Lindell była wdzięczna Linnei Blank – właśnie przypomniła sobie nazwisko staruszki – że darowała sobie komentarz na temat Wilhelma i jego matki.

– Zaciekawiło mnie to, co pani mówiła o przedawnieniu – zagadnęła z uśmiechem. – Wie pani, jestem oficerem policji.

Linnea Blank poprawiła na sobie płaszcz. Ann poczuła nagłą chęć, żeby strzepnąć jej z kołnierza kilka okruchów ciastka.

– Miałam przyjaciółkę – powiedziała pani Blank, kiedy wreszcie zapięła wszystkie guziki. – Spotykała się z Bertramem. Co doprowadziło do smutnego końca. Chyba nie muszę nic dodawać.

– Jak to? Znęcał się nad nią?

Staruszka rozejrzała się. Jedno oko pokrywała jej szara błonka.

Zapewne było niewidome.

– On dobrze się prezentował. Wrócił do domu w mundurze. To wszystko działo się podczas wojny.

Lindell próbowała wyobrazić sobie Bertrama von Ohlera jako atrakcyjnego mężczyznę. Bez skutku.

– Ale był podły – podsumowała starsza pani. – Teraz muszę już iść. Do widzenia! Na pewno niedługo znowu się spotkamy.

Przed kilku laty o Linnei Blank pisali w „Upsala Nya Tidning”, przypomniało się Ann. Kobieta miała długą i pasjonującą karierę zawodową, przebywała między innymi na misjach w Indiach i Turcji. Ponadto w latach pięćdziesiątych działała w ruchu na rzecz pokoju, a później popierała walkę z apartheidem. Jako osiemdziesięciolatka uczestniczyła w światowym kongresie hydrologicznym w Nairobi, gdzie wygłosiła wykład zatytułowany *Woda a pokój*.

Lindell przyglądała się staruszce. Jej ocena „gościa od Nobla”, jak nazywał Ohlera Sammy, była surowa i bezlitosna. Niemal identyczny stosunek do profesora miała Greta. Czy Bertram von Ohler wykorzystał seksualnie przyjaciółkę pani Blank? A może po prostu był ogólnie „podły”?

Wsiadłszy do samochodu, Ann zawróciła i z dużą prędkością ruszyła ulicą Ringgatan na wschód. Za Sverkerskolan była uboższa o dwa tysiące czterysta koron.

W domu Ohlerów trwał remont. A nawet rozlegały się śmiechy. Kiedy Liisa Lehtonen po raz pierwszy zarechotała, Agnes nie wierzyła własnym uszom. Ale to było jakiś czas temu, a teraz musiała wyjść z kuchni, więc zerknęła do holu przez szparę w drzwiach.

Najwidoczniej kładzenie tapet okazało się przyjemnym zajęciem. W każdym razie dla Finki. Birgitta von Ohler wyraźnie była innego zdania. Agnes słyszała jej mamrotanie, które chwilami przybierało formę głośniejszych sprzeciwów. Ale Birgitta musiała zaakceptować konsekwencje swojego pomysłu. Bo to ona wystąpiła z inicjatywą remontu. I zdołała przekonać ojca argumentem, że dom na pierwszy rzut oka powinien robić wrażenie jasnego.

– Teraz wchodzi się tu jak do grobowca – stwierdziła.

Porównanie trochę niestosowne, pomyślała Agnes, ale w głębi duszy zgadzała się z córką profesora. Stara tapeta musiała liczyć sobie co najmniej trzydzieści pięć lat. Ale nawet kiedy była nowa, raczej nikogo nie zachwycała. Wzór z ciemnych liści jakiegoś niesprecyzowanego gatunku, może winorośli, pokrywał jeszcze ciemniejsze tło.

Teraz hol miały rozjaśnić kremowe tapety w ledwie widoczne bladobłękitne prążki. Widok sterty obciążniętych plastykiem rolek i innych materiałów do pracy nagle wydał się Agnes wręcz nieprzyzwoity – wrażenie trudne do wytłumaczenia. Może to dlatego, że od bardzo dawna nie przyniesiono do domu niczego nowego. Życie osiadło w spokojnych koleinach, w których ona i profesor coraz bardziej się zużywali w coraz bardziej zużyтым otoczeniu. Właśnie z tego powodu odbierała donośny rechot Liisy jako niestosowny, niczym wybuch śmiechu na szpitalnym oddziale dla umierających.

Kiedy kroić pory, przyszła jej do głowy kolejna bluźniercza myśl: Czy te dwie nie mogły poczekać, aż Bertram umrze? Przypuszczała, że po śmierci ojca to właśnie Birgitta przejmie dom. Córka profesora robiła już takie aluzje, powiedziała nawet, że Agnes może tu mieszkać, jak długo zechce, „obojętnie, co się wydarzy”. A jedyną rzeczą, która mogła się wydarzyć, było to, że stary opuści ten świat. Albo może stanie się

odwrotnie i to Agnes odejdzie pierwsza?

Westchnęła ciężko, chociaż cieszyło ją, że gotuje nie tylko dla siebie i profesora, bo żadne z nich już specjalnie nie interesowało się jedzeniem.

Ohler był w swoim gabinecie. Spędzi dzień, odpowiadając na gratulacje, oznajmił jej rano. A przecież wcale nie dostał tylu listów, żeby musiało mu to zająć tyle czasu. No cóż, przynajmniej siedział cicho, więc mogła trochę odpocząć.

Dobiegający z holu głos Birgitty brzmiał coraz bardziej marudnie. Agnes uznała to za objaw zmęczenia. Już rano córka profesora była wyraźnie nie w sosie. Liisa wyjaśniła, że Birgitta jest po prostu zła, bo przepadł jej wyjazd z szefem do Baltimore, który miała obiecany. Taki los. Ale Birgitta lubiła pory *au gratin* i to mogła dostać.

Porzuciwszy rozmyślania o rodzinie Ohlerów, Agnes puściła nóż w ruch i poszatkowała ostatniego pora. Zanim nasmarowała tłuszczem naczynie żaroodporne, piekarnik nagrzał się już do stu siedemdziesięciu pięciu stopni. Pory *au gratin* były tylko jednym z dań na lunch. Birgitta kupiła makrelę, którą Agnes chciała usmażyć na grillu. Do tego gotowane ziemniaki i zimny sos z odrobiną curry. Całości miała dopełnić zielona sałata.

Pochyliwszy się, by wstawić naczynie z porami do piecyka, Agnes zobaczyła w szybie piekarnika ulotne jak cień odbicie własnej twarzy i pomyślała o Grecie. Siostra zadzwoniła do niej tego ranka, aby zrelacjonować wizytę policjantki. Stwierdziła, że Ann Lindell wydaje się sympatyczna. Na podstawie własnych spostrzeżeń Agnes była skłonna przyznać Grecie rację.

Dowiedziała się też, że z Violą jest coraz gorzej. Staruszka głównie spała, a w chwilach czuwania nie mówiła wiele. Edvard usiłował ją karmić, lecz przeważnie bez skutku. Wmusił w nią jedynie trochę owsianki.

Agnes była przekonana, że to już tylko kwestia dni, może nawet godzin, zanim Viola odejdzie. To bolało. Viola zawsze była stałym punktem w jej życiu, kimś, na kim można się oprzeć. W najgorszych czasach, po powrocie Anny, Agnes w sekrecie biegała do sąsiadki tak często, jak tylko mogła.

W tamtym okresie fanatyzm ojca przybierał coraz groźniejszy odcień. Jego domowych kazań nie łagodziły dobre wieści nadchodzące z Europy. Pesymizmu Arona Anderssona i jego przepowiedni Dnia Sądu nie osłabiło nawet zakończenie wojny. Dla dziesięcioletniej dziewczynki Viola stała się jedyną ostoją.

Przez kolejne lata ten kontakt wciąż trwał. Został przerwany dopiero w 1953 roku, kiedy Agnes wyjechała do miasta. Viola robiła, co mogła, żeby ją zdechrystianizować – Agnes pojęła to w pełni dopiero później – a w każdym razie chciała wymieść z dziecięcej głowy bożą bojaźń, której szczerze nie cierpiała. Zdaniem Violi Bóg powinien być miłym towarzyszem, nikim więcej. Miała na Agnes ogromny wpływ i stopniowo podkopywała u małej autorytet ojca.

Agnes niekiedy porównywała Arona z profesorem. Wspólny mianownik stanowiły ich zmienne nastroje, potrzeba dominacji, a także możliwości głosowe – przynajmniej kiedy profesor był młodszy.

Agnes pogodziła się z ojcem. Teraz już nie bała się Boga. Ani Bertrama von Ohlera. Profesor był tylko drepczącym po domu zlepkim mięsa i kości, niczym więcej. Niechętny respekt, jakim niegdyś darzyła tego człowieka, minął bezpowrotnie. Teraz czuła do niego tylko pogardę, a chwilami nawet wstręt.

Właśnie Greta zwróciła jej na to uwagę. Powiedziała coś, z czego wynikało, że Agnes niekiedy patrzy na swego chlebodawcę oczami pełnymi nienawiści. Wtedy z oburzeniem zaprzeczyła, ale oczywiście siostra miała rację, chociaż Agnes trudno było się do tego przyznać nawet przed samą sobą.

Nienawiść, pomyślała, stając przy oknie, które wychodziło na ogród. Czy to przez nią Anna opuściła wyspę za drugim razem? Najstarsza siostra mieszkała w cudzym domu i na próżno czekała, aż rodzice przywrócą ją do łask. A oni ledwie zauważali córkę. Równie dobrze mogłaby przebywać na innej półkuli. Po roku Anna zniknęła i już nigdy nie mieli od niej wiadomości.

Co wywołało takie okropne uczucia? Może Viola by wiedziała? Albo Greta? Ale ona w ogóle nie rozmawiała o Annie, zupełnie jakby siostra nie istniała.

W sercu Agnes, niczym czarna gruda, zalegał żal z powodu

odejścia Anny i w miarę upływu lat smutek straty narastał. Zupełnie jednak nie pojmowała, dlaczego ona też została ukarana. Przecież była wtedy tylko dzieckiem i szczerze kochała siostrę. Anna mogła przysłać choćby parę słów, pokazać, że na nią akurat się nie gniewa. Ale nie przysłała.

W przeciwieństwie do pozostałych córek Arona Anderssona, Annie poszczyliło się nie tylko pod względem wyglądu, lecz i usposobienia. To ona wymyślała różne figle i poprawiała nastrój w domu. A nawet czasem, mimo protestów ojca, nuciła popularne piosenki zasłyszane w radiu u sąsiadów. Prawdopodobnie u Viktora.

U Lundquista pracował ogrodnik. Właśnie przycinał bzy i inne krzewy. Najwyższa pora, pomyślała Agnes, za domem robiło się coraz bardziej ponuro i ciemno.

Może powinna zapytać tego człowieka, czy mógłby i u nich poprzycinać drzewa owocowe? Od ostatniego razu minęło sporo czasu. Profesor z pewnością nie miałby nic przeciwko temu.

Wstyd. Właśnie wstyd doprowadził rodziców do takiej zaciekłości. Już przedtem przychodziło to Agnes do głowy, a teraz wydawało się całkiem oczywiste. Na skutek tego, co powiedziała Liisa, kiedy rano piły kawę. Finka przeczytała w gazecie artykuł o matce, która upośledzoną córkę trzymała przez całe życie w piwnicy, a na pytanie, dlaczego tak postępowała, odpowiedziała tylko, że wstydziała się pokazać światu swoje dziecko.

Wstyd. Anna porzuciła posadę, chociaż Aron Andersson obiecał, że będzie służyła u profesora Carla von Ohlera. Dlatego natychmiast wysłał w zastępstwie Gretę. Nie zawodzi się tych, którzy sprawują władzę, obojętnie, ziemską czy niebieską. Właśnie z tej przyczyny Anna została tak okrutnie ukarana, rodzina się jej wyrzekła. Ale czy to był jedyny powód?

Agnes westchnęła. Zazdrościła temu ogrodnikowi. Stał z piłą w ręku, obserwując swoje dzieło. Już kilka razy mu się przypatrywała. Zawsze pracował sam. Może dlatego czuła z nim pewne pokrewieństwo?

Mężczyzna nagle odwrócił głowę. Wyglądało, jakby spojrzał dokładnie w kuchenne okno, więc gospodyni szybko się wycofała.

Aby usprawiedliwić swoje zainteresowanie – bo musiał się

zorientować, że na niego patrzyła – postanowiła zamienić z ogrodnikiem kilka słów. Włożyła buty, narzuciła na ramiona stary płaszcz i wyszła.

Widząc, że mężczyzna ją zauważył, skierowała się prosto do rogu ogrodu. Ogródnik ruszył jej na spotkanie.

– Przepraszam – zagadnęła – ale zobaczyłam pana na dworze.

– Tak, jestem na dworze przez większość czasu – odparł z uśmiechem.

– Ogród wygląda tak ładnie tam, gdzie pan poprzycinał, więc pomyślałam, że może zechciałby pan zerknąć również na nasze wyrosnięte krzaki.

Mężczyzna powiódł spojrzeniem po ogrodzie profesora.

– Wszystko jest zapuszczone – ciągnęła Agnes. – Drzewa też, jeśli już o to chodzi.

Ogródnik zdjął robocze rękawice i złożone razem przewiesił przez ogrodzenie. Na twarzy miał wyraz zadumy. Zdawało się, że waha, jakby nie wiedział, czy przyjąć tę ofertę.

– Chyba że nie ma pan czasu...

– Czas żyje własnym życiem – rzekł.

Agnes popatrzyła na niego osłupiała.

– Człowiek nie panuje nad czasem – dodał.

Pokręciła głową.

– Co się dzieje? – Ogródnik wyciągnął rękę, jakby się obawiał, że Agnes runie na płot. – Jest pani blada jak prześcieradło.

Agnes cofnęła się o parę kroków.

– Co pan powiedział?

– Że pani zbladła.

Odwróciła się i szybkim krokiem wróciła do domu.

Tyły domu Ohlera tonęły w mroku. Nie paliły się żadne lampy, a liczne wyrosnięte jabłonie skutecznie tłumiły wąty poblask z sąsiednich ogrodów. Jasno oświetlone były tylko dwa okna, lecz oba znajdowały się po drugiej stronie budynku.

Czekając, aż się ściemni, Karsten Haller kilka razy zmieniał zdanie. Podrywał się w swojej kryjówce, żeby opuścić posesję Lundquista i wrócić do siebie, a potem znowu siadał na odwróconym do góry dnem wiadrze, którego używał jako stołka. Pomysł był idiotyczny, Karsten to rozumiał, ale odkąd zakorzenił się w jego głowie, trudno mu było rozsądnie myśleć.

Czasami wzdrygał się przestraszony, gdy na ziemię z głuchym stuknięciem spadało jabłko. Poza tym panowała upiorna cisza. Umilkła nawet muzyka organowa u sąsiadów.

Wreszcie rozsunał zarośla, wśród których się ukrywał, i wyjrzał. W jeszcze jednym oknie zgasło światło. Zerknął na zegarek. Obydwoje, profesor i gosposia, z pewnością wcześniej kładli się do łóżek. Zorientował się już, że kobieta nie jest – jak początkowo sądził – pomocą na przychodne, tylko tam mieszka. Taki wniosek wyciągnął z ich wcześniejszego spotkania, kiedy przyszła zaproponować mu pracę u Ohlerów. Co go jednak zdumiało, to dziwna reakcja na jego słowa. Starsza pani wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

Już jakiś czas temu krążyła po domu i zaciągnęła zasłony w pokoju, który zapewne był biblioteką.

Jeszcze pół godziny, pomyślał Karsten, puszczając gałęzie. Czuł się bardzo zmęczony. I głodny. Ale od czasów Etoszy nawykł do czajenia się w oczekiwaniu właściwej chwili. Wypracował nawet swoistą metodę zapadania w psychiczne odrętwienie, z którego w razie potrzeby można było natychmiast wyjść. I właśnie teraz wykorzystywał tę umiejętność. Widział i słyszał, a jednocześnie odprężał się, odpoczywając.

Co zamierzał osiągnąć przez tę wyprawę? Raz za razem zadawał sobie to pytanie, ale nie potrafił podać żadnej kompletnej i

jednoznacznej odpowiedzi. Bardzo chciał zobaczyć otoczenie, dom, w którym służyła jego matka i który zmienił jej życie na zawsze, a wskutek tego miał wpływ również na jego życie, ale ciekawość nie mogła być dostatecznym powodem, by włamywać się do cudzej rezydencji.

Karsten podejrzewał istnienie głębszej przyczyny, myśli, której nie ośmielał się wypowiedzieć na głos, a nawet ogólnikowo wyrazić pełnym zdaniem. „Krzywda” – wreszcie udało mu się w jednym słowie ująć mętłą motywację swoich ukradkowych nocnych poczynań. Na razie wiedział, jak postępować. A z chwilą, gdy znajdzie się w środku, będzie musiał zdecydować, co dalej.

Kiedy minęło pół godziny, wstał, wziął szczypce do cięcia prętów, wynurzył się z zarośli i szybkim krokiem ruszył w stronę ogrodzenia. Postanowił wtargnąć na teren Ohlera przez posesję wielbiciela muzyki organowej. Było to ryzykowne posunięcie. Znajdzie się – co prawda krótko, ale jednak – na otwartej przestrzeni, gdzie tylko krzaki porzeczek mogły mu służyć za częściową osłonę.

Jeszcze czekał, lecz panowała cisza, tylko gdzieś w oddali zaszczekały psy. Karsten sprawnie pokonał ogrodzenie i przyczaił się za krzakiem, a potem przebiegł kilka metrów i przez żywopłot przecisnął się do ogrodu profesora.

Odetchnął. Minęło parę chwil. Miał podrapaną twarz. Ranki piekły i trochę krwawiły, ale się nimi nie przejmował. Był do tego przyzwyczajony.

Od domu dzieliło go mniej więcej dziesięć metrów. Mógł je pokonać w głębokich ciemnościach, oprócz jednego miejsca, gdzie z ulicy padała wąska smuga słabego światła. Pozwolił uspokoić się sercu, po czym ruszył biegiem.

Po chwili, przyciśnięty do ściany, ostrożnie przesuwając się w stronę piwnicznego wejścia, które obrał sobie za cel. Było zbudowane według klasycznego starego wzoru z dwójgim drzwiami. Zapewne dawniej wrzucano tędy drewno i węgiel. W poprzek tkwił żelazny pręt zabezpieczony kłódką. Przecięcie jej solidnymi szczypcami zajęło ledwie chwilę. Karsten schował narzędzie do kieszeni, uniósł pręt, otworzył drzwi i wślizgnął się do środka.

W dół prowadziły wąskie, strome schody. Nadstawił uszu, ale

niczego nie usłyszał, więc zapalił latarkę, którą przykrył kawałkiem materiału, żeby rzucała wąski snop światła. Wzdłuż schodów biegła pochylnia potwierdzająca, że rzeczywiście wrzucano tędy opał.

Drzwi do piwnicy nie były zamknięte na klucz. Kiedy Karsten je otworzył, w nozdrza uderzył go zapach farby. Przez chwilę pozwalał światłu igrać na podłodze i ścianach, a następnie ściągnął szmatkę z latarki, żeby wyrobić sobie pojęcie o wyglądzie pomieszczenia. Pod ścianą piętrzyła się sterta puszek farby, której woń wyczuwał.

W głąb piwnicy prowadził korytarzyk. Po obu jego stronach znajdowały się otwory wejściowe. Karsten minął komórkę, którą całkowicie wypełniał stary piec olejowy. Następna była przestronna pralnia z wielką przestarzałą półautomatyczną pralką, kilkoma baliami z nierdzewnej stali i suszarką w typie wirówki, jaką pamiętał z czasów dzieciństwa. Pralni z pewnością nie używano od wielu lat.

Bez trudu wyobraził sobie matkę taszczącą pranie tym korytarzem. Zawsze była szczupła, ale silna i wytrzymała.

Dalej mieścił się składzik na stare ogrodowe meble i inne graty, a na końcu korytarza były kolejne drzwi. Karsten otworzył je. Powitał go widok złożony z mebli, stosów pudeł, starych kufrów i wielu innych rzeczy. Z sufitu zwisały żyrandole i pokrowce na garnitury. A po przeciwległej stronie pomieszczenia kolejne schody wiodły w górę, do domu.

Rozejrzał się i zorientował się, że ma szczęście. Wszystkie okna pokrywała czarna farba. Mógł zapalić lampę bez obaw, że ktoś z zewnątrz to dostrzeże. Włącznik prawdopodobnie znajdował się u szczytu schodów. Karsten wspiał się na nie i po chwili piwnicę zalało zimne białe światło.

To tutaj w 1944 roku jego matkę poddano aborcji.

Był tego pewien, bo w swoich dziennikach mama opisała rury na suficie nad miejscem, w którym wszystko się stało – gwałt, poczęcie, a potem usunięcie dziesięcioletniego płodu. Dwie rury miały biec równolegle wzdłuż całej dłuższej ściany, a łóżko stało tam, gdzie jedna z rur nagle skręcała.

Wszystko się zgadzało. Może nawet stojące w pomieszczeniu stare łóżko było tym samym meblem? Solidne, z jakiegoś ciemnego drewna.

Gwałtu dopuścił się Bertram von Ohler, ale aborcji dokonał jego ojciec, sławny ginekolog Carl von Ohler. Syn asystował mu przy operacji.

Dwa dni później Anna Andersson skończyła dwadzieścia lat.

Karsten Haller zszedł na dół i ciężko usiadł na najniższym schodku. Płakał.

Czy właśnie to chciał zobaczyć? Czy ta piwnica podświadomie była jego celem?

Nagle rozległy się kroki, których dźwięk dobiegał z głębi domu. Poderwawszy się błyskawicznie, ogrodnik pokonał kilka stopni, ale uświadomił sobie, że w żaden sposób nie zdąży na górę, aby zgasić światło. Kroki było słychać coraz wyraźniej. Zbiegł więc z powrotem do piwnicy i rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Ledwie zdążył zniknąć za wiszącymi pokrowcami, kiedy otworzyły się drzwi.

Usiłował spokojnie oddychać. Pachniało naftaliną. Niechcący potrącił jeden z pokrowców, który teraz kołysał się powoli na swoim haczyku. Karsten wyciągnął rękę, żeby zatrzymać ten ruch.

Od strony schodów dały się słyszeć ostrożne kroki. Przez szparę między pokrowcami zobaczył najpierw nogi, potem tułów, a wreszcie twarz profesora von Ohlera. Rozpoznał go dzięki fotografii w gazecie. Napięta mina noblisty świadczyła, że schody stanowią dla niego pewien problem.

Dokąd profesor zamierza iść? Co tutaj robi po dziesiątej wieczorem? Schodzenie do piwnicy o tak późnej porze nie wydawało się normalne. Haller znowu zerknął na Ohlera. Dzieliło ich siedem, może osiem metrów. Gdyby profesor skręcił za masywnymi krzesłami z jadalni, które stały na prawo od Karstena, istniało duże ryzyko, że intruz zostanie odkryty. Wąskie przejście otoczone chwiejnym stosem pudeł prowadziło prosto do jego kryjówki.

Starzec włókł się noga za nogą, cały czas czegoś się przytrzymując i gniewnie mamrocząc. Był coraz bliżej Karstena. Obok krzesła skręcił i tym samym znalazł się w przejściu. Haller wstrzymał oddech. Co teraz powinien zrobić? Uciszyć Ohlera i uciec? Miał nad nim przewagę: element zaskoczenia. Wprawdzie piwnica była jasno oświetlona, ale gdyby szybko wybiegł – tą samą drogą, którą przyszedł – profesor może

nawet nie zdążyłby sobie uświadomić, co się dzieje, a tym bardziej nabrać wyobrażenia o wyglądzie uciekiniera.

Tak, rzuci się naprzód, wpadnie na starego, żeby przewrócić się o pudła, i weźmie nogi za pas.

Nagle Ohler zatrzymał się. Karsten usłyszał grzechotanie metalu o metal. Profesor znów coś wymamrotał i powlókł się z powrotem w stronę schodów. Droga na górę zajęła mu ponad minutę. Haller widział, jak odpoczywa po pokonaniu każdego stopnia; słyszał jego sapanie.

Wreszcie światło zgasło, a potem drzwi prowadzące do domu zostały zatrzaśnięte. Karsten odetchnął z ulgą. Serce biło mu już trochę spokojniej. Pachy i dłonie miał mokre od potu. Poczucie niereczywistości sprawiło, że ciężko usiadł na skrzyni. Jeszcze przed chwilą znajdował się nie dalej niż o dwa metry od prześladowcy swojej matki, od gwałciciela, człowieka, który nielegalnie usunął jej ciążę.

Co stary robił w piwnicy? Sprawa wyglądała podejrzanie. Ten szczeń metalu mógł oznaczać tylko jedno: profesor coś schował, jakiś metalowy przedmiot, najprawdopodobniej mały.

Karsten odczekał dziesięć minut, prześlizgnął się na górę i zapaliwszy światło, ruszył śladem Ohlera. Skręcił obok krzesel i rozglądając się za wyjaśnieniem zagadki, wszedł do wąskiego przesmyka między kartonami.

Odpowiedź znalazł w pudle z uchylonym skrzydełkiem. Na dnie starej puszeki po kawie leżały trzy klucze zawieszane na jednym kółku: duży i dwa mniejsze.

Od razu wiedział, jakie jest ich przeznaczenie. Sejf Hauptmanna. Podobny zestaw kluczy widywał w biurze stryja Helmutha w Windhoek. Hauptmann był jednym z najbardziej znanych producentów sejfów w okresie międzywojennym, a stryj uważał, że również najbardziej godnym zaufania. Karsten rozpoznał literę H tworzącą krzywkę klucza.

Zdaniem stryja był to niezawodny sejf z potrójnym mechanizmem blokującym, wykonany z najlepszej stali Kruppa.

Haller wyłowił z puszeki klucze i zważył je w dłoni. Uśmiechnął się. Stryju Helmucie, pomyślał, ty i twój sejf, którego zawartości tak trwożnie strzegłeś. Stary rewolwer, zwitek południowoafrykańskich randów i jeszcze grubsza paczka amerykańskich dolarów, rodzinne

fotografie z Niemiec i sterta zdjęć pornograficznych. Myślałeś, że nikt nie ma pojęcia, że jesteś dość bogaty i mimo rasistowskiego gadania żywisz słabość do czarnoskórych chłopców?

Jednak twój bratanek wykombinował, gdzie znaleźć klucz. I pewnego dnia, kiedy przebywałeś na farmie w Bero, otworzył sejf, aby sprawdzić, co też stryj Helmuth tak skrzętnie ukrywa przed rodziną.

Karsten zaśmiał się w duchu. Już wiedział, jak może zranić Ohlera. Człowiek, który mimo zadyszki i ledwie powłócząc nogami, gramoli się do piwnicy o wpół do jedenastej w nocy (zupełnie jak stryj Helmuth), trzyma pod kluczem ważne rzeczy, może jakieś tajemnice. W przypadku starego zapewne nie są to zdjęcia pedofilskie ani broń, tylko jakieś cenne dokumenty, ewentualnie pieniądze.

Gdzie jest ten sejf? Czy należy wejść na górę, do domu i rozpocząć poszukiwania? Karsten wbił wzrok w klucze, które leżały na jego roboczej rękawicy. Myszkować po cudzych piwnicach to jedno, ale zakraść się do domu to już zupełnie inna rzecz. Taka wyprawa wymaga staranniejszych przygotowań. Rękawiczek o większej elastyczności, lżejszego obuwia, mniejszej latarki i niedużej torby, na wypadek znalezienia czegoś ciekawego do zabrania.

Ostatni raz spojrzął w górę na rury biegnące po suficie i ostrożnie odłożył klucze do puszki. Z ogrodnika przekształcił się we włamywacza. Ta myśl wprowadziła go w radosne podniecenie.

Urzędnik był zakłopotany. To się rzucało w oczy, ale Sammy'ego Nilssona nie usposobiło ani trochę życzliwiej.

– Wypowiedzieliście umowę, ponieważ Sigvardsson okazał się „nierozważny”?

– Mógłby pan nieco złagodzić ton?

– Złagodzić ton? Jasne! Więc nie ma tu żadnego zaniedbania, tak? Nie w przypadku tych waszych wspaniałych kont, o nie. Ile pieniędzy sprzeniewierzyliście dzięki tak zwanym dobrym radom? Ile ta stara wiedźma z zarządu wyciągnęła dla siebie w różnych bonusach?

Emanuel Roos miał może dwadzieścia pięć lat. Rzecz jasna, spotykał już niezadowolonych klientów, czasem wręcz rozgniewanych, ale nigdy dotąd nie stał twarzą w twarz z wściekłym policjantem, który dosłownie zionął pogardą.

– Może Sigvardsson przeczytał o tym w lokalnym szmatławcu, zanim zastrzelił żonę i siebie. Słyszał pan o stresie finansowym?

Roos skwapliwie pokiwał głową, rad, że na jakieś pytanie może odpowiedzieć twierdząco.

– Więc na pewno pan wie, że w taki stan człowiek popada, kiedy nie ma pieniędzy, nie ma pracy, a jednocześnie bank cofa mu wszystkie kredyty. Sądzi pan, że stres zmniejszy się na wieść, że ten sam bank w ramach premii obsypuje swoich dyrektorów milionami koron?

Tym razem młody człowiek musiał pokręcić przecząco głową.

– I pan się z tym godzi – zakończył Sammy Nilsson z pogardą w głosie.

– Niewiele mogę zrobić – tłumaczył się Roos.

– Lepiej by było, gdyby pan robił jak najmniej!

– Nie mogę w ogóle...

– To pański podpis – wysyczał Nilsson, machając kartką papieru.

– Musimy stosować się do przepisów.

Policjant przeszył urzędnika spojrzeniem pełnym odrazy, po czym odwrócił się na pięcie i pośpiesznie opuścił budynek. Ann Lindell, która, korzystając z okazji, załatwiała coś w mieście, dotarła do banku w samą

porę, by usłyszeć ostatnią wymianę zdań. Wzięła głęboki oddech, westchnęła i również wyszła. Sammy czekał na nią na chodniku.

Nie musiała nic mówić ani o nic pytać, żeby zrozumieć, o co chodzi – w drodze na rozmowę z Roosem Nilsson wygłosił cały wykład. Lepiej się nie odzywać, pomyślała i podążyła za kolegą.

Czasem Sammy kompletnie tracił głowę, jakby wysadzało mu bezpieczniki, i wtedy naprawdę trudno było go uspokoić. Przypomniała sobie śledztwo sprzed paru lat. Pewna rodzina z Bangladeszu spłonęła w swoim domu w Svartbacken, a Nilsson wpadł w szał, zapoznawszy się z ich środowiskiem i warunkami pracy w fabrykach włókienniczych. Kobieta, która zginęła, aktywnie działała w związku zawodowym i właśnie dlatego uciekła z ojczystego kraju, by w Szwecji paść ofiarą rasisty podpalacza. Sammy był tak nakręcony, że Ottosson musiał w końcu położyć kres jego wykładom o koszmarnym losie imigrantów i pouczyć go, że agresywne nastawienie wobec przesłuchiwanym nie przystoi policjantowi prowadzącemu śledztwo.

Ann wsiadła do auta. Nilsson tkwił nieruchomo z rękami opartymi na kierownicy. Podzielała jego oburzenie, ale uważała, że wyładowywanie złości na szeregowych urzędnikach nie ma sensu. Pewnie i tak doszłoby do tragedii. Może list z banku okazał się kamykiem, który uruchomił lawinę, sprawiając, że skądinąd rozsądny właściciel warsztatu sięgnął po sztucer. Nie chodziło przecież o ogromne kwoty. Kto inny, mniej rozchwiany psychicznie, próbowałby znaleźć jakieś rozwiązanie. Ale dla Bo Lennarta Sigvardssona to była kropla przepełniająca czarę.

– Jedziemy? – zapytała w końcu Lindell.

Sammy odpalił silnik.

– Przepraszam – rzucił.

– W porządku – odparła.

– Czasami mnie ponosi.

– Wiem. Dlatego cię lubię.

Spojrzał na nią z lekkim uśmiechem i wrzucił bieg. Samochód ruszył.

– Możesz mnie podwieźć do domu – powiedziała Ann. – Dzisiaj Anders odbiera Erika.

– Dobrze się wam układa?

Zrozumiała, że chodzi mu o jej związek z Andersem Brantem. Przed kilkoma miesiącami Sammy śledził cały dramat z bliska: powrót Andersa z Brazylii i śledztwo w sprawie dwóch morderstw, w które był pośrednio zamieszany. To Nilsson ją wspierał, kiedy odkryła niewierność Branta i wszystko się rozleciało.

– Anders pomału wychodzi na prostą – odparła.

– Z taką raną od noża nie ma żartów – powiedział. – Trzeba sporo czasu, żeby odzyskać formę.

– To również kwestia głowy – stwierdziła Lindell. – Za dużo rozpamiętywania. On się tego wstydzi i stara się być weselszy. Ale jedyną osobą, która potrafi go naprawdę rozruszać, jest Erik. Powinieneś to zobaczyć!

Sammy uśmiechnął się. Lindell również – szczęśliwa, że wreszcie może wrócić do domu i że jej partner jest nie tylko dobrym kolegą, ale także prawdziwym przyjacielem.

Wysiadła pod swoim budynkiem. Nowe mieszkanie odpowiadało jej znacznie bardziej niż poprzednie. Było wygodne i miała stąd wszędzie blisko. Inaczej niż dawniej, mogła wyskoczyć gdzieś na kieliszek wina, pozwolić sobie na kino albo posłuchać muzyki w Hijazz czy w Pubie 19. A chociaż nie robiła tego zbyt często, sama świadomość, że ma taką możliwość, czyniła życie lżejszym i radośniejszym.

Zanim poszła do domu, w pobliskim sklepiku kupiła gazetę i trochę cukierków. Ten coraz większy apetyt na słodczyce zaczynał ją niepokoić. Odkąd zamieszkała z Andersem, jadła znacznie lepiej i, niestety, znacznie więcej. Dogadzali sobie dobrymi serami i całą masą innych smakołyków, które przecież musiały gdzieś się pomieścić. Anders mógł pochłonąć każdą ilość bez żadnych konsekwencji, ale ona wyraźnie przybrała na wadze.

Została powitana przez pełnego entuzjazmu chłopca i nieco bardziej powściągliwego mężczyznę. Erik jak zwykle miał mnóstwo do powiedzenia. Dosłownie zasypał ją informacjami o wszystkim, co się działo od momentu, gdy rozstali się tego ranka. Mówił głównie o liczbach i o rozmaitych kwestiach związanych z rachunkami. Od

jakiegoś czasu – co dla Ann było równie niespodziewane, jak i niewytłumaczalnie – Erik przejawiał coraz większą pasję do liczb i w ogóle do matematyki.

Mimo zmęczenia nie mogła się nie uśmiechnąć na widok zapału syna. Siedziała przy kuchennym stole, za jej plecami Anders szykował obiad, a po drugiej stronie stołu Erik w szaleńczym tempie dodawał i odejmował, dzielił i mnożył. Przed sobą miał blok papieru milimetrowego, w ręku ołówek. Może to ojciec, którego chłopiec nigdy nie poznał, przekazał mu matematyczny gen, pomyślała Ann. Był inżynierem, a w każdym razie tak jej powiedział, kiedy spotkali się ten jeden jedyny raz.

Erikowi nie zamykały się usta. Nie musiała mówić nic oprócz „fajnie” na zmianę z „och, naprawdę?” Była ciekawa, jak Anders znosi te potoki słów; on, który zawsze utrzymywał, że człowiek ma prawo do ciszy.

– Co to będzie? – zdołała spytać Andersa, kiedy synek zamilkł na parę sekund.

– Eksperyment – odparł. – Tureckie danie z mieloną wołowiną.

– Gołąbki?

– Coś w tym stylu – powiedział, odwracając się. – Ale nie takie jak u mamy.

– Pycha! – Ann uśmiechnęła się do niego, chociaż poczuła ukłucie irytacji, że przypomniał jej o matce.

Na myśl o rodzicach poczuła wyrzuty sumienia. Już od ponad roku nie była w Ödeshög. Matka telefonowała do niej raz w tygodniu (Ann dzwoniła znacznie rzadziej) i zawsze miała na podorędziu trzy dyżurne tematy: pogarszający się stan ojca, obojętność córki i choroby oraz zgony w kurczącym się kręgu ich znajomych.

Ann nie cierpiała swoich rodziców. A teraz właściwie tylko matki, bo ojciec od dawna miał demencję i jej negatywne emocje wobec niego wygasły. Sama nie rozumiała do końca, dlaczego rodzice budzili w niej niechęć, czasami wręcz nienawiść. Nie miała dzieciństwa trudniejszego niż wielu innych, a uciekła z Ödeshög natychmiast, gdy tylko mogła.

Może to brak radości? Matka zawsze zachowywała się tak, jakby pozytywne myślenie i miłe wspomnienia były zakazane, wręcz

nieprzyzwoite. We wszystkim potrafiła znaleźć coś negatywnego. Ann zdawała sobie sprawę, że nie jest jej łatwo. Opieka nad zniedołężniałym starcem to nie bajka, nawet jeśli tata nie zrobił się agresywny, jak wiele osób z demencją. Ale przecież takie nastawienie do życia miała już wcześniej, zanim ojciec zachorował i pomieszało mu się w głowie.

Drugim, może nawet ważniejszym powodem jej niechęci i oporu przed odwiedzeniem rodziców było to, że Ann rozpoznawała w matce samą siebie. Nie lubiła się do tego przyznawać, ale ona też przejawiała skłonność do przygnębienia i pesymizmu; dziedziczny defekt, bez którego chętnie by się obeszała.

Robiła, co mogła, by zwalczyć tę cechę. Pilnowała się, zwracała uwagę na oznaki nadchodzącej melancholii i destrukcyjnych nastrojów. Zmagania wciąż trwały, ale po raz pierwszy od lat czuła, że osiąga w tym meczu wyraźną przewagę. Erik, choć jeszcze bardzo mały, stanowił dla niej ogromne wsparcie. Bez syna nie zdołałaby przetrwać trudnych czasów. A teraz jest jeszcze Anders, który ją kocha. Chciała w to wierzyć, chciała wierzyć w jego spokojne zapewnienia.

Może to właśnie ona potrafi przepędzać jego zmory? Myślała tak, gdy bezsilny, udręczony wyraz twarzy, jaki miał od chwili powrotu, ustępował miejsca uśmiechowi, który czynił Andersa pięknym, czarującym, ożywionym.

Bo Anders Brant potrafił być ożywiony – gdy się kochali albo gdy dyskutował o sytuacji na świecie.

Otrząsnęła się z tych myśli. Erik skończył już swoje rachunki i wyszedł z kuchni – nawet nie zauważyła kiedy – więc opowiedziała Andersowi o profesorze nobliście. Podkreślając elementy komiczne, odmalowała obraz kilku zacisznych uliczek w Kåbo, gdzie wszyscy mieszkańcy zdają się czyhać jedni na drugich.

Anders usiadł naprzeciwko niej. Przyciągnęła do siebie jego rękę i zdjęła mu z nadgarstka przyklejoną łupinkę cebuli.

– Bardzo cię lubię – powiedziała, patrząc mu w oczy.

Uśmiechnął się i przybrał tę swoją zakłopotaną minę. Nie oderwała spojrzenia od jego twarzy, nie pozwoliła mu uciec wzrokiem. Czuła się silna.

– Lubię cię – powtórzyła. Powiedz, że mnie kochasz, pomyślała.

Nie odezwał się, tylko przełknął ślinę. Teraz czuła się słaba.

– Gołąbki – powiedział Anders, podnosząc się od stołu.

Chłód rozpląnął się po całym jej ciele, lodowaty ziąb niepewności, która bezlitośnie wyparła radość i nadzieję.

Wtedy Anders, zamiast wstawić naczynie z gołąbkami do piekarnika, wtulił twarz we włosy Ann i wziął ją w ramiona.

Wymamrotał przy tym coś, czego nie zrozumiała. Ale to było bez znaczenia.

Liisa Lehtonen i Birgitta von Ohler znów wzięły się do pracy. Agnes musiała przyznać, że kładzenie tapet idzie im całkiem nieźle. Hol z każdą minutą wyglądał coraz bardziej zachęcająco. Profesor wymamrotał coś, czego nie dało się zrozumieć, i zniknął w swoim gabinecie. Kobiety uznały to za wyraz aprobaty.

Liisa była typem przywódcy, lubiła wydawać rozkazy i uważała za rzecz oczywistą, że jej opinie powinny zwyciężać jako bezsporne. Z tą cechą charakteru Agnes miała wielki problem. Prawdę mówiąc, przywykła do zachowań Ohlera, ale uważała, że wygląda jakoś niestosownie, kiedy kobieta w tak oczywisty, niemal fizyczny sposób przejmuje inicjatywę i nie odpuszcza.

Ale jeszcze bardziej irytowała Agnes całkowita uległość Birgitty wobec partnerki. Córka profesora, która w innych przypadkach potrafiła bronić swego, zachowywała się po prostu jak ciepłe kluchy. Z jakiego powodu, tego gospodyni nie rozumiała. Finka nie robiła wrażenia takiej strasznej. Poza tym znajdowały się w domu Ohlerów, więc powinna okazywać trochę więcej szacunku, pomyślała Agnes.

Usiadła na krześle i słuchała jednym uchem, jak Birgitta i Liisa rozważają, czy nie należałoby poprzestawiać mebli w holu. Była zmęczona. Miała za sobą ciężką noc. Dokuczały jej bóle w biodrze, a myśli o ogrodniku krążyły po głowie niczym niespokojne nocne ptaki. Jego słowa na temat czasu – że żyje własnym życiem i człowiek nad nim nie panuje – autentycznie ją wstrząsnęły. Minęło ponad sześćdziesiąt lat, odkąd Agnes słyszała je po raz ostatni. To było powiedzonko Anny. Często go używała, żeby podkreślić, jak niewiele ludzie mogą. Przynajmniej Agnes w ten sposób to rozumiała: ludzie nie panują nad swoim losem.

Kiedyś do ojca dotarło, co Anna mówi, i rozgniewał się. Dla niego takie filozofowanie zasługiwało na naganę. Nad wszystkim panuje Bóg, także nad czasem, więc czas nie żyje własnym życiem. Może właśnie z powodu gniewu Arona Agnes na zawsze zapamiętała powiedzenie siostry. Nie wiedziała, od kogo Anna je przejęła. Może od Violi, która

zawsze miała na podorędziu mnóstwo porzekadeł? Albo od Viktora?

Niewykluczone, że ogrodnik użył tego osobliwego wyrażenia przypadkowo. Ale Agnes nie wierzyła w przypadki. Albo mężczyzna pochodził z Roslagen czy nawet z Gräsö, albo powiedzonko było popularniejsze, niż sądziła. Przecież snucie rozważań na temat czasu to bardzo ludzka cecha.

W każdym razie Agnes czuła się nieswojo. Czy ten niepokój wywołało wspomnienie wzburzonego ojca, czy raczej własnego strachu przed jego gniewem i gniewem Boga? Za jej dzieciństwa Aron Andersson często grzmiał, zwłaszcza na temat przeniewierstwa Anny i tego, jak opuszczając von Ohlerów, ściągnęła hańbę na rodzinny dom.

Myśli o Annie pojawiały się i znikwały. Niepewność co do losu najstarszej siostry była trudna do zniesienia. Agnes nigdy nie rozmawiała z Gretą ani o Annie, ani o tym, że przez ponad pół wieku nie miały od niej żadnych wieści. Co się z nią stało? Czy jeszcze żyje?

A może powinna jeszcze raz pójść do ogrodnika i spytać go wprost, czy pochodzi z Gräsö? Nie, to byłaby impertynencja. Lepiej zbadać sprawę za pośrednictwem docenta Johanssona. Agnes знаła go i darzyła ogromnym szacunkiem. „To człowiek prawy”, powiedziałby ojciec. Tak, docent Johansson właściwie zrozumie jej pytanie, nie jako oznakę wścibstwa czy chęci wtykania nosa w cudze sprawy.

– Co o tym myślisz, Agnes? – przerwała jej rozważania Liisa Lehtonen.

Finka stała obok starej komody i mierzyła rękami jej szerokość.

– Będzie dobrze – odparła gospodyni.

– Ty decydujesz.

– Chyba muszę iść do apteki – oznajmiła Agnes, dźwigając się z krzesła.

Birgitta popatrzyła na nią pytająco.

– Recepta profesora – wyjaśniła gospodyni. – I potrzebuję tabletek przeciwbólowych.

– Boli cię biodro?

Tak, a co sobie myślisz, miała Agnes na końcu języka, ale tylko kiwnęła głową. Birgitta podeszła do niej. Była ubrana w żółty kitel, głowę obwiązała szalem.

Przybrała zatroskaną minę, ale Agnes podejrzewała, że panna von Ohler po prostu dostrzegła możliwość, by przerwać wywody Liisy na temat dekoracji wnętrz.

– Nie dokucza mi bardziej niż zwykle – powiedziała gospoia. – Nie ma się czym martwić.

– Chcesz, żebym cię zawiozła?

– Ależ skąd. Muszę jeszcze wpaść do Luthagen zamówić mięso.

– Możesz zatelefonować – odparła Birgitta.

– To nie to samo – upierała się Agnes. – Chcę porozmawiać z Janssonem osobiście.

W rzeczywistości chciała wyjść z domu, zaczerpnąć świeżego powietrza, otrząsnąć się z narastającego w ostatnich dniach uczucia skrepowania. Skoro profesor miał opiekę, postanowiła skorzystać z okazji i skraść kilka chwil dla siebie. Może przespaceruje się po mieście albo wypije filiżankę kawy w Landings?

Birgitta uśmiechnęła się. Pewnie, nie licząc Grety, jest jedyną osobą, której będzie mnie brakowało, pomyślała Agnes, ale mimo to nie potrafiła wzbudzić w sobie dawnej sympatii. Nawet wtedy, gdy Birgitta otoczyła ją ramieniem i ponownie zaproponowała, aby razem pojechały do miasta, bo to naprawdę żaden kłopot.

– Przygotowałam lunch – odparła Agnes. – Musisz go tylko podgrzać. Sałatka jest w lodówce.

Powiedziała to specjalnie, bo wiedziała, że córka profesora zawsze czuła lekkie zażenowanie, kiedy ją obsługiwano, zwłaszcza w obecności innych. Wolała prezentować się jako równa gospoia i czasem trochę przesadzała z uprzejmością.

Birgitta sprawiała wrażenie urażonej. Liisa Lehtonen nalegała, by wzięły się do pracy – trzeba było zmierzyć jeszcze to i owo – ale Agnes, zostawiwszy je obie, poszła na górę, żeby włożyć coś ciepłego i wziąć torebkę.

Od razu go zobaczyła. Grabił liście. Musiała się uśmiechnąć. Grabienie liści w wykonaniu docenta Johanssona było w sąsiedztwie legendarne. Kiedyś wytłumaczył jej, że liście są bardzo cenne, bo sprzyjają wzrastaniu roślin. Wierzyła mu. Jego ogród stanowił najlepszy dowód.

Kiedy podeszła bliżej, starszy pan wyprostował się. Agnes była pewna, że gdyby miał na głowie kapelusz, uchyliłby go.

– Spacerok? – zagaił.

Agnes przystanęła. Docent podszedł do płotu.

– Mam parę spraw do załatwienia w mieście – powiedziała gospoia. – I to przyjemne tak wyjść na trochę.

Przez chwilę gawędzili o tym i owym. Stwierdzili zgodnie, że trzęsienia ziemi to straszliwy kataklizm – dzień wcześniej gdzieś w Azji zginęły tysiące ludzi – natomiast starannie unikali jakiegokolwiek wzmianki o profesorze Ohlerze.

– Zastanawiałam się nad ogrodem – powiedziała Agnes, gdy oboje umilkli. – Zaczyna wyglądać naprawdę ponuro. Lundquist najął kogoś do pomocy. Nawet zamieniłam kilka słów z tym ogrodnikiem. Jak pan sądzi, czy można mu zaufać? Pan potrafi ocenić takie rzeczy.

– Uważam, że zdecydowanie tak – oświadczył Johansson. – Wygląda na rzetelnego.

– Wie pan, kim on jest? Wydał mi się jakiś znajomy.

– Nie – odparł docent. – Nigdy przedtem go nie spotkałem.

– Może pochodzi z wybrzeża?

– Nie mam pojęcia. Rozmawialiśmy tylko parę razy, ale odniosłem wrażenie, że zna się na swojej robocie.

– I jest pracowity – dodała Agnes, aby doprowadzić temat do końca i zamknąć go w pełnej harmonii, którą udawało im się osiągać za każdym razem, kiedy ze sobą gawędzili.

Johansson skinął głową i posłał swojej rozmówczyni ciepły uśmiech, po czym każde poszło w swoją stronę. Agnes skierowała się na Norbyvägen, skąd miała autobus do centrum.

Idąc, postanowiła, że jednak zapyta ogrodnika o wybrzeże. Ta decyzja ją ożywiła. Miniony tydzień obfitował w posępne myśli, ale też wiązał się z poczuciem narastania energii. Jakby dzięki przebudzeniu profesora z jego statycznej egzystencji Agnes również znalazła nowe sposoby podejścia do starych spraw. Jej – tak szokująca dla Ohlera – wzmianka o emeryturze nie była tylko luźną rzuconą uwagą, lecz oznaką, że uśpiona idea przybrała solidniejszą postać.

Teraz pomysł, by odejść z pracy i wrócić na wyspę, nie wydawał

się już Agnes całkiem nierealny. Gdyby po pięćdziesięciu pięciu latach opuściła dom Ohlerów, nikt nie mógłby jej oskarżyć, tak jak Anny, o przენiewierstwo, prawda?

Nadjechał autobus. Wsiadła i uśmiechnęła się do kierowcy. Był bardzo uprzejmy i zawsze czekał, żeby zajęła miejsce, nim znowu ruszał.

Agnes czuła się, jakby po latach ograniczeń jej myśli zostały uwolnione. Miała wrażenie, że jest w autobusie numer 811 w drodze do skał Wysokiej Anny. Wsiadzie, podziękuje kierowcy za tę ostatnią wspólną podróż i rozpocznie żmudną wędrówkę pod górę.

Wszystkie narzędzia były na miejscu. Tego dnia nie zamierzał przewozić więcej materiałów, więc mógł zostawić samochód u siebie. Wziął jednak rower, głównie dlatego, że parkowanie wieczorem koło domu Lundquista wydawało się kiepskim pomysłem. Sąsiedzi z pewnością by się zastanawiali, co ogrodnik tu robi o tak późnej porze.

Na wszelki wypadek odprowadził rower za dom i wepchnął między krzaki.

Teraz pozostało już tylko czekać, aż zapadnie zmrok. Karsten Haller siedział tam, gdzie poprzednio, w zaroślach, z których przycięciem jeszcze się wstrzymał. W kieszeniach miał latarkę, gumowe rękawiczki i czarny foliowy worek, a na nogach buty do biegania. Był gotowy. Uśmiechnął się do własnych myśli, zadowolony ze swojej inicjatywy.

Musiał się pośpieszyć, bo gdy Lundquist wróci za trzy dni, skończy się możliwość używania krzaków jako bazy do wypadów na teren wroga. Właśnie tak Karsten to postrzegał: wkraczanie do wrogiego kraju.

Poprzedniej nocy przeglądał dzienniki matki, żeby odświeżyć pamięć i umocnić się w swoim postanowieniu. Zamierzał włamać się po raz drugi, aby znaleźć sejf. Wiedziony nostalgią, chciał znowu taki sejf zobaczyć, ale przede wszystkim zbadać, co zawiera.

Brak konkretnego planu nie martwił Karstena. Uznał, że wszystko samo się poukłada: wtargnięcie do domu profesora zrodzi jakąś dynamikę i dalsze decyzje staną się oczywiste. Punkt wyjścia stanowiła „krzywda”. Albo „zemsta”, jeśli kto woli. To słowo nie było mu obce.

– Anno – szepnął – powinnaś mnie teraz widzieć.

Rozbawiła go myśl, że matka patrzy na niego z nieba. Nie był przekonany, czy odniosłaby się entuzjastycznie do jego zamiarów. Chyba nie. Raczej byłaby przerażona.

Zdawało mu się, że coś szeleści, więc odwrócił głowę. Utkwił wzrok w rowerze i pomyślał o ojcu. Ojciec nigdy nie zrobił prawa jazdy. Do fabryki mydła Barnängena w Alviku na przedmieściach Sztokholmu

zawsze jeździł rowerem. Przez wiele lat był tam odpowiedzialny za dwie staroświeckie maszyny, które wypluwały małe hotelowe mydełka.

Szelest powrócił. Karsten przypuszczał, że to kos. Uśmiechnął się do siebie. Kos i on, dwie postacie w późnowieczornym mroku.

Tuż po dziesiątej wstał, rozmasował zeszywniałe mięśnie ud i wyrzwał z zarośli. Wprawdzie świeciło się w większej liczbie okien niż poprzedniego wieczoru, ale odnosił wrażenie, że panuje taki sam spokój. Dzielnica Kåbo udała się na spoczynek.

Gdzieś w oddali zawarczał samochód, może aż na Norbyvägen. Błękitnawe światło z wieży docenta Johanssona rzucało widmową poświatę na sąsiedni dom i ogród z tyłu.

Może właśnie ono, to napięcie z Etoszy – Karsten nie potrafił znaleźć lepszego określenia – stanowi jego siłę napędową? Pozwala mu trwać w bezruchu, nasłuchiwać, węszyć na wietrze jak zwierzę, rozumieć, co się dzieje dookoła, cierpliwie przeczekiwać wszystko, co może być zagrożeniem lub przeszkodą. Pozwala być kimś, kto wie, czy uderzyć, czy się wycofać. Pozwala przeżyć. Karsten bezszelestnie rozsunął gałęzie, jeszcze raz się rozejrzał i ruszył biegiem.

Po kilku sekundach był już przy wejściu do piwnicy. Uchylił drzwi, wślizgnął się do środka i bezszelestnie zamknął je za sobą. A potem wziął głęboki oddech, żeby uwolnić się od napięcia.

Kiedy dotarł do ostatniego z piwnicznych pomieszczeń, pozwolił, by światło latarki przez chwilę igrało na meblach i innych przedmiotach, które tłoczyły się w nieładzie. Uświadomił sobie, że widzi tu rzeczy należące do kilku pokoleń. W większości były to stare, bezużyteczne graty, ale niektóre z pewnością miały wartość antyków. Karsten oparł się pokusie myszkowania – ongiś uwielbiał chodzić po targu na Windhoek Platz i wyszukiwać perły w morzu rupieci – i zamiast tego od razu zanurkował w przesmyk między stosami pudeł, żeby sprawdzić, czy klucze nadal tam są.

Natrafiwszy na ich metalowe kółko, wyszczerzył zęby w uśmiechu. A potem się zamyślił. Kiedy pierwszy raz wtargnął do piwnicy Ohlerów, można to było usprawiedliwić ciekawością, ale teraz miał przekroczyć granicę w sposób, jakiego nie da się już uznać za niewinną wizytę.

– Dobra, no i co z tego? – wymamrotał, usiłując przekonać sam

siebie, że góruje moralnie nad panem tego domu i włamanie to bagatela w porównaniu z przestępstwami, które zostały tu kiedyś popełnione.

Usiadł w starym fotelu, zgasił latarkę i przygotował się do czekania. Postanowił, że wyruszy na górę tuż po północy.

Było ciemno choć oko wykol, ale tym się nie martwił. Inni bali się mroku i widzieli w nim różne wyimaginowane niebezpieczeństwa, a dla niego głęboka noc stanowiła przede wszystkim osłonę.

Panna Elly nazywała go czasami kotem, bo potrafił płynnie poruszać się po ciemku. Uznawał to za komplement – i słusznie. Jedną z przyczyn, dla których go kochała, była właśnie ta umiejętność wtapiania się w mrok afrykańskiej nocy.

Snując myśli o Afryce, zapadł w sen, a kiedy ocknął się gwałtownie, przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Zapalił latarkę, spojrzął na zegarek i stwierdził, że spał prawie dwie godziny. Karsten wstał i ruszył na górę.

Dookoła panowała cisza, tylko schody leciutko skrzypiały. Z każdym krokiem czuł większe napięcie. Nagle przyszło mu do głowy, że może drzwi są zamknięte na klucz, więc odetchnął z ulgą, kiedy dały się bez trudu otworzyć. Zgasił latarkę, wyjrzał zza drzwi i zorientował się, że dostał się do domu przez wejście pod schodami.

W padającym z ulicy bladym świetle stopniowo wyłaniały się szczegóły wnętrza, które uznał za hol. Dopóki pozostawał na parterze, nie musiał się przejmować, że ktoś go przyłapie. Sypialnie na pewno znajdują się piętro wyżej. Stąpając ostrożnie, podszedł do pierwszych spośród czworga drzwi. Otworzył je i jego oczom ukazał się długi korytarz. Karsten uświadomił sobie, że dom von Ohlerów jest znacznie większy, niż mu się wydawało. Nie ośmielił się włączyć latarki w obawie, że mógłby to zauważyć ktoś z zewnątrz.

Po dziesięciu minutach odnalazł sejf Hauptmanna – wciśnięty w kąt pokoju za ostatnimi drzwiami w korytarzu. Środek obszernego pomieszczenia zajmował stół bilardowy. Przekonawszy się, że sejf to ten sam model co w biurze stryja, poczuł ukłucie podniecenia. Wyraźnie przypominał sobie cyfry 5 i 1 wytłoczone na firmowym logo, które zdobiło solidne drzwiczki.

Wyjął z kieszeni klucze. Pamiętał, w jakim porządku ich użyć:

najpierw średni z prawej strony, potem mały z lewej i wreszcie duży do zamka, który był ulokowany centralnie. Kiedy przekręcał ostatni klucz, rozległo się skrzypnięcie. Stryj Helmuth nie tolerowałby takich hałasów, pomyślał Karsten.

Bardzo powoli otworzył drzwiczki, uważając, by nie spowodować najmniejszego szelestu, po czym włączył latarkę i oświetlił wnętrze sejfu. Na najwyższej półce – tam, gdzie w sejfie stryja leżały zdjęcia czarnoskórych chłopców – piętrzyło się kilka teczek. Właśnie sięgał po tę na wierzchu, gdy nad jego głową rozległy się jakieś dźwięki. Zamarł i natychmiast zgasił latarkę.

Dobiegł go odgłos kroków. Haller zerknął w górę, bo miał uczucie, że cały sufit wibruje. Stąpanie stawało się coraz głośniejsze. Czyżby ktoś schodził na dół? Minęło pół minuty. Minuta. Karsten otarł dłonią spocone czoło. Woń gumowych rękawiczek przyprawiała go o mdłości. Nagle pożałował swojej eskapady.

I wtedy nadeszło uspokajające wyjaśnienie: szum spuszczonej wody, która przez parę sekund huczała w niewidocznej rurze. Stłumiwszy śmiech ulgi, Karsten ponownie włączył latarkę. Najwyraźniej jedno z ich dwojga, profesor albo jego gospodyni, ulżywszy pęcherzowi, wracało do łóżka.

Wsadził latarkę do ust, żeby mieć obie ręce wolne, i zdjął z półki wszystkie teczki. Położył je na stole bilardowym, znalazł sobie krzesło i usiadł.

Zawartość pierwszej teczki okazała się nieciekawa. Karsten szybko przejrzał papiery, częściowo pożółkłe ze starości, i stwierdził, że wszystkie dotyczą jakiegoś stowarzyszenia Braci Gregoriusa, o którym nigdy nie słyszał.

Cztery następne teczki były równie mało interesujące. Zawierały jakieś dokumenty szpitalne, akty przeniesienia tytułu własności, umowy i podobne papiery.

Już zaczynał tracić nadzieję na znalezienie czegoś ciekawszego, kiedy w szóstej i zarazem ostatniej teczce dostrzegł testament. Przesunął po nim wzrokiem i niemal natychmiast trafił na nazwisko panięnskie swojej matki. „Annie Andersson”, widniało jasno i wyraźnie. W tym momencie Karsten musiał odłożyć papiery.

Wyjął latarkę z ust, rozejrzał się i zauważywszy doniczkę ze smętym, zaniedbanym hibiskusem, wstał i wypluł do niej ślinę, która zebrała mu się w ustach.

Co miał o tym sądzić? Może chodziło o inną Annę Andersson? W końcu nie było to rzadkie nazwisko. Istniała tylko jedna metoda, żeby się dowiedzieć: czytać dalej, nie zważając, dokąd to prowadzi.

Odszukał interesujący go ustęp i wziął się do lektury. „Pannie Annie Andersson, która służyła w naszym domu w latach czterdziestych XX wieku, zapisuję 100 000 (sto tysięcy) koron”.

Uświadomił sobie ze zdziwieniem, że ma dziedziczyć po profesorze von Ohlerze, ale zdumiał się jeszcze bardziej, kiedy przeczytał dalszy ciąg: „Pannie Grecie Andersson zapisuję 200 000 (dwieście tysięcy) koron. Trzeciej z sióstr, pannie Agnes Andersson, której czas służby obecnie przekracza pięćdziesiąt lat, zapisuję 300 000 (trzysta tysięcy) koron”. I nie miała uwagi na zakończenie: „Gdybym przeżył jedną lub wszystkie panny Andersson, odpowiednie wyżej wymienione kwoty mają powrócić do majątku”.

Spadek nie był już taki pewny, lecz najbardziej zszokowało Hallera słowo „obecnie”. Oznaczało ono, że kobieta, którą widywał w tym domu przy pracy, jest właśnie Agnes Andersson, „trzecią z sióstr”. Innymi słowy, jego ciotką!

Sprawdził, kiedy testament został sporządzony, i stwierdził, że liczy zaledwie dwa dni.

Przez długi czas Karsten siedział, wpatrując się w przestrzeń. Różnych rzeczy mógł się spodziewać, ale nie tego. Został obdarowany rodziną.

Jeszcze raz przestudiował dokument i zorientował się, że kwoty zapisane siostrze Andersson stanowią zaledwie ułamek tego, co Ohler posiadał w nieruchomościach, papierach wartościowych i depozytach bankowych. Wszystko zostało wymienione w załącznikach do testamentu. Główną posiadłością spośród nieruchomości rolnych było gospodarstwo pod Eslöv, które od pierwszych lat dwudziestego wieku dzierżawiono tej samej rodzinie rolników. Bertram von Ohler zdecydował, że ma to obowiązywać również na przyszłość.

Ale w dokumencie wymieniono także inne farmy, w tym sześć we

wschodniej Smalandii i dwie w okolicy Bålsty.

Akcje rozkładały się między dwa tuziny szwedzkich firm. Największy pojedynczy zapis dotyczył stu osiemdziesięciu tysięcy akcji Alfa Laval, ale udziały w SKF, Handelsbanken, różnych fabrykach farmaceutycznych i spółkach leśnych także przedstawiały się imponująco. Szczególnie zdziwiła Karstena informacja o pięćdziesięcioprocentowej własności warsztatu samochodowego w Nybro, Bracia Johansson, Spawanie i Kucie.

Oszłamiający wykaz nazw i liczb. Pozycja za pozycją poświadczała finansową potęgę trudną do wyobrażenia. Nie była to przypadkowa wygrana na loterii, ale bogactwa gromadzone przez wiele lat, może nawet, jak podejrzewał Haller, przez stulecia.

Ogarnęło go przygnębienie, jakaś melancholia, czego kompletnie nie rozumiał. Nie chodziło po prostu o fakt, że – co dość niezwykle – matka została wymieniona w testamencie, lecz raczej o przytłaczający ciężar, który ten dokument sobą wyrażał. Zero litości, tylko czysta siła – tak Karsten go odbierał. Jak można się przeciwstawić takiemu bogactwu? Ono było niczym potężny granitowy głaz, oczywisty i niewzruszony. Jednym słowem, rodzina Ohlerów odniosła sukces. Przecistawianie się temu byłoby wyrazem czystej zawiści, niczego innego.

Zgarnął papiery, nie zważając, czy układa je we właściwym porządku, upchnął wszystkie w teczce i nonszalancko wrzucił ją na miejsce. Przykucnął, żeby sprawdzić, co znajduje się na innych półkach sejfu. Przez chwilę z roztargnieniem szperał w stercie papierów, które wyglądały na korespondencję. Ale pod spodem dostrzegł coś znanego mu z sejfu stryja: pieniądze. W pudełku po butach leżały paczki banknotów pięćsetkoronowych, spięte gumkami recepturkami. Sięgnął do pudełka i wyjął jedną.

Mówi się, że pieniądze nie śmierdzą, ale nie jest to całkowita prawda (przypomniawszy sobie historię o pewnym hotelu w San Francisco, gdzie prano i prasowano papierowe pieniądze gości) – gotówkę profesora czuć było brudem i stęchlizną. Pudełko zawierało kilkanaście paczek. Mała fortuna w pięćsetkoronówkach. Pewnie pół miliona, może nawet więcej.

Niewiele myśląc, włożył do kieszeni zwitek banknotów, podniósł się na nogi, ogłuszony całym tym bogactwem, a zwłaszcza treścią testamentu, i zamknął sejf.

Najwyraźniej sto tysięcy koron, które miała dostać Anna Andersson, to według Ohlera odpowiedni ekwiwalent za zrujnowane życie. Po gwałcie matka nigdy w pełni nie doszła do siebie. Przebaczenie nie wchodziło w grę, co Karsten zrozumiał, kiedy czytał jej dzienniki. Co prawda można wybaczyć nawet najokrutniejsze czyny, ale jej rana była tak głęboka, że nigdy się nie zagoiła. Annie odebrano zbyt wiele, nie tylko dziewictwo, lecz przede wszystkim wiarę w przyszłość. Zawsze, odkąd Karsten pamiętał, matce brakowało pewności siebie. Wiecznie się zamartwiała, czy sprawy potoczą się dobrze, czy ulotne szczęście się nie odwróci.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że źródłem jej obaw i lęków były wydarzenia, które rozegrały się w tej piwnicy w 1944 roku. Dawniej niezdecydowanie i nerwowość matki często go drażniły. Teraz gorzko tego żałował. Gdyby tylko wiedział!

Anna Andersson nigdy nie pogodziła się ze stratą dziecka, chociaż zostało poczęte w wyniku napaści. Trochę o tym pisała: „Miałam szansę na własne dziecko”. Jako nastolatek Karsten dowiedział się, że Anna nie jest jego biologiczną matką. Była to informacja wstrząsająca, a jednak nie wywołała jakiegoś straszliwego szoku. Chłopiec zawsze czuł się otoczony miłością i troską obojga rodziców, więc wiadomość nie zburzyła zaufania, jakim ich darzył. Jednocześnie powiedzieli mu, że Anna go adoptowała.

Kiedy po latach, czytając dziennik matki, trafił na słowa o „własnym dziecku”, rozgniewały go, ale stopniowo gniew minął. Karsten zrozumiał tęsknotę Annę i jej bezgraniczną rozpacz, że aborcja pozbawiła ją płodności. Poznanie prawdy tylko ugruntowało jego obraz matki jako osoby pełnej względów dla innych i kochającej. Nigdy nie usłyszał od niej nawet najmniejszej uwagi, która mogłaby sprawić, że poczułby się kimś drugoplanowym, „ekwiwalentem” rodzzonego dziecka.

Oparł głowę o sejf, lecz stal nie okazała się zimna. Wprost przeciwnie, paliła mu czoło.

Sto tysięcy koron za gwałt. Za dziewictwo służącej, za jej przyszłe

życie. I za spokój własnego sumienia.

Anna Andersson. Anna Haller. Zgwałcona, martwa i pogrzebana.

Ktoś wołał, budził go z letargu. To Panna Elly, towarzyszka jego życia, jak zwykle domagała się sprawiedliwości. Karsten uniósł głowę, popatrzył w górę, przewiercając spojrzeniem poplamiony sufit, i zakrzyczał razem z Panną Elly.

Ruszył przez dom niczym wojownik, zdecydowany wymierzyć sprawiedliwość, ale kiedy dotarł do holu, nagle przystanął. Przyszło mu do głowy, że zabicie profesora jest zbyt prostym rozwiązaniem. Chciał wywołać większe zniszczenia. Takie, by starzec umierał okryty hańbą i niesławą.

Może to myśl o świeżo odkrytej ciotce, albo nawet dwóch, sprawiła, że Karsten się uspokoił. One mogły uzupełnić historię życia Anny o lata dzieciństwa i wczesnej młodości, okresy, o których matka nigdy nie mówiła.

Powrót piwnicami na świeże powietrze nie zajął mu wiele czasu. Haller już się nie obawiał, że ktoś go zauważy – od Ohlera czy od sąsiadów. Jeśli nawet, to dobrze, pomyślał impulsywnie, bo to ja trzymam w ręku mocne karty.

Przeskoczył przez płot, zabrał swój rower, wyprowadził go na ulicę i zniknął z tego kwartału miasta.

Agnes z mieszanymi uczuciami przyjęła to, że Birgitta i Liisa Lehtonen postanowiły przenocować tutaj, w domu. Kiedy już skończyły tapetować, wypily parę butelek wina, a potem uznały, że będą kontynuować remont nazajutrz.

Bałagan, kurz i śmieci, którymi trzeba się będzie zająć – takie myśli towarzyszyły Agnes wczorajszego wieczoru. Ale teraz obecność przy śniadaniu jeszcze dwóch kobiet podziałała na nią odświeżająco. W dodatku Finka była w wyjątkowo pogodnym nastroju i zabawiała je anegdotami z czasów, kiedy aktywnie uprawiała strzelectwo sportowe.

Profesor zjadł śniadanie w jadalni, a potem zaszył się w swoim gabinecie.

– Słyszałaś to zamieszanie w nocy? – zapytała Birgitta, zwracając się do Agnes. – To ty wtedy wstawiałaś?

Gospoia uświadomiła sobie, że córka profesora właśnie dostrzegła okazję, aby odświeżyć te swoje dziwaczne teorie o śnie, pozycji planet i wewnętrznej harmonii. Zaprzeczyła więc, jakoby wstawiała w nocy z łóżka.

– Zazwyczaj śpię jak pies – powiedziała. – Wiesz o tym.

– Potem ktoś krzyczał – dodała Birgitta. – Pewnie to tacie śnił się jakiś koszmar.

Agnes również słyszała krzyk, ale była przekonana, że to nie profesor. Dźwięki dobiegały gdzieś z parteru. Uznawszy, że zapewne Birgitta i Liisa się pokłóciły, wkrótce ponownie zasnęła.

– Może to był duch? – zasugerowała Liisa. – W tym domu dzieją się dziwne rzeczy. I prawdopodobnie zawsze się działy. Jak się nazywał ten szofer, który pracował tu przed laty? Ten, którego spotkałyśmy w zeszłym roku?

– Nie pamiętam – odparła Birgitta.

– Daj spokój, jasne, że pamiętasz!

Birgitta pokręciła głową.

– Jak mu było? Coś krótkiego, jak Malm albo Berg. – Liisa nie dawała za wygraną. – Może zapytamy Bertrama? Na pewno będzie

pamiętał.

– Wiik – powiedziała Birgitta.

– O właśnie! – zawołała Liisa. – Twierdził, że można usłyszeć, jak w piwnicy coś jęczy i wzdycha.

Agnes dostrzegła, że Birgitta robi się coraz bardziej zniecierpliwiona.

– Co to było? – zapytała ją.

– Ten szofer pracował u nas, zanim ty się pojawiłaś – odparła córka profesora. – A gdy go spotkałyśmy, był już bardzo stary i kompletnie zramolały.

– Mnie wydał się całkiem sensowny – stwierdziła Liisa. – Mówił, że w tym domu działały się okropne rzeczy.

– Głupie gadanie – mruknęła Birgitta. Na jej twarzy pojawił się wyraz irytacji.

– Kiedy to było? – zapytała Agnes.

– Podczas wojny – powiedziała Liisa. – Mówił, że stary Ohler wyrzucił go z pracy, bo wiedział o rzeczach, o których...

– Przestań już! – krzyknęła nagle Birgitta. – Nie chcę słuchać jakichś starych, bzdurnych plotek. Wystarczą mi te wszystkie nowe.

– O co ci chodzi? – Głos Liisy zabrzmiał nieoczekiwanie twardo.

Agnes czuła, że miła rozmowa przy kuchennym stole przerodzi się za chwilę w burzliwą kłótnię. Już nieraz tego doświadczała.

Ale tym razem Birgitta nie zareagowała w typowy dla niej gwałtowny sposób, tylko ukryła twarz w dłoniach, a Liisa wymamrotała coś, co można było uznać za przeprosiny.

Agnes przyglądała i przysłuchiwała się im z coraz większym zdziwieniem. Nigdy nie słyszała o żadnym Wiiku pracującym w domu Ohlerów. Czegokolwiek dotyczyła cała ta historia i czy była prawdziwa, czy nieprawdziwa, wszystko musiało zostać zakopane naprawdę głęboko. Plotki zazwyczaj powstawały i krążyły wśród służby, czasem przez całe pokolenia. Rzadko kiedy służący o czymś nie wiedzieli. Ale tę sprawę najwyraźniej skutecznie wyciszono. Agnes uznała, że skoro tak, plotka była przynajmniej częściowo prawdziwa i najprawdopodobniej chodziło o jakąś kompromitującą sprawę, a służbę odpowiednio nastraszone, żeby milczała. Ci, którzy pracowali z Agnes we wczesnych

latach pięćdziesiątych, z pewnością znali tego Wiika, a jednak trzymali buzie na kłódkę, niewątpliwie ze strachu przed utratą posady.

Może chodziło o homoseksualizm? Czyżby starego profesora coś łączyło z Wiikiem? Może go wykorzystywał? To by wyjaśniało napastliwość Liisy, która zwykła bezlitośnie piętnować wszelkie przejawy podwójnych standardów i lęki przed dewiacjami seksualnymi. Agnes wielokrotnie była wręcz zszokowana jej bezkompromisowością i szczerością.

Teraz jednak Finka nie drażyła tematu, z pewnością przez wzgląd na Birgittę, która siedziała w milczeniu, ocierając łzy wierzchem dłoni. Drugą dłoń trzymała na ręce Liisy.

Agnes wstała od stołu i zaczęła sprzątać, sądząc, że obie kobiety pójdą do siebie na górę. Nie myliła się.

– Odpocznijmy trochę – zaproponowała po chwili Birgitta i przyjaciółki wyszły z kuchni.

Mogłyby przynajmniej podziękować, pomyślała Agnes, ale bardziej z przyzwyczajenia niż dlatego, że poczuła się dotknięta. Nie zaskoczyło jej również, że chcą „odpocząć” zaraz po śniadaniu.

Zbierając naczynia ze stołu, wypatrywała ogrodnika. Nie było go. Może pracuje teraz od frontu posesji? Ten mężczyzna coraz bardziej ją ciekawił, chociaż jego powiązania z Anną były zbyt mgliste, aby ubrać je w konkrety. Tylko jakieś napomknienie, parę słów, nic więcej. Niepewność, kim właściwie jest i skąd się tu wziął, dręczyła ją bardziej, niż sama chciałaby przyznać.

W domu panowała cisza. Przypomniała sobie czasy, kiedy dosłownie tętnił życiem. Najwięcej hałasu robiła Birgitta z przyjaciółmi. Dagmar – „profesorska żona”, jak nazywała ją służba – też potrafiła zaszaleć, że aż niosło się po całym budynku. Zwłaszcza kiedy sobie wypijała, a w miarę upływu lat coraz częściej zaglądała do kieliszka. Nocami Agnes czasem słyszała kroki profesorowej na posadzce i dźwięk otwieranego barku. Potem zapadała cisza i gospoia wyobrażała sobie, jak Dagmar podnosi butelkę do ust i pociąga kilka łyków. Następnie rozlegało się pełne zadowolenia „ach” i znowu odgłos kroków profesorowej wracającej do sypialni. Po tych nocnych eskapadach Dagmar zazwyczaj bardzo źle się czuła i wymiotowała. To Agnes

musiała po niej sprzątać.

Co dziwne, profesor zupełnie nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów pijaństwa żony, ale wtedy było wiele rzeczy, których nie zauważał. Żył swoimi badaniami, rodzinie i domowi okazywał tylko tyle zainteresowania, ile wynikało z poczucia obowiązku.

Wszyscy wiedzieli, że zdradza żonę. Krążyły plotki, że pewnej młodej kobiecie pracującej w szpitalu opłacał mieszkanie i z pewnością wiele innych rzeczy. Agnes podejrzewała, że jego wyjazdy do Włoch miały niewiele wspólnego z pracą, tylko były wypadami z kochanką, „tą jego sztuką”, jak mówił kucharz.

Dagmar bardzo cierpiała i wszyscy w domu zdawali sobie z tego sprawę, ale nikt nie okazywał jej współczucia. Wyładowywała więc frustrację na służbie. Była tak samo podła i niesprawiedliwa, jak potrafił być jej niewierny, ciągle nieobecny mąż.

Ich kłótnie zatruwały wszystkim życie. Kiedy Dagmar umarła na atak serca, Palmér, który zajmował się ogrodem, regulowaniem pieca i różnymi naprawami, wyraził opinię całej służby, mówiąc: „Zapewne każdemu wyszło na zdrowie, że już wróciła do domu”. Wykonał przy tym ruch ręką, wskazując kierunek, w którym, jak sądził, mieścił się obecny „dom” Dagmar von Ohler.

Odejście profesorowej rzeczywiście przyniosło Agnes ulgę, ale teraz, po latach, była gotowa zrewidować swoją opinię o tej głęboko nieszczęśliwej kobiecie. Dobrze wiedziała, że Dagmar nie zaczęła pić i nie stała się złośliwa bez przyczyny. Pamiętała ją przecież z lepszych czasów, o wiele miłszą i życzliwszą.

Skąd się wzięły te wędrówki myślami w czasie, które tylko ją przygnębiały i spowalniały? Może ten kalejdoskop wspomnień wynikał z tego, że zbliżało się jej własne odejście, jej „powrót do domu”? Musiała uporządkować swoje wspomnienia – całe pięćdziesiąt pięć lat służby – i uformować w poręczną bryłkę, aby móc wsiąść z nią do autobusu numer 811.

Wsiądzie przy monopolowym w Öregrund i kupi butelkę taniego likieru, który, jak wiedziała, Greta popijała w tajemnicy. Potem przejdzie obok sklepu spożywczego ICA, minie plac, obskurne bary z przekąskami w starych hangarach na łodzie i dotrze na przystań promową. Z promu

zrzuci tę bryłkę do wody i popatrzy, jak jej wspomnienia znikają w głębinach.

Tym razem na promie nie spotka Fredella, który by jej towarzyszył podczas przeprawy. U Lidbacka nie będzie starej kobyły, do której można by się odezwać. Ale to, co najważniejsze, pozostanie takie samo. Wolnym krokiem powędruje do domu, tym razem nie łapiąc zapalenia płuc.

Wraca do domu! Do domu na Gräsö! Uśmiechnęła się na tę myśl i przesuając szmatką po czystym już blacie, spojrzała w stronę ogrodu. Jabłka, które wciąż wisały na gałęziach, kołysały się na silnym wietrze niepokojąco gwałtownie. Szkoda, żeby się zmarnowały, uznała Agnes. Postanowiła zerwać ostatnie owoce i upiec jeszcze kilka szarlotek. Jedną na dzisiaj, a reszta trafi do zamrażarki. Te profesor zje w swojej samotni, pomyślała z ukłuciem złośliwej satysfakcji.

Telefon zadzwieczał tuż po porannej odprawie. Edvard Risberg wiedział, że właśnie o tej porze należy dzwonić, jeśli chce się złapać Ann.

– Cześć. Chciałem tylko powiedzieć, że Viola umiera – oznajmił bez ogródek.

Nigdy nie miał talentu do delikatnego przekazywania złych wiadomości. Ann ciężko opadła na krzesło.

– Jest aż tak źle?

– Tak – potwierdził Edvard. W jego głosie słyhać było ogromne znużenie.

– Jadę tam – rzuciła i przerwała połączenie.

Zajrzała do gabinetu Ottossona i oznajmiła mu, że wybiera się na Gräsö. Podniósł wzrok znad jakichś papierów rozłożonych na biurku i tylko skinął głową. Ann zatrzasnęła drzwi gabinetu szefa i szybko pobiegła do wyjścia.

Na szczęście przyjechała do pracy samochodem, więc już po kilku minutach pędziła Vaksalagatan, kierując się w stronę wybrzeża.

Trochę zwolniła na wysokości Jälla, bo wiedziała, że zwykle stoją tam jej koledzy po fachu. Mijała kolejne miejscowości: Rasbo, Alundę, Gimo i Hökhuvud. Przy Börstil skręciła w lewo i minęła zjazd na Östhammar – dokładnie trzydzieści dwie minuty po tym, jak wyjechała z miasta. Po kolejnych sześciu skręciła na Öregrund, skąd odchodził prom. Mimo ograniczenia prędkości przy Norrskedik dotarła tam w ciągu zaledwie pięciu minut.

– Szybko przyjechałaś – zauważył Edvard, otwierając drzwi.

Wyglądał na skrajnie wyczerpanego. To pewnie przez czuwanie przy łóżku Violi, uznała Ann.

– Jest przytomna – powiedział.

Ann miała ochotę go przytulić, ale powstrzymała się. Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Edvard odwrócił się bezceremonialnie i zniknął w korytarzu prowadzącym do sypialni Violi. Ruszyła za nim. Idąc, kątem oka dostrzegła Gretę siedzącą w kuchni.

Gdy weszła do sypialni chorej, ta lekko uniosła dłoń – czy to na powitanie, czy na znak dla Edvarda, który natychmiast wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Twarz Violi wydała jej się jeszcze mizerniejsza i jeszcze bledsza niż podczas poprzedniej wizyty.

– Nie jest dobrze – powiedziała Viola ochryłym głosem.

Ann przysiadła na krawędzi łóżka i ujęła jej dłoń w swoje ręce. Słyszała tylko wiatr hulający po domu i lekko szarpiący cienkimi zasłonami.

– Jestem zadowolona – oznajmiła Viola. – A z tym domem wszystko będzie dobrze.

Ann pokiwała głową na znak, że rozumie, o co jej chodzi. Ta kobieta miała za sobą długie życie, a domem zajmie się teraz Edvard. Po nim obowiązki przejmie zapewne jeden z jego dwóch synów, o czym Viola wspominała już dawno. Ann wiedziała, że Viola nie zniosłaby myśli, że dom mógłby zostać rozebrany albo zamieniony na letnie kwatery gościnne.

– To szczęście, że pojawił się Edvard – powiedziała.

– Był dla mnie wielką radością. On i Viktor.

Po raz pierwszy usłyszała, jak głos Violi drży z emocji. Z trudem powstrzymała łzy.

– Jestem najstarszą osobą na tej wyspie. Widziałam, jak ludzie przychodzili i odchodzili. Cieszyłam się dobrym zdrowiem. Nie mogę narzekać.

– Ale i tak narzekałaś – rzekła Ann z uśmiechem. – Na kury, na sztokholmczyków i czyściciela komina, na pogodę, na sklepikarza w Öregrund, na Dyrekcję Dróg i Bóg wie, na co jeszcze.

– Musiałaś mieć niezły ubaw – odparła Viola. – Greta obiecała, że zajmie się Edvardem. On jest taki wrażliwy.

– Poradzi sobie – zapewniła Ann.

– Oczywiście, że sobie poradzi – zgodziła się Viola. – Ale dobrze jest czasem z kimś porozmawiać.

Ann domyśliła się, że to Viola poleciła Grecie zaglądać do Edvarda. Ale co on sam o tym sądzi, nie miała pojęcia.

– Ty też możesz go odwiedzać. Przyda mu się towarzystwo.

Ann zastanawiała się nad słowami Violi o wrażliwości Edvarda.

Czy oznaczały, że działo się coś złego? A może stanowiły próbę połączenia ich na nowo?

– Może i tak zrobię – powiedziała.

– Trochę morskiego powietrza na pewno ci się przyda.

Ann tylko przytaknęła, nie chcąc dalej podążać tą ścieżką. Viola najwyraźniej ją zrozumiała, bo po chwili milczenia zmieniła temat.

– Kolejna sprawa – rzekła. – Chodzi o Annę. Słyszałam, że rozmawiałaś z Gretą. Anna Andersson mieszkała u mnie przez jakiś czas. To było pod koniec wojny, ale radziłam sobie całkiem nieźle. Może o tym nie wiesz, ale wtedy Viktor sporo szmuglował, a ja, chyba można tak powiedzieć, zajmowałam się księgowością. On nigdy nie był dobry w rachunkach. No i był za bardzo uprzejmy. Przyjęłam Annę, bo rodzice nie chcieli jej znać. Wstyd, ale tak właśnie to wyglądało.

Ann przemknęło przez myśl, że oto powróciła dawna Viola. Drzenie głosu zniknęło, a jej oczy rozbłyły jak gwiazdy.

– Kiedy tu przyszła, krwawiła. Chciałam sprowadzić Åkermana, lekarza ze stałego lądu, ale nie było o tym mowy. Krwawiła cały tydzień.

Ann domyślała się przyczyny tego krwawienia, ale i tak o to spytała, żeby się upewnić. Viola powiedziała, że Anna próbowała chować zakrwawione podpaski, lecz na próżno starała się ukryć swój mizerny stan.

– Ta dziewczyna była wystraszona na śmierć. Nie wiedziała nic o życiu i o własnym ciele. To jasne, że mając rodziców wierzących w niepokalane poczęcie, była do tego wszystkiego kiepsko przygotowana. Zmusiałam ją do jedzenia potraw ze zwierzęcą krwią. Viktor musiał zarzynać zwierzaki. O nic nie pytał, ale na pewno rozumiał, czego potrzebuje ta dziewczyna. Tak właśnie było! Teraz już wiesz, jak się sprawy miały w tych dobrych rodzinach.

– Co konkretnie się wydarzyło?

– Anna nigdy nie chciała o tym mówić, a jeśli ktoś nie chce o czymś mówić z wolnej woli, nie należy go przymuszać. Co ma wyjść na jaw, i tak prędzej czy później wyjdzie. Wtedy chodziło przede wszystkim o to, żeby doszła do siebie i odzyskała siły. Mam rację?

Ann przytaknęła, ale wciąż dręczyło ją pytanie, co się tak naprawdę stało.

– To trochę dziwne... – zaczęła.

– Jeszcze jak! – wykrzyknęła Viola, jakby czytała jej w myślach. – Greta też pojechała do miasta, do tamtej hołoty. A potem Agnes. Anna była bardzo nieszczęśliwa, że Greta tam pojechała. Jej siostra była jeszcze dziewczynką.

„Dziewczynka” siedziała teraz w kuchni. Musiała włączyć ekspres do kawy, bo po pokoju zaczął się rozchodzić kawowy aromat.

– Co się stało z Anną?

Viola nie odpowiedziała od razu. Wydawało się, że zatonęła we wspomnieniach wydarzeń sprzed ponad sześćdziesięciu lat. A może po prostu nie miała już siły mówić? Ann coraz bardziej się o nią martwiła.

– Jak się czujesz? Chcesz trochę odpocząć?

– Odpocząć? – prychnęła Viola. – Nie, wcale nie chcę odpoczywać.

– Co się stało z Anną? – powtórzyła Ann.

– Pojechała do Sztokholmu i pracowała w sklepie, a później w fabryce mydła. Dobrze jej się wiodło, wyszła za jakiegoś Hallera. Pochodził z Niemiec, ale nie był nazistą.

Ann roześmiała się, a Viola spojrzała na nią z dezaprobatą.

– Ale już nie mogła mieć dzieci – powiedziała.

Słowa Violi potwierdziły domysły Ann. Anna Andersson zaszła w ciążę, poroniła, a potem uciekła na wyspę.

– Ale ten Niemiec już miał dziecko – ciągnęła Viola. – Takie słodkie maleństwo, okropnie chude. Anna przyjechała z nim tutaj, gdy chłopczyk miał cztery, może pięć lat. Zaopiekowała się tym malcem jak własnym synem. Jakoś przetrwała. Ale już odeszła. Chociaż była młodsza ode mnie. Co się stało z tym chłopcem, nie wiem dokładnie. Zdaje się, że wyjechał do Afryki.

Anna milczała. Ta krótka, niemal szorstka relacja Violi z życia Anny Andersson dotknęła w jej wnętrzu czegoś, o czym nie chciała sobie przypominać. Opowieść stworzyła obrazy, które wyłoniły się i nałożyły jeden na drugi. Był obraz Anny i jej rozpaczy, obraz wychudzonego chłopczyka, którego traktowała jak własne dziecko, oraz obraz jej samej i Erika. I wreszcie obraz wyspy, tego domu i Edvarda.

Morze, pomyślała. To o morzu zawsze mówił Edvard. Czy właśnie

za tym tęsknię? Za morskim powietrzem, jak powiedziała Viola? Nie, nie ma sensu się nad tym zastanawiać. Moje życie jest pracą. Niepotrzebne mi morze, aby spoglądać przed siebie. Edvardowi tak, ale mnie nie. Wzięła głęboki oddech, przepełniona niepokojem, ale zarazem pewna, że jakoś da sobie radę.

– Teraz już wiesz wszystko – podsumowała Viola. – Zawsze byłaś ciekawska.

Ann próbowała się uśmiechnąć. Po raz kolejny dotarło do niej, jak subtelna potrafi być Viola. I jaka silna, nawet teraz, stojąc u progu śmierci. Chociaż Ann – wbrew słowom Edvarda – w głębi duszy wątpiła, czy staruszka rzeczywiście dożywa ostatnich dni. Na pewno czuła się znużona, ale chyba nie było tak źle.

Jak gdyby chcąc zaprzeczyć, Viola czknęła i na chwilę szeroko otworzyła oczy. Wydawało się, że coś utkwilo jej w gardle.

– Pomóż mi – poprosiła chrapliwym głosem.

Ann wstała, ujęła ją pod ramię i podniosła tak, że Viola niemal usiadła w łóżku.

– Teraz się już pożegnamy – oznajmiła staruszka.

Ann pochyliła się nad nią i przycisnęła policzek do jej policzka. Viola wcale nie pachniała chorobą i śmiercią, raczej mydłem i chyba nawet perfumami. Ann przepełniły ciepłe uczucia do Grety, bo to na pewno ona starała się, żeby staruszka do samego końca pozostała czysta i pachnąca. Poczowała dotyk kościstych ramion i nie potrafiła dłużej powstrzymać łez.

Viola czknęła ponownie i Ann wypuściła ją z objęć. Spojrzały jedna na drugą.

– Do widzenia – powiedziała Viola.

– Do widzenia – odparła Ann, ściskając chłodną, kościstą dłoń staruszki.

Stała na podwórzu i patrzyła w górę, tam, gdzie kilka pojedynczych chmur szybowało po błękitnym niebie. Właśnie tak powinno się odchodzić, pomyślała. Bez lęku, może tylko z odrobiną niepokojem. Z poczuciem wdzięczności za długie, dobre życie, ze świadomością, że korzystało się z niego, tak jak należy, a teraz, gdy trzeba się z nim rozstać, śmierć jest raczej przyjazną towarzyszką niż

przerazającym upiorem.

Ann już nie płakała, ale wiedziała, że jeszcze pojawią się łzy. Kiedy tak stała zatopiona we wspomnieniach, usłyszała, jak za jej plecami otwierają się drzwi na werandę. Odwróciła się. Przez moment miała nadzieję, że zobaczy w nich Violę, w chustce na głowie, znoszonej jesionce i obciętych gumiakach.

Ale oczywiście stał tam Edvard. Spojrzał na nią badawczo, jakby chciał sprawdzić, jak się czuje.

– Niesamowita kobieta – powiedziała Ann.

Edvard tylko kiwnął głową. Dopiero teraz Ann dostrzegła, jaki jest spięty.

– Będę już jechać – oznajmiła.

– Ann – szepnął, schodząc po schodach.

Nie podchodź bliżej, pomyślała, ale podszedł i stanął przed nią. Nie dotykaj mnie, pomyślała, ale dotknął, objął i przyciągnął do siebie.

– Ann – wyszeptał. – To ty.

Dotykał jej tak jak kiedyś. Pachniał tak jak kiedyś. Czowała, że coś się w niej pęka. Otworzył się jakiś wewnętrzny zawór, wypuszczając wszystko, co zbierało się od chwili rozstania: wszystkie myśli o powrocie, nadzieje, rozczarowania; wszystkie kieliszki wina, które wpiła, aby móc zasnąć; wszystkie wylane łzy. Teraz to wszystko niczym potok wyciekło z jej ciała. Zostały tylko determinacja i złość.

Odsunęła go.

– Nie, Edvardzie, już tak nie będzie.

Skulił się jak zaskoczone zwierzę, które trafił pocisk, nie bezpośrednio śmiertelny, ale taki, który wstrząsa, pozwalając zrozumieć, że nadszedł początek końca.

– Ty też o tym wiesz – dodała szybko, bo nie chciała słuchać jego zapewnień i wyjaśnień. – Teraz jesteś smutny i czujesz się samotny. Ale to nie mnie potrzebujesz.

– Tak właśnie jest – powiedział cicho. – Czuję się smutny i samotny, od kiedy opuściłaś wyspę.

Miała ochotę wyrzucić z siebie tę złość na niego za to, że czekał tyle cholernych lat, zanim o tym powiedział, powstrzymała się jednak, aby nie powiększać jego bólu. Już wystarczająco cierpiał, odkąd Viola

postanowiła umrzeć.

– Wyjeżdżam – powiedziała, dotknięta nagłą myślą, że za jej złością może czaić się miłość.

Przekonanie, że dotarli do kresu, było silne. Ale na świecie zdarzały się dziwniejsze rzeczy, postanowiła więc wszystko pozamykać i uczynić się niedostępną. Już nie chciała dłużej tu być. Pragnęła opuścić wyspę, wrócić do Erika i Andersa.

Pogładziła go po policzku – czego zaraz pożałowała – po czym szybko poszła do samochodu, wsiadła i odjechała, zostawiając za sobą farmę i Edvarda. Jeszcze przez chwilę widziała go w lusterku wstecznym, a potem jego sylwetkę przesłoniły kamienie i kępy jałowca.

Śniły mu się pieniądze. Ale przede wszystkim Afryka. I nie tylko Miss Elly. Cały kontynent przepłynął mu przez ciało niczym takie przyjemne potpourri cudownych widoków. Wśród zalanego słońcem krajobrazu słyhać było śmiech i wycie, potem zakradły się zmrok i chłód, a później, zaskakująco szybko, wszystko okryło się cieniem i ciemnością.

To był dobry sen z wieloma szczegółami, kilkoma nawet zabawnymi. Jak gdyby Karsten był w obozie, a Christian i John z zapartym tchem słuchali jego opowieści. Przytakiwali raz po raz, namawiając go, żeby kontynuował. Ilekroć była mowa o Miss Elly i miłości, John chichotał w ten swój niepowtarzalny sposób. Uwielbiał słuchać opowieści Karstena o swojej „najlepszej siostrze”, jak zawsze ją nazywał.

Karsten wstał, żeby zrobić sobie śniadanie i zaplanować dzień, ale myśli o Afryce wciąż nie dawały mu spokoju. Czy John i Christian nadal przebywają w obozie, czy może zjawili się nowi przewodnicy i tropiciele, młodszy i szybszy? Nie chciało mu się w to wierzyć. Nikt nie był w stanie przebić Johna, jeśli chodziło o dzikie koty, a Christian wiedział wszystko o nosorożcach.

Wypił kawę w melancholijnym nastroju radości i straty. Czy powinien tam wrócić? Czy potrafiłby wrócić? Te pytania pojawiały się co jakiś czas, ale jak dotąd odrzucał wszelkie myśli o opuszczeniu Szwecji. Teraz nagle pomysł sprzedania całego niewielkiego majątku, jaki posiadał, spakowania się i kupienia biletu w jedną stronę wydał mu się całkiem sensowny.

Nie chciał mieszkać w Windhoek, ale przecież mógłby znaleźć jakiś mały dom w Shiwo. Pewnie mieszkają tam krewni Miss Elly. Powitaliby go pieśnią i przyjęli z otwartymi ramionami.

Pieniądze, które odłożył, starczyłyby na podróż, kawałek ziemi i dom, ale na niewiele więcej. Krewni Miss Elly wsparliby go, może nawet domagaliby się tego, on jednak nie chciał żyć na koszt innych, zwłaszcza tych, którym wiodło się gorzej niż jemu.

Karsten wiedział, dokąd to wszystko zmierza. Obraz pudełka po butach pełnego pieniędzy wypalił mu się pod powiekami, we śnie te wszystkie zwitki należały do niego. Siedział na werandzie z pudełkiem u stóp i rozmawiał ze swoim dobrym przyjacielem Mr. Greenem, trzydziestocentymetrową jaszczurką o brązowej głowie i tułowiu w kolorze intensywnej zieleni, bliżej ogona przechodzącej w turkus. Mr Green miał żonę identycznej barwy i równie ciekawską jak jej partner, ale ostrożną i staranną we wszystkim, czego się podjęła.

Mr Green wysunął języczek – najwyraźniej jaszczurka również wyczuła zapach pieniędzy – a potem zbliżył się powoli i zaczął obwąchiwać pudełko po butach. Nieoczekiwanie uniósł się na tylnych łapach, pochylił nad krawędzią kartonu i przyjrzał zawartości. Wtedy zdarzyło się coś naprawdę zdumiewającego. Mr Green uśmiechnął się szyderczo swoim szerokim jaszczurczym pyszczkiem, po czym triumfalnie uniósł kciuki przed swoją żoną, jakby oznajmiał: „Tutaj są zasoby”.

Karstena obudził jego własny śmiech. Mr Green zawsze miał talent do wprowadzania go w dobry nastrój. Jaszczurka była przyjacielem, na którym mógł polegać w chwilach melancholii i samotności.

Czy też powinien unieść kciuki? Czy zadowolony wyraz pyszczka Mr. Greena powinien uznać za dobry znak?

Kończył śniadanie w głębokiej rozterce i z narastającym poczuciem irytacji. Było dopiero parę minut po szóstej, więc nie powinien niczym się stresować, ale czuł napięcie. Musiał wyjść z mieszkania i zabrać się do pracy, bo to był jedyny sposób pozbycia się dyskomfortu.

U Lundquista zostało mu już tylko ścięcie brzozy rosnącej od frontu i sprzątanie. Brzoza nie była zbyt duża, ale rosła w niedogodnym miejscu. Miał tam za ciasno, żeby ściąć od razu całe drzewo, istniało też ryzyko, że brzoza runie na ogrodzenie, w stronę ulicy. Postanowił więc najpierw odciąć wierzchołek. Potrzebował do tego drabiny i dlatego musiał zabrać samochód oraz przyczepę.

Pojechał do małego magazynu w Boländerna, gdzie trzymał narzędzia. Wynajął go w blacharni. Kiedy szperał wśród swoich rzeczy, usłyszał nadchodzących pracowników. Byli to Hedlund i Oskarsson, jak

zwykle pogrążeni w ożywionej rozmowie. Kartsena ogarnęła zazdrość. Jeszcze mocniej odczuł swoją samotność. Stał przez dłuższą chwilę w ciemnym magazynie i myślał o Afryce.

Kiedy głosy ucichły, wyszedł, zdjął drabinę z haków na ścianie i przymocował pasami do przyczepy. Wcześniej zapakował już piłę, olej i paliwo. Nadszedł czas skończyć pracę w Kåbo.

Brzoza wkrótce została ścięta i podzielona na kawałki, które ułożył w dawnym schowku na rowery, teraz używanym przez właściciela do przechowywania drewna. Lundquist powiedział, że chętnie sam porąbie drewno, bo, jak twierdził, potrzebuje trochę ruchu. Kartsen mógł tylko się z nim zgodzić. Lundquist był otyły i rzeczywiście przyda mu się wysiłek fizyczny.

Wszystko przebiegło według planu. Kiedy Haller wsiadł do auta, wzeszło słońce. Uśmiechnął się do siebie i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Już na szosie pomyślał, że warto by cisnąć na dach Ohlera jeszcze jeden kamień. Zwolnił, ale natychmiast uświadomił sobie bezsens wracania tam w tak egoistycznym celu.

Potem przypomniał sobie, że nie pożegnał się z Johanssonem. Objechał więc kwartał zabudowań i zaparkował pod jego domem.

Zastał go przy kompostowniku, siedzącego na taczce.

– Trochę się zmęczyłem – wyjaśnił docent. – Prawdę mówiąc, nie czuję się najlepiej.

Karsten zauważył, że Gregor Johansson jest wyraźnie zakłopotany. Pewnie poczuł się przyłapany na lenistwie, pomyślał.

– Niech pan nie wstaje – powiedział szybko i spytał: – To już ostatnie koszenie trawnika w tym roku?

Docent przytaknął.

Karsten kucnął i oparł się plecami o kompostownik.

– Więc już pan skończył? – zapytał Johansson.

– Tak, ostatnie rzeczy już zrobione. Brzoza ścięta.

– I co teraz pana czeka?

Afryka, pomyślał Karsten. Miał ochotę opowiedzieć o swoim śnie, ale miałby problem z wyjaśnieniem, skąd się wzięło pudełko z banknotami. A Mr Green każdemu, kto nigdy go nie widział, wydałby się zbyt fantastycznym stworzeniem.

– Zamierzam ściąć kilka klonów w Årsta, a potem się zobaczy. Raz jeszcze dziękuję za fotergillę.

– To nic takiego. Może pan wpadnie jakoś na wiosnę? – zaproponował Johansson. – Albo i wcześniej – dodał pośpiesznie.

– Chętnie tak zrobię. W przyszłym roku nadal będę się zajmował ogrodem Lundquista – odparł Karsten i w tej samej chwili uświadomił sobie, że okłamuje docenta, bo przecież już nigdy więcej nie postawi stopy w ogrodzie Lundquista. To nie było w porządku. Chciał się pożegnać w jakiś lepszy sposób. – Może zajrzę pojutrze? Mam parę książek o ogrodnictwie, które mogą pana zainteresować. Podwójne egzemplarze.

Chciał podarować coś docentowi, wytłumaczyć się, powiedzieć mu coś o Afryce, a nie tak po prostu odejść od tego spóźnionego przyjaciela.

– Serdecznie zapraszam – rzekł docent. – Proszę wpaść na przedpołudniową kawę.

Rozstali się przy furtce. Karsten nie mógł podejrzewać, że już nigdy więcej się nie spotkają.

Birgitto, chciałabym, żebyś porozmawiała z profesorem – powiedziała Agnes, zdejmując fartuch, który następnie powiesiła na haczyku na kuchennych drzwiach.

Birgitta i Liisa nadal siedziały przy stole.

– Ma mu przekazać twoje wypowiedzenie? – spytała Finka.

Birgitta spojrzała na nią oniemiała.

– Wiedziałaś o tym?

Liisa uśmiechnęła się.

– Oczywiście – odparła i zwróciła się do gospośi. – Dlaczego chcesz odejść?

Zadała proste pytanie, lecz Agnes tak naprawdę nie wiedziała, co jej odpowiedzieć. Wydawało jej się, że nie będzie miała problemu z podaniem konkretnych, racjonalnych powodów. Teraz jednak czuła się po prostu śmiertelnie zmęczona tym całym profesorskim narzekaniem i irytacją. Dostał Nagrodę Nobla, więc powinien być usatysfakcjonowany. Tymczasem robił się coraz bardziej gburowaty. Agnes czuła się również znużona tym domem, chociaż nie wiedziała dokładnie dlaczego.

Mogłaby powiedzieć, że stęskniła się za morzem, ale zabrzmiałoby to trochę patetycznie i niezbyt przekonująco. Przecież mieszkała w mieście od pięćdziesięciu pięciu lat i nigdy dotąd nie tęskniła za czymś tak nieokreślonym jak „widok morza”.

Gdyby powiedziała o skałach Wysokiej Anny, skąd można było spoglądać w dal, profesor by ją wyśmiał. Birgitta pewnie nie, ale zmartwiłaby się i uznała to za przejaw demencji. Dla niej wszystko poza granicami wypielęgnowanego ogrodu stanowiło groźny nieporządek.

– Chcę iść na emeryturę – oznajmiła Agnes.

Liisa Lehtonen roześmiała się serdecznie.

– A niech to, masz rację – powiedziała. – Nie ma to jak beztrudne życie emeryta!

Birgitta spojrzała na Finkę ze zdumieniem.

– To wcale nie jest śmieszne – zachnęła się. – Czy ty nie rozumiesz, ile wyniknie z tego zmartwień?

– Chodzi ci o drogiego Bertrama?

– O nas wszystkich.

– Jestem już po siedemdziesiątce – zauważyła Agnes.

Zjadły późną kolację. Agnes jak zwykle posprzątała ze stołu i włożyła naczynia do zmywarki. Profesor już udał się do sypialni. Liisa zaproponowała, żeby zagrały w karty, czego Agnes nigdy nie robiła, wyjąwszy Czarnego Piotrusia, gdy dzieci Ohlera były jeszcze małe.

Nie, nie chciała grać w karty. Nie chciała robić nic innego poza pójściem do swojego pokoju i zatelefonowaniem do Grety. Siostra jest jedyną osobą, która potrafi ją zrozumieć.

– Mogę odejść po tym tygodniu?

– Normalnie powinnaś mieć miesiąc wypowiedzenia – stwierdziła Liisa, która już przestała się śmiać.

– Jeszcze odżyjesz, teraz po prostu czujesz się zmęczona – powiedziała Birgitta, a Agnes zdała sobie sprawę, że powtarza słowa profesora.

– Tak, tutaj o to nietrudno – odparła Agnes, czując, że łamie ustalone reguły.

To proste zdanie sprawiło, że Birgitta i Liisa zamilkły, zupełnie jakby słowa gosposi poraziły je. Milczały kilka chwil, próbując poradzić sobie z tym, co oznaczała decyzja gosposi. W domu Ohlerów rysowała się nowa sytuacja.

Ciszę przerwała Liisa. Może przyszyły jej z pomocą lata treningu silnej woli.

– Zadzwoimy do jakiejś firmy, żeby przyjechała i wysprzątała dom, a potem mogą przyjeżdżać co tydzień. Agnes będzie ich nadzorować.

– Świetny pomysł! – zawołała Birgitta, której propozycja Finki ogromnie się spodobała.

Agnes słuchała ich z rosnącym zniecierpliwieniem. Czy naprawdę nie rozumieją, że chcę po prostu od tego wszystkiego odejść?

Wtedy zadzwięczał dzwonek. Birgitta umilkła. Liisa uniosła wzrok, a na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, jakby nie pojmowała, co to za terkot.

– Gabinet – powiedziała Agnes i już miała sięgnąć po biały fartuch,

którego używała poza kuchnią, ale jej ręka natychmiast opadła. Wzięła głęboki oddech i z westchnieniem wypuściła powietrze.

– Zajmę się tym – oznajmiła Birgitta, na próżno starając się ratować sytuację, bo w tej właśnie chwili uświadomiła sobie, że na całym świecie nie ma takiej firmy, która zdołałaby zastąpić Agnes Andersson.

Birgitta wyszła z kuchni. Liisa wstała i ruszyła do drzwi. Agnes przyglądała się jej smukłej sylwetce i krótkim włosom, próbując wyobrazić sobie te dwie kobiety razem. Nie dała rady. To nie mieściło się w głowie, podobnie jak wiele innych rzeczy w rodzinie Ohlerów.

– Opadają ostatnie liście – powiedziała nagle Liisa, która nigdy wcześniej nie komentowała niczego związanego z ogrodem. Odwróciła głowę i spojrzała na gosposię.

– Owszem – odparła Agnes. – Mamy jesień.

Moja ostatnia szarlotka, pomyślała.

– Może dobrze, że właśnie tak się dzieje – zauważyła Liisa, ale nie wyjaśniła, co dokładnie ma na myśli: czy nieubłagane nadejście jesieni, czy fakt, że Agnes chce opuścić dom. – Kiedy startowałam w zawodach, zwykle myślałam o seksie – ciągnęła. – Wbrew zaleceniom wszystkich ekspertów, którzy uważają, że powinno się dążyć do wyciszenia, całkowitego spokoju, bo to ułatwia koncentrację. Ja robiłam odwrotnie, nabuzowywałam się. Na mojej pierwszej olimpiadzie, w 1984 w Los Angeles, miałam rywalkę z Korei Południowej. Zakochałyśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia, spotykałyśmy się w sekrecie. Potem obie znalazłyśmy się w finale. Spojrzałam na nią i od razu zrobiłam się mokra. Od tamtej pory zawsze myślałam o niej w krytycznych momentach. W Los Angeles wygrałam ja. Ona zwyciężyła u siebie cztery lata później. To chyba sprawiedliwe, prawda?

Dlaczego ona mi o tym wszystkim opowiada? – zastanawiała się zdumiona Agnes. Czy chce mnie zaszokować? Musiała się odwrócić, aby ukryć niezadowolenie.

– Teraz właśnie myślę o tamtej Koreance – powiedziała Liisa. Agnes odwróciła się gwałtownie.

– Wystarczy tych sprośności! – zawołała. – To nie jest strzelnica na olimpiadzie. I przestań się tak uśmiechać!

– Chciałam cię rozweselić.

Kąśliwy ton Finki i własna furia sprawiły, że Agnes wypadła z kuchni. Już nigdy niczego nie ugotuję dla tej suki, pomyślała. Pokonała schody prowadzące na piętro tak szybko, że aż dostała zadyszki.

Birgitta wyszła z gabinetu po drugiej stronie korytarza. Płakała. Agnes ruszyła w przeciwnym kierunku, wślizgnęła się do niewielkiego saloniku i zamknęła za sobą drzwi, mając wrażenie, że ucieka przed rojem rozwścieczonych pszczół.

Opadła na fotel, który stał tutaj od wielu lat. Zniknęło ostatnie światło dnia, pokój pogrążył się w ciemności. Zamknęła oczy. W jej myślach pojawił się dom na wyspie. Wyobraziła sobie Gretę, jak krząta się w półmroku kuchni, robiąc kawę, a potem idzie do dawnego saloniku, zapala lampkę na stole i kinkiet na ścianie, włącza telewizor i się rozsiada.

Nie rozumiała tego swojego dziwnego przywiązania do siostry. Nigdy nie były sobie szczególnie bliskie, ale teraz gospodarstwo i Greta jawiły jej się w takim migoczącym blasku, który zupełnie nie miał odzwierciedlenia w rzeczywistości. Wiejski dom był zniszczony i pełen przeciągów, zimą panował w nim okropny ziąb, a latem duchota, kuchnia była staroświecka, a sama Greta często irytująca i trudno się z nią dogadywało.

Ale to wszystko nie miało teraz znaczenia. Agnes pragnęła znaleźć się w tym domu i usiąść obok siostry na kanapie przed telewizorem.

Nie wiedziała, jak Greta ją przyjmie, ale nie miała już odwrotu. Z takim przekonaniem wstała, zapaliła żyrandol, podeszła do telefonu i wybrała numer na wyspę. Greta odebrała po dwóch dzwonkach, co oznaczało, że jeszcze nie usiadła przed telewizorem,

Agnes zwięźle i nie owijając w bawełnę, powiadomiła ją, że kończy pracę u Ohlera i w ciągu kilku dni wraca na wyspę. Nie powiedziała, czy zamierza osiąść tam na dobre, czy też rodzinny dom będzie stanowił tylko przystanek, z którego ruszy gdzieś dalej, na swoje.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu Greta powstrzymała się od jakichkolwiek komentarzy, tylko po prostu zapytała, czy Agnes potrzebuje pomocy. Może Ronald, kuzyn wnuka Viktora, przyjechałby po nią tym swoim dużym samochodem, żeby mogła od razu wszystko ze

sobą zabrać? Po chwili wahania Agnes przystała na tę propozycję. Ustaliły, że Ronald, jeżeli będzie mógł, przyjedzie w sobotę rano. Greta chciała zjawić się już jutro, żeby pomóc w pakowaniu. Agnes domyśliła się, że ona również chce zobaczyć dom Ohlerów po raz ostatni.

Drżała jej ręka, kiedy odkładała słuchawkę. Działo się coś okropnego, czuła to całą sobą. Podczas rozmowy z siostrą starała się nie zdradzać wewnętrznego napięcia, ale teraz poczuła się kompletnie wyczerpana. Musiała się położyć, lecz już po chwili wstała i zaczęła się przechadzać po pokoju. W każdej chwili mógł zabrzmieć dzwonek, mogła także zapukać Birgitta i zapytać, czy wszystko w porządku.

Na szczęście zostawili ją w spokoju. Wydawało się, że cały dom wstrzymał oddech. Decyzja Agnes o odejściu z pracy wszystkimi solidnie wstrząsnęła.

Kiedy tak stała, wpatrując się w ciemny ogród, nagle przyszło jej do głowy, że jutrzejszy przyjazd Grety oznacza nie tylko pomoc przy pakowaniu, ale również wsparcie udzielone młodszej siostrze. Z pewnością zdawała sobie sprawę, że opuszczenie profesora nie przyjdzie jej łatwo. Napięcie, jakie Agnes czuła gdzieś w brzuchu, pozostało, lecz drżenie nieco zelzało. Stopniowo całkiem się uspokoiła.

U Bundego paliły się światła. U docenta też, ale u Lundquista było ciemno. Zastanawiała się, gdzie się podziewa ogrodnik, ale tylko przez chwilę, bo przecież teraz jabłonie i krzaki profesora to już nie jej zmartwienie. Przyszło jej do głowy, że uwaga ogrodnika na temat czasu wcale nie była dziwna, raczej całkiem zwyczajna.

Pora pomyśleć o pakowaniu. Zgromadziła niewiele dobytku, i bardzo dobrze. Ronald będzie mógł wszystko przewieźć za jednym zamachem. Zanim pozostali naprawdę zrozumieją, co się stało, ona już będzie siedziała obok Ronalda w tym jego gigantycznym aucie i po chwili zniknie. Odzywać będzie się tylko Greta, siedząca z tyłu, Ronald jak zwykle pozostanie milczący. Ostatnio spotkali się na pogrzebie Viktora. Pomyślała o ludziach, którzy zebrali się wtedy w kościele. Większość osób rozpoznała, a kim są pozostali, powiedziała jej Greta. Wspominając tamtą smutną ceremonię, jeszcze silniej zapragnęła wrócić do domu na wyspie.

Po raz pierwszy od wielu lat, może nawet dziesięcioleci,

przesiedziała w swoim saloniku cały wieczór i poszła spać nieproszona o nic, czegokolwiek profesor mógłby sobie życzyć przed zaśnięciem.

Piątek zapowiadał się deszczowy. Mżyło już od samego rana. Karsten Haller odłożył wszystkie plany związane z przycinaniem drzew. Klony z Årsta po weekendzie nadal tam będą, uznał. A jeżeli nie, i tak go to nie obchodzi.

Wsiadł do autobusu jadącego do miasta, aby odwiedzić biuro podróży na Drottningatan. Został obsłużony szybko i uprzejmie, co sprawiło mu ogromną radość. Może dlatego, że pewnie już nigdy nie będzie potrzebował żadnego biura podróży. Wkrótce opuści kraj na zawsze i teraz każdy kontakt z drugim człowiekiem wydawał mu się bardzo ważny. To będą wspomnienia, które zabierze ze sobą, więc nie chciał już żadnych gorzkich myśli.

Wszedł do biura podróży w dobrym nastroju, a pół godziny później wyszedł stamtąd w jeszcze lepszym.

Właśnie podjął ważną życiową decyzję i przepełniała go radość połączona z przekonaniem, że wybrał właściwą ścieżkę. Ale mimo lekkości na sercu każdy jego krok, każda myśl miały ogromne znaczenie. Nawet deszcz bębniący o parasol niósł jakieś przesłanie. Dla Karstena deszcz stanowił coś dobrego, bo sprawiał, że sawanna rozkwitała, a ryby tkwiące w nagrzanym rzeczonym mule nagle ożywały. Ale brak deszczu też mógł być dobry. Zwierzęta zbierały się przy wodopojach. Kłęby kurzu na horyzoncie wieściły migrujące hordy roślinożerców.

Teraz, idąc na Fyristorg, nie wzbijał żadnego kurzu. Wciąż padało i ulica była mokra. Postanowił wymienić pięćsetkoronówki z sejfu Ohlera. Poszło łatwiej, niż się spodziewał.

– Życzymy miłej podróży – zaświergotała młoda kobieta za pancernym szkłem, kiedy przepchnęła przez okienko plik zielonych banknotów.

Wspomnił jej o planowanych odwiedzinach u krewnych w Stanach, bo miał poczucie, że powinien jakoś wytłumaczyć całą transakcję. Ludmilla, jak głosił identyfikator na jej piersi, nie widziała niczego dziwnego w tym, że chciał wymienić dwadzieścia pięć tysięcy koron na amerykańskie dolary.

Przestępstwo rozzuchwala, pomyślał. Odwzajemnił uśmiech kasjerki, wyszedł z kantoru i skierował się do następnego, który mieścił się w pasażu handlowym.

Tam poszło równie gładko. Karsten włożył pieniądze do wewnętrznej kieszeni kurtki, a potem ruszył w stronę wyjścia. Kiedy dostrzegł swoje odbicie w szybie wystawowej, zdrygnął się. Wyglądał, jakby właśnie coś ukradł. Zwolnił kroku i rozejrzał się dookoła. Może ktoś uznał jego zachowanie za dziwne? Nie, nikt nie zwracał na niego uwagi. Potrącił go jakiś nastolatek, ale nie przeprosił, wręcz przeciwnie, spojrzął spode łba, jakby chciał powiedzieć: „Z drogi, staruchu”.

Karsten wszedł do apteki w następnym pasażu. Pocił się, ale nie chciał rozpinać kurtki. Uświadomił sobie, że kradzież stała się już nieodwołalna.

Postanowił kupić aspirynę i krem z filtrem. W kolejce do kasy nagle ogarnął go lęk. Miał ochotę odepchnąć pozostałych klientów, rzucić sprzedawcy kilka setek i pośpiesznie odejść.

Kiedy wreszcie wyszedł na ulicę, podjął decyzję, przed którą wahał się od ostatniej wizyty u Ohlera. Wróci tam i zabierze z sejfu resztę banknotów. Dlaczego ten gwałciciel ma mieć tak wiele, a na dodatek za parę miesięcy dostać jeszcze kilka milionów?

Pomachał na przejeżdżającą taksówkę. Chciał wrócić do domu tak szybko, jak to możliwe, uwolnić się od ludzi, od gwaru w sklepach i hałasu na ulicach.

Kierowca był Murzynem, co Karsten uznał za dobry znak. Rozparł się na fotelu i zamknął oczy. Przyszły do niego obrazy z Namibii. Uśmiechnął się. Wszystko układało się jak trzeba. Starzec zostanie ukarany, a on pozwoli się połknąć afrykańskiemu interiorowi. Otworzył oczy. Deszcz siekł o okna taksówki. Pomyślał, że w Etoszy jest teraz wiosna.

Pamiętasz Everta Gustavssona?

Agnes pokręciła przecząco głową i spojrzała na siostrę. Była już trochę zmęczona jej trajkotem. Od kiedy Greta zjawiała się w domu, gadała właściwie nieustannie.

– Na pewno go pamiętasz. Evert należał do kongregacji. Jego ojciec był latarnikiem, a potem wrócił na morze. Jego kuter został storpedowany.

Teraz Agnes sobie przypomniwała. Evert kochał się w Annie. Był nieśmiały i z pewnością nigdy jej tego nie wyznał, ale i tak wszyscy wiedzieli, co czuje. Kiedy Aron coraz zacieklej atakował własną córkę, Evert opuścił zgromadzenie. Odwiedzał ich coraz rzadziej, aż wreszcie całkiem przestał.

– Umarł w tym tygodniu – oznajmiła Greta.

Agnes westchnęła. Śmierć była jedną z niewielu rzeczy, które potrafiły wprawić jej siostrę w ożywienie.

– Po prostu upadł i skonał – dodała Greta. – Tak jak ojciec.

Pakowały się. Greta składała ubrania siostry i wkładała do plastikowych worków, które – jak zawsze przezorna – kupiła po drodze. Przywiozła także kilka toreb na zakupy i walizkę pożyczoną od Ronalda, do której Agnes schowała różne drobiazgi, jakie zebrały się przez lata.

W głębi duszy była wdzięczna siostrze za tę jej beztroską gadaninę. Greta zupełnie nie przejęła się tym, że Agnes niespodziewanie i w takim pośpiechu opuszcza Ohlera i Uppsalę, co bardzo ułatwiło sytuację.

Wzięła też na siebie najcięższe ciosy spadające ze strony profesora, który początkowo w ogóle nie chciał przyjąć do wiadomości słów Agnes, kiedy ta oznajmiła, że jutro zamierza opuścić go na dobre. Dopiero gdy zjawiała się Greta, pojął powagę sytuacji i zaczął grzmieć o zerwaniu umowy. Wtedy Agnes poszła na górę i stamtąd usłyszała bezczelną uwagę Grety, że przecież już dawno zniesiono ustawy o panach i służbie. Odpowiedź profesora stanowił nieartykułowany ryk. Później jeszcze jakiś czas się kłócili. Trwało to, dopóki Birgitta nie zaczęła głośno płakać.

Agnes nie spodziewała się po siostrze takiej determinacji i czuła, że do końca życia będzie jej wdzięczna za to bezinteresowne wsparcie.

– Szkoda, że Evert nie ożenił się z Anną – kontynuowała swój monolog Greta. – Zostałaby na wyspie. Evert był później budowlańcem, wiedziałś o tym?

Agnes, która właśnie miała włożyć kupon jedwabiu do plastikowego worka, zatrzymała się w pół ruchu. Od chwili wyjazdu Anny z wyspy nigdy o niej nie rozmawiały. Dopiero teraz, po tylu latach, Greta wspomniała o ich starszej siostrze. Pewnie dlatego, że epoka, która zaczęła się wraz z przybyciem Anny do domu Ohlerów, właśnie dobiega końca. Dla samej Anny skończyła się znacznie wcześniej. Opuściła wyspę i od tamtej pory ani razu nie dała znaku życia.

Bez wątpienia uważała się za zdradzoną, chociaż zdaniem Agnes niesłusznie. Przecież ona sama była wtedy jeszcze dzieckiem, a Greta nastolatką i wcale nie osądzały Anny. To Aron i kongregacja ją odrzuciły.

– Ciekawe, dlaczego nigdy nie zadzwoniła ani nie napisała – zastanawiała się Greta, jakby czytała Agnes w myślach.

– Pewnie nie była w stanie. Rana okazała się za głęboka. Nigdy się nie zagoiła.

– Już nigdy się nie dowiemy – stwierdziła ze smutkiem Greta.

– Już nigdy się nie dowiemy – powtórzyła Agnes, myśląc o tym, że one też zostały zranione. Okres, kiedy Anna mieszkała u Violi, wspominała z pewną przyjemnością. Anna cieszyła się, gdy jej małe siostrzyczki sprzeciwiały się ojcowskiemu zakazowi i zakradały do domu Violi. Jednak później, kiedy zniknęła z wyspy, wszelkie kontakty się urwały.

Spojrzały po sobie. Ta niespodziewana szczerłość między nimi, aura tajemnicy, o której tak naprawdę nigdy nie dyskutowały, wypełniły Agnes wieloma sprzecznymi myślami. Zdała sobie sprawę, że mają tylko siebie nawzajem i że Greta prawdopodobnie również sobie to uświadomiła. Stąd to jej wsparcie i zaangażowanie w przeprowadzkę.

Włożyła jedwab do worka na śmieci.

– Zamierzasz go wyrzucić? – spytała Greta.

- Nie – odparła Agnes. – Dostałam go od Lydii.
- Wiem, dostałam podobny. Musiała mieć spore zapasy.

Agnes uśmiechnęła się ponuro. Może Anna też dostała kupon jedwabiu, pomyślała.

Pakowanie jej dobytku nie trwało długo. Gdy siostry się z tym uporały, podjęły rewolucyjną decyzję, że nie posprzątają w sypialni i saloniku.

- Równie dobrze może to zrobić Birgitta – uznała Greta.

Usiadły przed telewizorem i czekały na wizytę córki profesora. On sam nigdy nie zniżył się do tego, aby przyjść do pokoju gosposi. Nie postawił stopy w tym pomieszczeniu od momentu przekształcenia go w jej salonik.

Birgitta zjawiała się po półgodzinie. Agnes była prawie pewna, że nasłuchiwała przy drzwiach i słyszała włączony telewizor, bo zapukała i w tej samej chwili nacisnęła klamkę. Tak się starała nie sprawiać wrażenia zatroskanej, że wyglądała niemal zabawnie. A może pomyślała, że skoro siostry Andersson oglądają telewizję, emeryturę odwołano? Nawet jeśli, od razu zauważyła walizkę i worki na śmieci. Komiczna maska w jednej chwili spadła z jej twarzy.

– To takie dostajemy podziękowanie? – spytała łamiącym się głosem.

Agnes popatrzyła na nią, ale nie odezwała się. Córka profesora przypominała jej w tym momencie jakąś biblijną postać z ilustrowanego Pisma Świętego dla dzieci. Udręka na twarzy i rozpostarte ramiona były elementami przedstawienia mającego na celu wzbudzenie wyrzutów sumienia w niewdzięcznej gosposi.

Birgitta natychmiast zorientowała się, że operacja „Perswazja” straciła sens. Wystarczył jej wyraz twarzy Agnes. Ale to jej siostra odparowała:

- Podziękowanie za co?

Birgitta zrobiła kilka szybkich kroków, wchodząc do pokoju. Agnes dobrze wiedziała, co się zbliża. Plujący jadłem obraz papy Bertrama. Szykował się atak ciężkiej artylerii.

Ale Birgitta nie miała uporu swojego ojca i umilkła po zaledwie kilku chwilach, wyraźnie pozbawiona amunicji. Ostatnim argumentem w

jej krótkiej tyradzie było przypomnienie, że to dzięki niej Agnes dostała własny salonik.

– Ile służących może żyć tak po królewsku? – zakończyła.

Agnes wpatrywała się w Birgittę i myślała o dziesięcioletniej dziewczynce, która przybiegała do kuchni szukać schronienia lub pocieszenia albo po prostu chcąc o czymś opowiedzieć, czasem ze szkolnym podręcznikiem czy rysunkiem w ręku. Przypomniała sobie ich rozmowę w kuchni sprzed zaledwie kilku dni.

Żadna z sióstr nie skomentowała wybuchu Birgitty, po którym nastąpił głośny, niekontrolowany szloch. Agnes już miała wstać i do niej podejść, ale powstrzymała się, czując na sobie spojrzenie Greta. Powiedziała tylko, że na pewno wszystko jakoś się ułoży. Greta wciąż spoglądała na nią z dezaprobatą. Bez wątpienia twardo trzymała się postanowienia, że dla Birgitty nie ruszy nawet palcem.

W tej chwili do saloniku wkroczyła Liisa Lehtonen, co jeszcze spotęgowało wrażenie, że oto na scenie pojawia się kolejny aktor. Nie wygłosiła jednak żadnej kwestii, tylko spojrzała wściekle na siostry, objęła Birgittę i wyprowadziła ją z pokoju. Agnes pomyślała, że gdyby Finka miała w ręku pistolet, z pewnością by z niego wystrzeliła.

– To była pierwsza runda – oznajmiła Greta. Wstała, podeszła do drzwi i zamknęła je z hukiem.

Agnes miała ochotę się rozplakać, chociaż tak naprawdę nie wiedziała dlaczego. Gdyby mogła, opuściłaby ten dom natychmiast i zniknęła stąd na zawsze, ale Ronald przyjeżdżał dopiero jutro rano. Nie miała pojęcia, jak zdoła dotrzeć do schodów, przejść przez hol i wyjść frontowymi drzwiami. Czy pożegna się z profesorem? Chyba powinna, przecież mieszkali pod jednym dachem przez ponad pół wieku. Czy Ohler uściśnie jej dłoń i podziękuje za te wszystkie lata, czy też zacznie się awanturować? I czy ona ostatni raz rozejrzy się po tym domu z poczuciem straty? Pojawiało się tyle pytań, tak wiele emocji wpadało jedna na drugą, że jedyne, co mogła zrobić, to ukryć twarz w dłoniach i zacząć szlochać.

– Już niedługo nas tutaj nie będzie – powiedziała Greta. – Dobrze wiesz, że wdzięczność nigdy nie była mocną stroną Ohlerów. Ale niczego nie musimy się wstydzić. Robiliśmy to, o co nas proszono, a

nawet więcej.

Agnes przestała płakać i odsunęła dłonie od twarzy. Oczywiście, że tak właśnie było. Wszystkie trzy – Anna, Greta i ona sama – dobrze pracowały. Mimo to miała wyrzuty sumienia. Czuła się, jakby dezerterowała. Czy nie powinna poczekać do ceremonii wręczenia Nagrody Nobla? Profesor miał słabe serce. Może umrzeć, zanim odbierze nagrodę. Wtedy to ją winiono by o jego śmierć. I słusznie.

– Może jednak... – zaczęła.

– Nie! – przerwała jej siostra. – Nawet o tym nie myśl. Będziemy sobie tutaj siedzieć jak dwie staruszki, które nie są w stanie same się poruszać. A potem pójdziemy spać. Ronald przyjedzie jutro rano, punkt ósma.

Agnes wpatrywała się w czarne torby na śmieci i myślała o ogrodniku Lundquista. On też miał takie torby. A teraz odszedł, może na dobre.

– Pora żyć samodzielnie – stwierdziła.

Greta popatrzyła na nią, a potem odwróciła się w stronę telewizora.

W domu było cicho i ciemno. Zbliżała się północ. Karsten Haller uznał, że Ohler i jego stara służąca już śpią.

Do trzech razy sztuka, pomyślał, wślizgując się do piwnicy. Był podekscytowany i ani trochę się nie bał, zupełnie inaczej niż poprzednio. Nabrał rutyny, no i nie był zwykłym przestępcą, typowym włamywaczem. Kierowały nim złożone i wzniosłe pobudki. Tak naprawdę wymierzał sprawiedliwość. I pobierał odszkodowanie, ale nie we własnym interesie. Można było uznać, że przejmuje spadek po matce. A przy okazji zyska dla siebie kilka lat wśród krajobrazu, który cenił najbardziej: afrykańskiej sawanny.

Jednak przede wszystkim chciał wywołać w domu Ohlera jak największe zamieszanie i jak najbardziej mu zaszkodzić. Karsten Haller nigdy nie był żądny krwi i mściwy, ale teraz mocno trzymał się myśli, że ten obleśny starzec powinien cierpieć za swoją napaść.

Śmiało wkroczył do piwnicy. Klucze do sejfu były na swoim miejscu, wyglądało na to, że nikt ich nie ruszał od jego ostatniej wizyty. Wziął je, wszedł po schodach na górę i ostrożnie otworzył drzwi. W korytarzu było ciemno. Jak w Melongo, gdy natura zdawała się wstrzymywać oddech. On i Christian. Zupełna cisza. A później krzyk. Obaj podskoczyli. Christian wyszczerzył białe zęby w uśmiechu.

Dom pachniał jakoś inaczej. Chwilę potrwało, zanim Karsten zorientował się, że trwa tu remont. Powiódł światłem latarki po korytarzu. Nie chciał wpaść na puszkę z farbą.

Drzwi pokoju bilardowego były zamknięte. Pamiętał z ostatniej wizyty, że skrzypiały, więc sięgnął do kieszeni po pojemnik z oliwą i polał nią zawiasy. Odczekał chwilę, nacisnął klamkę i lekko pchnął drzwi. Otworzyły się bezgłośnie. Uśmiechnął się wśród mroku. Zaczynał być naprawdę dobry we włamywaniu się.

Podłoga zaskrzypiała. Z okna na drugim końcu korytarza wpadało słabe światło. Karsten otworzył drzwi szerzej i odczekał chwilę. W domu nadal panowała głucha cisza.

Niespodziewanie ogarnął go niepokój. Dotychczasowa pewność

siebie ustąpiła miejsca pulsującej obawie. Zaprzagnął stąd uciec, ale szybko odsunął tę myśl. Był już tak blisko celu. Drżącymi rękoma sięgnął po klucze. Chwilę później drzwi sejfu stanęły otworem. Hallera dotknął podmuch uwięzionego wewnątrz powietrza.

Nagle pomieszczenie zalało światło z przejeżdżającego samochodu. Karsten spojrział na zegarek. Za dwadzieścia pierwsza. Minęło zaledwie pięć minut od jego wejścia do piwnicy.

Pudełko z pieniędzmi było na swoim miejscu. Nie spodziewał się niczego innego, ale i tak odetchnął z ulgą. Wyjął pliki banknotów, poupychał w kieszeniach i przesunawszy światłem latarki po półkach, by sprawdzić, czy czegoś nie przegapił, zamknął sejf. Wyszedł z biblioteki bogatszy o setki tysięcy koron.

Napięcie i ciężar pieniędzy sprawiły, że zachichotał. Wracał tą samą trasą, jaką tu dotarł. Przemierzył korytarz i ostrożnie otworzył drzwi do piwnicy. Teraz już nic nie może pójść źle, pomyślał. Włączył latarkę, szybko zszedł po schodach, przestąpił puszkę z farbą, odłożył klucze na miejsce i skierował się ku drzwiom prowadzącym na wolność. Teraz chciał już tylko stąd wyjść. Chciał wrócić do domu, otworzyć piwo i policzyć pieniądze. Znowu zachichotał.

W tej samej chwili piwnicę skąpało światło.

Przed sobą miał kobietę unoszącą rękę z bronią, prawdopodobnie pistoletem. Stała ukryta w cieniu. Lufa była wycelowana w jego stronę. Kobieta stała na samym środku piwnicy, częściowo za kolumną, z dobrym widokiem w każdym kierunku. Doskonała pozycja, pomyślał.

– Kim jesteś?

Odwrócił się. Na schodach stała druga kobieta. Znał ją z ogrodu. W rękach trzymała jedną z tych włóczni, które widział w bibliotece.

– To nic takiego – powiedział.

– Co tutaj robisz?

– Wymierzam sprawiedliwość – odparł.

– Sprawiedliwość? O co ci chodzi?

– Mam na imię Karsten, a ty?

– Birgitta von Ohler.

– Córka pana domu?

Kobieta przytaknęła. Natychmiast poczuł się spokojniejszy. Dłonie

trzymające włócznię trzęsły się. Odwrócił głowę. Pistolet nie drgnął nawet o milimetr.

– Kiedy otwierałeś drzwi do piwnicy, akurat wyrzalam przez okno – powiedziała trzymająca go kobieta. – Masz pecha.

Zerknął w stronę drzwi.

– Jeśli się ruszysz, to cię zastrzelę – ostrzegła kobieta.

– Bez wątpienia, wierzę ci – odparł.

Już kiedyś celowano do niego z pistoletu. To było w Johannesburgu i wtedy uciekł. Co prawda stracił sporo pieniędzy i zegarek, ale nic poza tym.

– I ja nie pudłuję – oznajmiła kobieta. – Zdobyłam trzy medale na igrzyskach olimpijskich i mistrzostwach świata.

– Rozumiem – powiedział Karsten z uśmiechem, ale przemknęło mu przez myśl, że ta kobieta jest chyba obłąkana.

– Liisa, to ten ogrodnik od Lundquista, teraz go poznaję.

– Zgadza się – potwierdził.

– A Liisa jest strzelcem sportowym.

– Czyli wszystko jasne – oznajmił. – A teraz muszę już iść.

Dostrzegł przelotny uśmiech kobiety z bronią.

– Iść? – powtórzyła. – Włamałeś się i myślisz, że teraz, gdy już się przedstawiłeś, po prostu sobie pójdziesz?

– Tak, macie wszelkie powody, żeby mnie puścić wolno.

– A jakie? – zapytała Birgitta.

– Chodzi o pośmiertną reputację twojego ojca – wyjaśnił Karsten Haller, na wpół obracając się i spoglądając w jej stronę. – Laureata Nagrody Nobla, znanego profesora.

– Pośmiertną reputację? Co za bzdury powiadasz? – syknęła Liisa.

– O co ci chodzi? – dopytywała Birgitta.

– Niezależnie od Nagrody Nobla, gdybym opowiedział, co się wydarzyło w tej piwnicy, jego wizerunek stałby się zgoła inny.

Czy na twarzy córki Ohlera pojawił się cień strachu? Czy wiedziała, co wydarzyło się w piwnicy ponad sześćdziesiąt lat temu?

– Musisz wszystko wyjaśnić – nakazała Liisa.

– Nie chcę tego słuchać – zastrzegła Birgitta.

– Oczywiście, że chcemy tego słuchać – powiedziała Finka

stanowczym głosem.

– Wezwanie policji równa się skandalowi, bądźcie tego świadome
– spokojnie wyjaśnił Karsten.

– Sprawdzam – rzuciła Liisa.

– Nie gramy w pokera – mruknęła Birgitta.

– Widzicie to łóżko?

– Stop! To tylko ohydne plotki. Pewnie rozmawiałeś z Wiikiem.

– Nie znam żadnego Wiika – odparł Karsten. – Za to znam, a raczej
znałem, Annę Haller z domu Andersson.

– Rozumiem – powiedziała Lisa. – Mów dalej.

– Puśćmy go – odezwała się Birgitta.

– Anna Haller była moją matką – rzekł Karsten.

– To kłamstwo! Po prostu chciała wymusić pieniądze od tatusia.

– Co ona miała wspólnego z Bertramem? Czy...

– Wynocha! – krzyknęła Birgitta, potrząsając włócznią.

Karsten spojrzał na Liisę. Dostrzegł wahanie w jej oczach.

– Co masz w kieszeniach? – zapytała.

– Swój spadek – wyjaśnił Karsten. – Albo odszkodowanie, jeśli
wolisz.

– Ukradłeś pieniądze?! – zawołała Birgitta.

– Odszkodowanie za co? – spytała Liisa.

Karsten nie odpowiedział, tylko spojrzał na Birgittę von Ohler. Już
kiedy widział ją w ogrodzie, poczuł odrazę, a teraz to uczucie tylko się
wzmocniło. Ta kobieta była kompletnie roztrzęsiona. Sam Haller czuł
spokój, a nieznajoma mówiąca z fińskim akcentem wydawała się
niewzruszona. Zrozumiał, że to właśnie ją musi przekonać, jeśli chce
wyjść z tej piwnicy. Musi coś jej dać.

– Za molestowanie – odparł, a potem, ignorując pistolet, szybko
podszedł do łóżka, chwycił kute wezglowie i potrząsnął tak, że
zagrzechotało.

Dotyk żelaza i widok szachownicy z płaskich żelaznych prętów
wyzwolił nagłą wściekłość.

– To jest łóżko, na którym zgwałcono moją matkę! Zgwałcono!
Nie ma na to innego określenia!

Obie kobiety wpatrywały się w niego.

– Taki właśnie jest ten szacowny noblista! Twój ojciec. Profesor, którego teraz nagrodzą za jego wysiłki.

– Jakie masz dowody?

Spojrzał na Birgittę z nienawiścią i pogardą w oczach. Jeszcze trochę, a byłby w stanie ją uderzyć.

– Dowody?! – wykrzyknął. – Całe jej życie było dowodem! Ona nie dostała żadnej nagrody, tylko dożywocie!

Zamilkł. Liisa opuściła pistolet.

– Jesteś pewien? Może to było za obopólną zgodą – odezwała się. Haller gwałtownie pokręcił głową.

– Nie – powiedział ściszym głosem. – Dokładnie wiem, jak to się stało.

Mógł opowiedzieć o ciąży, o aborcji. Opowiedzieć o rozpaczyci matki, o bolesnych słowach z pamiętnika, ale nie chciał obnażać jej najskrytszych uczuć. Wiedział, jakie miała poczucie winy przez to, co się wydarzyło.

Uświadomił sobie, że jej słowa były przeznaczone tylko dla niego. Że zachowała swój dziennik właśnie przez wzgląd na przybranego syna. Matka chciała, żeby go przeczytał. Przeczytał i zrozumiał. Po to, aby wybaczyć jej bezradność, niepewność i irytację, które czasem ją ogarniały, pośrednio dotykając także jego.

– Została tutaj zwabiona przez Ohlera – podjął. – Nie wiem jak. Może jakimiś obietnicami, a może miała coś przynieść. Przywykła do jego kaprysów. Czyściła mu buty i prała bieliznę, więc dlaczego miałyby nie posłuchać, kiedy kazał jej pójść ze sobą do piwnicy?

– Czy mogła być aż taka naiwna? – wtrąciła Liisa.

– Była naiwna. Niewiele wiedziała o życiu poza tym, że musi się słuchać wielmożnych państwa. Ale tak naprawdę nie miało znaczenia, czy była kobietą doświadczoną, czy nie, bo przecież gwałt to zawsze gwałt, prawda?

Liisa przytaknęła.

– Pochodziła z Gräsö – oznajmiła Birgitta beznamiętnym głosem. Karsten zerknął na nią przelotnie, ale całą uwagę skupiał na Fince.

– Tak, z bardzo religijnej rodziny – dodał.

– Mówisz o gwałcie, ale może ona kochała się w Bertramie? –

powiedziała Liisa. – A potem sprawy zaszły dalej, niż się spodziewała, i nawet dalej, niż on się spodziewał. Może zakradli się tutaj, żeby trochę się poprzytulać, a potem ich poniosło.

Zaśmiał się szyderczo.

– Chyba sama w to nie wierzysz – powiedział. – To było sześćdziesiąt lat temu. Była na jego łasce.

– Tak jak dzisiaj – powiedziała Liisa.

– Co masz na myśli?

– Nieważne – stwierdziła, wsadzając pistolet za pasek. – Najlepiej będzie, jeśli znikniesz z tego domu.

– Nigdy! – krzyknęła Birgitta.

– Uspokój się, Birgitto. On odejdzie, tamta sprawa zostanie zapomniana i wszystko będzie takie, jakie było do tej pory, fałszywe i ponure. Bertram dostanie swoją nagrodę i swoją chwałę. A ty, jeśli chcesz, możesz wytapetować cały dom pieniędzmi.

– Nie kpij ze mnie! Ten złodziej i kłamca może wywołać skandal tylko po to, żeby dokuczyć tatusiowi. On chce wywołać skandal! On nas nienawidzi!

– Nie, ja chcę tylko zniknąć – zapewnił Karsten.

– On nas nienawidzi – powtórzyła Birgitta. – Nienawidzi nas, dlatego że mamy duży, ładny dom i dobre nazwisko, bo Bertram jest powszechnie szanowany.

– Nie chcę was więcej widzieć – powiedział Karsten, ale te słowa nie wywarły na niej żadnego wrażenia.

Zrobił kilka kroków w stronę wyjścia. Birgitta uniosła włócznię.

– Nienawidzisz nas, bo twoja matka pieprzyła się z moim ojcem. Ona tego chciała! Ale potem było jej wstyd, prawda? Wstyd przed tym jej świętoszkowatym ojcem.

Nie chciał już jej słuchać, nie chciał już na nią patrzeć. Tak, nienawidził Bertrama von Ohlera, i jej też. Nienawidził tutaj wszystkiego.

– Idź do diabła – powiedział spokojnie.

Liisa uniosła dłoń, chcąc załagodzić sytuację.

– Do diabła z tobą i twoim ojcem gwałcicielem! – wykrzyknął Karsten.

– Nie słuchaj go, Liisa! On kłamie! On z nas szydzi!
– Sądzę, że wiesz więcej, niż sama się przed sobą przyznajesz –
ciągnął Karsten. – Ale tutaj sekrety, brudy i przemoc są przechowywane
jak pamiątki rodzinne.

– Zastrzel go!

– Uspokój się, do cholery! On nic do ciebie nie ma ani do nas.
Wiesz o tym. Zniknie, a potem będzie spokój. Weźmie pieniądze i
wyjedzie. Nic innego go nie interesuje.

Karsten nagle się uśmiechnął.

– Za cztery dni wyjeżdżam do Afryki.

– No widzisz – stwierdziła Liisa.

– Blefuje – orzekła Birgitta. – Nie widzisz, że chce nas
skrzywdzić?

– Jesteś najbardziej jebniętą suką, jaką kiedykolwiek spotkałem –
stwierdził Karsten, cedząc słowa.

– Zamknij się! – warknęła, ale on nie posłuchał.

– Jak nie wierzysz w opowieść zmarłej kobiety, to zapytaj jej
siostrę, na pewno zna całą historię.

– Nic nie wie, była wtedy dzieckiem – odparła Birgitta, wyraźnie
spokojniejsza, jakby komentarz Liisy ją ukoił.

– Nie wie nawet o aborcji? – wyrwało mu się.

– Jakiej aborcji?

– Anna zaszła w ciążę. Tutaj – powiedział, wskazując łóżko. – I
tutaj twój dziadek dokonał aborcji, a twój wspaniały tatuś mu przy tym
asystował. Nigdy by się na to nie zgodziła, gdyby tylko wiedziała, co się
dzieje. Załamana i wystraszona, myślała, że profesor chce ją tylko
zbadać, ale była otumaniona narkotykami i wyjęli z niej płód. Wiem, że
to brzmi nieprawdopodobnie, ale tak się właśnie stało.

Wpatrywały się w niego.

– Bertram był ojcem? – zapytała Liisa.

Karsten potwierdził.

– I potem już nie mogła mieć dzieci – dodał.

Birgitta roześmiała się.

– A co z tobą?

– Jestem adoptowany – wyjaśnił Haller. – Moja biologiczna matka

zginęła w ostatnich dniach wojny. Miałem zaledwie kilka miesięcy, kiedy ojciec zabrał mnie do Szwecji na statku „Rönnskär”. Później ożenił się z Anną. Długo myślałem, że to ona jest moją prawdziwą matką. Ale dla mnie i tak nie było różnicy. Kochałem Annę jak matkę.

– Dobry Boże – powiedziała Liisa. – Co za historia. Co za cholerna sprawa. A co, jeśli...

Kobiety spojrzały po sobie. Karsten dobrze wiedział, co dzieje się w ich głowach. Gdyby ta „cholerna sprawa” ujrzała światło dzienne i stała się powszechnie znana, to by zniszczyło reputację rodziny Ohlerów. Lekarz, który najpierw zgwałcił pobożną młodą kobietę, a potem razem z ojcem, profesorem ginekologii, przeprowadził nielegalną aborcję w piwnicy, nigdy nie mógłby dostać Nobla z medycyny – niezależnie od swoich późniejszych osiągnięć.

Dostrzegł, że obie zaczynają to rozumieć. Zrobił krok w stronę drzwi.

– Teraz już wiesz – powiedział – że szacowny noblista gwałcił swoje pracownice.

– Przestań!

Głos Birgitty zabrzmiał echem po piwnicy. W tej samej chwili u szczytu schodów pojawiła się jakaś postać.

– Co tu się dzieje?

Oczy wszystkich zwróciły się ku Grecie. Birgitta pierwsza doszła do siebie.

– Nic się nie stało! – zawołała. – Zaskoczyłyśmy złodzieja.

– Ciocia – wyszeptał Karsten, nie potrafiąc ukryć uśmiechu. Teraz czuł się bezpieczniejszy. Zwłaszcza gdy zobaczył, że stara kobieta schodzi na dół.

– Złodzieja?

– Już stąd idę – powiedział, odwracając się i łapiąc klamkę drzwi prowadzących ku wolności.

W tej samej chwili poczuł mocne pchnięcie w plecy. Zatoczył się do przodu, zamachał rękami w powietrzu i runął na podłogę. W tym samym momencie pojawił się przeszywający ból. Odwrócił głowę, zobaczył wykrzywioną twarz Birgitty i uświadomił sobie, że jej włócznia unosi się i opada, aby ponownie wbić się w jego ciało.

Muszę uciekać, pomyślał. Wiedział, co potrafi zrobić afrykańska włócznia. Zebrawszy wszystkie siły, przetoczył się do korytarza prowadzącego w stronę wejścia do piwnicy.

Uniósł rękę w bezowocnej próbie osłonięcia się. Włócznia spadła ponownie. Teraz przebiła mu gardło. Usta natychmiast wypełniły mu się krwią. Próbował czołgać się dalej, ale nie zdołał. Wtedy dosięgnął go czwarty cios. Włócznia wbiła się pod prawą łopatką i przebiła płuco.

Co my zrobimy z... – Liisa szukała odpowiedniego słowa – ...z ciałem, z trupem, po prostu z nim?

Birgitta milczała. Siedziała przygarbiona na ogromnym kufrze oklejonym nalepkami z nazwami różnych miejsc na świecie.

Greta próbowała potrząsaniem przywrócić życie ogrodnikowi, ale na próżno. Cały korytarz był we krwi.

Wsadzimy go do kufra, pomyślała Liisa, ale uświadomiła sobie, że to nie rozwiązuje problemu. Zacząłby śmierdzieć już po kilku dniach.

Uznała, że trzeba pozbyć się zwłok. Nic, co się tutaj stało, nie mogło wyjść na jaw. Nie można mieszać w to policji. Profesor też nie powinien się o niczym wiedzieć. Birgitta i Greta wpatrywały się w nią, gdy wykladała im całą strategię.

– Jeżeli to się rozejdzie, możemy zapomnieć o Nagrodzie Nobla i o wszystkim innym. Poza tym Birgitta trafi do więzienia. I długo stamtąd nie wyjdzie. My też odpowiemy, za współudział.

Nie była tego pewna – adwokat argumentowałby, że chodziło o obronę własną – ale chciała nastraszyć Gretę. Nad Birgittą zdołałaby jakoś zapanować, nie wiedziała natomiast, jak byłoby z Anderssonówną.

– Przecież on się włamał – zauważyła starsza kobieta.

– Tak, ale zmarł w wyniku wielu głębokich ran. To już trudniej wytłumaczyć. Zwłaszcza że wszystkie ciosy zadano od tyłu. Dla żadnej z nas nie wygląda to dobrze.

– Ale dlaczego się włamał? – zastanawiała się Greta. – To jest zwykły ogrodnik.

Liisa spojrzała na nią. Starsza kobieta była przerażona i niczego nie rozumiała.

– A co, ogrodnicy nie mogą popełniać przestępstw? Zabrał mnóstwo pieniędzy. Sama widziałaś.

Włócznie wskazała wejście, gdzie widać było nogi zabitego. Birgitta przerwała milczenie.

– Pochowamy go – powiedziała słabym głosem. – Musimy go pochować. To w końcu chrześcijanin.

– Nic o tym nie wiemy – odparła Liisa. – Ale musimy jakoś pozbyć się ciała.

Pod tym ostentacyjnym spokojem czuła przerażenie. Nie tyle tym, jak poradzą sobie z całą sytuacją, ile furia, która ogarnęła Birgittę. Dzikość, z jaką dźgała włócznią, raz za razem, wstrząsnęła nią. Myślała, że ją zna, żyły ze sobą już od paru lat, ale teraz stało się jasne, że Birgitta ma też inne oblicze, do tej pory skrywane.

– Pochowamy go – powtórzyła.

– Gdzie? – zapytała Liisa.

Greta spojrzała na nią, a Finka uświadomiła sobie, że musi działać szybko, dopóki starsza kobieta jest w szoku. Greta, a może Birgitta, któraś z nich zaraz się załamie.

– Zaniesiemy go do mojego samochodu – orzekła Liisa. – Mogę wjechać na podwórze.

Żadnej reakcji. Natychmiast uświadomiła sobie, że to wcale nie jest dobry pomysł. Był środek nocy i dźwięk ruszającego samochodu mógł obudzić jakiegoś sąsiada. Ponadto Bunde mógł wyjrzeć na ulicę. Nie miała też pewności, czy da się otworzyć drzwi do garażu. Z tego, co pamiętała, były zamknięte na łańcuch i solidną kłódkę. Tak jak chciał profesor.

– Ogród – rzuciła.

– Tam się za ciężko kopie – zaprotestowała Birgitta.

Liisa miała ochotę do niej podbiec i ją przytulić. Głos Birgitty brzmiał jak zawodzenie ducha, ale Finka potrafiła wyłowić z niego spokojniejszy ton. Birgitta dochodziła już do siebie.

– U Lundquista – odezwała się po chwili namysłu. – Tam jest miękka ziemia.

Liisa nie rozumiała, o co jej chodzi, ale Birgitta mówiła dalej, jakby opowiadała o czymś całkiem zwyczajnym.

– Kopał tam od kilku dni. Widziałam go, jak kopał. W szopie przy bańce z oliwą jest szpadel. Pójdziemy tam i...

– Nie możemy tego zrobić – zaprotestowała Greta. – Nie możemy tak po prostu... – Głos jej się załamał.

Liisa rozejrzała się.

– Są tu jakieś stare dywany?

Birgitta wskazała kąt piwnicy.

– Tam jakiś jest – powiedziała. – Owinięty w folię.

Liisa prześlizgnęła się do ciemnego kąta.

– Folia będzie lepsza – oznajmiła, szarpiąc za rulon. – Mniejsze tarcie.

Odwróciła się i zobaczyła, że Birgitta rozumie, o co jej chodzi, ale Greta nadal tylko patrzy, kompletnie skołowaciała. Liisa oderwała duży kawał plastyku i zwinęła w rulon.

– Gdzie jest Agnes? – zapytała nagle Birgitta.

– Śpi – odparła Greta. – Usłyszałam jakieś dziwne odgłosy i... Nie chciałam jej budzić... Ona nigdy...

– To dobrze! – zawołała Liisa. – Damy jej spać.

– Nie powinniśmy zadzwonić na policję?

– Greto! Obudź się! Czy ty niczego nie rozumiesz? Wsadzą Birgittę do więzienia. Do więzienia! Tego chcesz?

Liisa pochyliła nad martwym ogrodnikiem i wyjęła z jego kieszeni pliki banknotów. Były zakrwawione. Rzuciła je na podłogę.

– Teraz mi pomóżcie – powiedziała, wsuwając dłonie pod pachy Karstena. – Łapcie go za nogi.

Greta i Birgitta podeszły z wahaniem.

– Musimy wynieść go na zewnątrz! Potem go położymy na tej folii i przeciągniemy po trawie.

Wspólnymi siłami dźwignęły ciało i przeciągnęły przez drzwi, a potem piwnicznymi schodami na górę.

Mżyło. Gałęzie jabłoni lekko kołysały się na wietrze. Liisa podkrađła się do rogu budynku i rozejrzała się. Wszystkie okoliczne domy były ciemne. Tylko na wieży docenta jak zawsze paliło się światło; taki niebieskawy blask, który, jak tłumaczyła Birgitta, pochodził z instalacji mającej jakiś związek ze wzrostem roślin.

Odwróciła się do pozostałej dwójki.

– Wygląda dobrze – wyszeptała. – Wszystkie okna są ciemne. Przyniosłaś szpadel?

Birgitta przytaknęła. Liisa pogładziła ją po twarzy. Deszcz się wzmógł.

Rozpostarli czarną folię na trawie. Greta szlochała, Birgitta

mamrotała coś pod nosem. Liisa owinęła trupa folią. Wiedziała, że bez trudu zdołają przeciągnąć ciało, ale będzie ciężko przenieść je przez żywopłot na posesję Bundego, a potem przez ogrodzenie na posesję Lundquista. Ostatni etap był krytyczny – przez krótki czas nie będzie ich osłaniał żaden krzak.

– No, bierzmy się do tego – powiedziała mimo narastającego w niej wahania. Chwyliła za folię i pociągnęła.

Wszystko poszło łatwiej, niż sądziła. Folia i wilgotna trawa pomogły im, ciało wydawało się lekkie. Birgitta zbytnio nie pomagała, za to Greta okazała się nadzwyczaj silna. Wspólnie zdołały przecisnąć ciało przez żywopłot i nad niskim ogrodzeniem. Gdy z łupnięciem spadło po stronie Lundquista, wydawało się, że Karsten Haller jęknął, bo z jego płuc wydostały się resztki powietrza.

– Dam sobie radę – wyszeptała Liisa i machnięciem ręki zbyła protesty Birgitty.

Zgrabnie przeskoczyła ogrodzenie, zaciągnęła ciało pod osłonę krzaków i podniosła szpadel ciśnięty przez Birgittę. Odczekała chwilę. Wykorzystując ćwiczenie oddechowe znane ze strzelnicy, zdołała odzyskać wewnętrzną równowagę. Puls jej zwolnił. Ciało leżące u jej stóp przypominało jakiś worek. Nocny ziąb i odczuwane napięcie sprawiły, że zaczęła się trząść.

Wydawało się, że cała okolica już śpi. Słysząc było tylko szum deszczu.

Przypomniała sobie, jak sadzi się te niewielkie rośliny, które przypominały jej borówki, a potem delikatnie wyrwała krzaczki i odłożyła na bok. Zaczęła kopać. Zaskoczyło ją, jak luźna jest tu ziemia. Wykopanie mogiły nie zajęło dużo czasu. Poniżej głębokości pół metra ziemia zrobiła się twarda. Postanowiła więc, że już wystarczy.

Przyciągnęła ciało, które teraz wydawało się cięższe i coraz bardziej sztywne, i wturlała do jamy. Rozpostarła folię niczym całun, poutykała wokół trupa, a potem zasypała dół. Pracowała szybko, w skupieniu, a kiedy ostatni krzaczek trafił z powrotem na swoje miejsce, pozwoliła sobie na dwie minuty odpoczynku. Przykucnęła. Deszcz spływał jej po twarzy. Chciała zmówić modlitwę albo zrobić cokolwiek, co by przypominało jakąś ceremonię pogrzebową, ale okazało się, że zna

tylko kilka wersów *Ojcze nasz*.

– „Bądź królestwo Twoje, jako w niebie, tak i na ziemi. Amen” –
wymamrotała.

Telefon zabrzączał o szóstej trzydzieści. Dzwonek był ściszony. To dobrze, pomyślała Ann Lindell. Anders musi się wyspać, bo pracował do późna. Obudziła się, gdy wślizgnął się do łóżka, i zerknęła na zegarek: 2.33. Cieszyła się, że znowu zaczął pisać. Chyba coś na temat Bliskiego Wschodu, przemknęło jej przez głowę i po chwili znowu zasnęła.

Była pewna, że dzwoni Ottosson, i z pewnym podekscytowaniem pośpieszyła do przedpokoju odebrać telefon. Spokój ostatnich tygodni wreszcie zastąpi coś bardziej stymulującego dla wyobraźni.

Przyznała sama przed sobą, że to dziwaczna myśl, ale przecież jej wydział zajmował się zabójstwami.

Znalazła telefon na kanapie, między poduchami.

– Już odeszła. – Głos był przytłumiony, jakby Edvard stał daleko od słuchawki. – Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć.

Oczywiście, że chciała wiedzieć. Ciężko opadła na sofę. Spodziewała się tej wiadomości, ale i tak czuła się jak sparaliżowana. Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

– Umarła we śnie – ciągnął Edvard. – Cicho i spokojnie.

Teraz słyszała, jak bardzo jest zmęczony.

– Wyczułem to dziś w nocy. Wstałem i akurat kiedy wszedłem do jej pokoju, wzięła głęboki oddech, tylko jeden. Czekałem, ale już nie było więcej oddechów. To był koniec. Leżała z rękami skrzyżowanymi na piersi i wygląda tak, jakby się uśmiechała.

Ann doświadczyła tego już wiele razy. Zmarły wyglądał, jakby się uśmiechał, nawet jeżeli odszedł gwałtownie i nienaturalnie.

– Miała długie życie. – To było pierwsze, co zdołała powiedzieć.

To banał, pomyślała, ale jej słowa mówiły nie tylko o liczbie przeżytych przez Violę lat. Ann wyczuwała, że Edvard zrozumiał, o co jej chodziło.

Wymruczał coś w odpowiedzi, zgadzając się z Ann. Potrafiła go sobie teraz wyobrazić. Na pewno siedzi przy stole w kuchni, spoglądając na podwórze, gdzie brzask można było jedynie wyczuć. Pomyślała, że musi się czuć bardzo samotny.

– Mocno wieje? – spytała.

– Tak i od paru dni tylko z północnego wschodu – odparł Edvard.

– Którego nienawidziła.

– Tak – potwierdził. – Którego nienawidziła.

Chciała powiedzieć, że dzięki temu Violi łatwiej było odejść, ale się powstrzymała. Edvard mógłby ją źle zrozumieć.

– Rozmawiałeś już z kimś?

– Nie. Planuję zadzwonić do Torstena, Greta i paru innych osób. Potem wiadomość sama będzie się rozchodzić dalej. Ale nie ma się co śpieszyć.

– Pijesz kawę?

– Mhm.

– Zostaw mi łyk. Będziemy w kontakcie?

– Tak.

Odniosła wrażenie, że Edvard płacze. Gdy skończyli rozmowę, została na kanapie. Uświadomiła sobie, że właśnie kończy się pewien rozdział jej życia. Choroba Violi sprawiła, że ponownie nawiązała kontakt z Edvardem, odwiedziła Gräsö. Jeszcze parę tygodni temu coś takiego wydawałoby się nie do pomyślenia. Po pogrzebie Violi już nie będzie powodu, żeby dalej utrzymywać z nim kontakt. Historia Edvarda nieubłaganie zbliżała się do swojego kresu.

Chciałaby pojechać na wyspę i dotrzymać mu towarzystwa, pocieszyć, ale to nie wchodziło w rachubę. Uznałby to za sygnał, że Ann chce nadal się z nim spotykać, może nawet odnowić związek. A w niej nie było już tamtych uczuć. Wypaliły się albo zostały zepchnięte tak głęboko, że sama o nich nie wiedziała. Jej świadome „ja” zmobilizowało wszystkie siły, żeby wymazać wszelkie rzeczywiste czy wyimaginowane uczucia do człowieka, którego kochała i którego miłość zmarnotrawiła.

– Umarła?

W drzwiach stał Anders i patrzył na nią. Wyglądał żałośnie w tym swoim szlafroku frotté.

Kiwnęła głową.

– Jadłaś już śniadanie?

– Nie, ale byłoby miło, gdybyś zrobił kawę.

– Smutno ci?

– Tak, oczywiście. Viola była niezwykłą kobietą. Prawdziwą przyjaciółką.

– Miała długie życie – zauważył Anders, powtarzając jej słowa sprzed kilku minut. – Zaparzę małą jawajską, to da nam kopa.

Uśmiechnęła się. Był jedyną znaną jej osobą, która na kawę mówiła „jawajska”.

– To będzie ostatni wyjazd na Gräsö. Chcesz pojechać ze mną na pogrzeb?

– Raczej nie – odpowiedział. – Pogrzeby nie są moją mocną stroną. Nie znałem jej. Będzie lepiej, jeśli pojedziesz sama.

Oczywiście, że tak. Oboje czuliby się nieswojo, gdyby się z nią wybrał.

Słyszała, jak Anders napełnia ekspres do kawy i wyciąga kubki. Najchętniej wyciągnęłaby się teraz na kanapie i pozwoliła Andersowi opatulić się kocem, ale wiedziała, że nie ma takiej możliwości. Musiała wstawać. Na zegarze była już siódma. Za półtorej godziny czekało ją coś w rodzaju konferencji, której tematu nawet nie знаła. Miała jednak pewność, że niewiele z niej wyniknie. Takie mielenie bez znaczenia i bez celu. Będzie tam siedzieć beczynn timer, podczas gdy ten nożownik Ludwig Ohrman i inni jego pokroju rozparci wygodnie na sofach będą planować kolejne draństwa. Będzie musiała nad nim popracować. Ostatnio nie pojawił się na przesłuchaniu, na które go wezwała.

Ann wstała z pewnym wysiłkiem, ale i zwabiona aromatem kawy.

– Ten twój noblista znowu zbiera cięgi – stwierdził Anders.

Siedział nad gazetą i uśmiechał się pod nosem. Lubił kontrowersje i polemiki.

– Od kogo?

– Od docenta Johanssona, jeśli kojarzysz to nazwisko.

– Owszem, znam go – powiedziała Ann.

Pochyliła się nad ramieniem Andersa i zerknęła na artykuł, który czytał. Ilustrowało go zdjęcie Ohlera i Johanssona, archiwalna fotografia sprzed ponad dwudziestu lat, przedstawiająca ich w pomieszczeniu wyglądającym na laboratorium. Obaj byli śmiertelnie poważni. Docent wyglądał młodo. Przeczytała wstęp i ostatni akapit.

– Ten uprzejmy facecik ma ostre pióro – skomentowała. – Teraz to

już będzie prawdziwa sąsiedzka kłótnia.

Opowiedziała pokrótce Andersowi, co stało się do tej pory. Historia wyraźnie go rozbawiła, a jej od razu poprawił się nastrój. Zaraził ją tym swoim chłopięcym śmiechem z dwójki sąsiadów wspólnie napadających na trzeciego.

– Torben Bunde nigdy nie był racjonalny, ale Johansson jest całkiem sensowny – zauważył Anders. – Żadnych zaciekłych pchnięć ani jakiegoś akademickiego żargonu, jedynie suche fakty, chociaż ostre jak brzytwa. Potrafię sobie wyobrazić, jak u Ohlera robi się teraz lodowato. To już nie jest jakiś zazdrośnik z zewnątrz, ale ktoś, kto tam był. To boli.

Ann zastanowiła się, czy powinna powiedzieć Andersowi o powiązaniach gospodyni Ohlera z Violą, uznała jednak, że to byłaby niedyskrecja.

Sięgnęła po inną część gazety, otworzyła na przypadkowej stronie i zobaczyła, że boska sprawiedliwość uprzedziła ziemską. Pierwszym, co przeczytała, był nekrolog Ludwiga Ohrmana. Miał czterdzieści lat, pozostawił pogrążonych w głębokim żalu rodziców oraz sporą gromadkę braci i sióstr.

Sprawdziła datę śmierci. Teraz rozumiem, dlaczego nie pojawił się na przesłuchaniu, pomyślała.

– Obudzę Erika – powiedział Anders.

Stało się już zwyczajem, że to właśnie on pilnował, aby chłopiec zjadł śniadanie i w porę wyszedł z domu. Zazwyczaj odprowadzał Erika do szkoły, a potem szedł na długi spacer.

Wiedziała, że Erikowi odpowiada taki układ. Anders wyróżniał się na tle innych przybranych ojców. Przede wszystkim tym, że został przejechany przez autobus, a później prawie zasztyletowany przez jakiegoś bandziora, po czym zostały mu imponujące blizny.

Erik postanowił, że zostanie policjantem. Ann nie próbowała go od tego odwozić. Wkrótce sam dojdzie do odpowiednich wniosków i zacznie marzyć o czymś lepszym.

Pochyliła się i pocałowała Andersa w policzek.

– Dzięki – powiedziała.

Zaskoczony spojrzął znad gazety,

– Za co?

– Za...

Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Uśmiechnął się do niej, ale to był uśmiech pełen wątpliwości. Dostrzegła, jak przez twarz przemknął cień troski.

– Musisz się sam domyślić – dokończyła wreszcie i wyszła z kuchni.

Ronald był małomównym młodym człowiekiem, który bez słowa zniósł na dół walizki i torby z rzeczami Agnes. To, że znalazł się w domu arystokratycznego noblisty, nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Widać było, że chce jak najszybciej stąd wyjechać.

Agnes została na górze. Chociaż oba zajmowane przez nią pokoje opróżniono już z jej rzeczy, chciała się upewnić, że niczego nie zapomniała. Pootwieriała szafki, powyciągała szuflady komody. Wędrowała po sypialni i saloniku niczym zbłąkana dusza. Greta przyglądała się jej w milczeniu. Potem zeszła na dół, aby pomóc zapakować rzeczy siostry do samochodu.

Nigdzie nie było widać Birgitty ani Liisy Lehtonen.

W domu panowała nienaturalna cisza. Ronald, próbując zażartować, stwierdził, że jest tak, jakby ktoś umarł. Kiedy już wszystko zapakowano, Agnes nie zostało nic więcej do zrobienia. Musiała wreszcie zejść na dół. Birgitta stała w holu, blada i bez makijażu, i wyglądała przez otwarte drzwi. Wydawało się, że chce dopilnować, co wynosi się z domu. Nic nie powiedziała, kiedy Agnes prześlizgnęła się obok niej do kuchni. Jakby w ogóle jej nie zauważyła.

Greta zrobiła kawę. Agnes miała ochotę na filiżankę przed wyjazdem, może jeszcze na kanapkę. Musiała też pomyśleć o przygotowaniu czegoś dla RONALDA i siostry, ale zastygła przed blatem, przy którym pracowała pięćdziesiąt pięć lat. Przez pierwszych dwadzieścia lat był tu jeszcze kucharz. Potem za posiłki odpowiadała już tylko ona.

Wszystko poszło tak szybko, pomyślała. Jeszcze kilka tygodni temu pomyślała, aby się spakować i wyprowadzić, w ogóle nie wchodził w rachubę. Co prawda już od kilku lat zastanawiała się nad przejściem na emeryturę, ale podczas ostatnich tygodni wszystko oszołamiająco przyspieszyło. Ledwie za sobą nadażała. Bez GRETY odejście nigdy nie stałoby się możliwe. Poddałaby się wściekłości profesora i próbom perswazji ze strony Birgitty.

Mechanicznie wyjęła chleb i coś do niego. Zrobiła kilka kanapek i

wypiła parę łyków mocnej kawy, dzięki czemu trochę się ożywiła. Także pogoda zaczęła się poprawiać. Chmury rozpiezchły się, odsłaniając parę splechotków błękitnego nieba.

Agnes nie usłyszała, jak Birgitta wchodzi do kuchni, i podskoczyła ze strachu, kiedy córka Ohlera się odezwała. Stała oparta o framugę drzwi, a jej mina świadczyła, że czuje się głęboko zraniona. To właśnie była obrażona Birgitta, którą Agnes dobrze знаła. Nie miała do powiedzenia nic nowego, powtórzyła tylko swoje argumenty, twierdząc, że Agnes stawia ich w trudnej sytuacji.

Agnes postanowiła się nie bronić. To nie miało sensu.

– Już mnie nawet nie zauważasz? – marudziła Birgitta.

– Po prostu nie słyszałam, jak wchodzisz – wyjaśniła Agnes. – Napijesz się kawy?

Birgitta pokręciła głową. Zajadłość ją szpeciła. Zrobiła kilka kroków w stronę Agnes i już szykowała się do ponownego słownego ataku, kiedy do kuchni wkroczyła Greta. Zignorowała córkę Ohlera. Agnes wyczuła, że mają za sobą jakąś kłótnię.

– Wszystko już spakowane. Ronald czeka w samochodzie.

– Nie zje kanapki?

– Nie, chce już jechać.

Agnes odniosła wrażenie, że jej siostra w co najmniej równym stopniu śpieszy się, aby opuścić ten dom. Przez cały ranek wydawała się dziwnie nieobecna, ale tłumaczyła się tym, że źle spała.

– No to się pożegnajmy – oznajmiła Agnes, wyciągając rękę.

Birgitta zaszlochała. Agnes zrobiło się jej żal, zdawała sobie sprawę, że teraz właśnie ona będzie ofiarą humorów profesora. Z drugiej strony, jej zachowanie było niemiłe, wręcz bezczelne. Gdyby była tylko smutna, Agnes mogłaby ją przytulić, pocieszyć, tak jak kiedyś.

W tej samej chwili do kuchni wszedł profesor. Za jego plecami widać było Liisę.

– Wygląda na to, że odchodzisz – syknął wściekle.

Nawet Birgittie odjęło mowę.

Greta pokręciła głową.

– Do widzenia – powiedziała Agnes, wyciągając rękę.

Profesor udał, że tego nie widzi. Odwrócił się w stronę córki.

– Teraz, kiedy służba opuściła dom, ty musisz zadbać o...

– Później o tym porozmawiamy – ucięła Birgitta.

Profesor zgromił ją wzrokiem. Agnes wiedziała, że nie cierpi, jak mu się przerywa. Poza tym dostrzegła, że kręci mu się w głowie.

– No to dziękujemy... – zaczęła Greta, ale Agnes powstrzymała ją, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Nie chciała żadnych kłopotów. Chciała po prostu zniknąć z tego domu.

– Jędze – burknął profesor.

– Nie byłam dla pana jędzą – odparła Greta i uniosła palec wskazujący, jakby łajała dziecko.

– Takie dostaję podziękowanie?! – ryknął profesor. – Karmiliśmy was przez tyle lat. Miałyście tutaj dobrze. Agnes! Nie mów, że było inaczej, nie próbuj kłamać!

Agnes nie spodziewała się czułego pożegnania, ale też nie takiej złości, nie takiej agresji, takiej niesprawiedliwości.

– Cisza! – huknęła Greta głosem Arona. – Powinien pan być wdzięczny, że byliśmy wobec pana lojalne przez te wszystkie lata.

Przejęła także sporo z ojcowskiej twarzy: ostre, wyraziste rysy, mocną szczękę i płonące oczy. Twarz nieustępliwego kaznodziei.

– Lojalne – parsknął profesor.

Wykrzywił wargi, ale nie osiągnął zamierzonego efektu, bo żeby nie upaść, musiał podeprzeć się obiema rękami o oparcie stojącego przed nim krzesła. Oddychał z dużym trudem.

– Tatusiu! – jęczała Birgitta.

Mimo wysiłków Agnes, aby uciszyć Gretę, ta nie dawała za wygraną. Zbliżyła się do profesora i zmusiła go, aby spojrzał jej w oczy. Agnes dostrzegła w jego spojrzeniu lęk, po raz pierwszy, od kiedy zjawiała się w tym domu. Czy to z powodu furii Grety, czy może obawiał się ataku serca? Prośba o pigułkę mogłaby wprawić go w zakłopotanie, bo świadczyłaby o jego słabości i zależności.

– Wiem o wszystkim, co wydarzyło się w tym domu – powiedziała Greta. – O wszystkim! Tutaj jest tyle szkieletów w szafach, że wystarczyłoby na cały cmentarz. Ostatniej nocy uratowałam pana przed hańbą, ale teraz sama nie wiem, czy dobrze zrobiłam. Tyranizował pan

Agnes przez tyle lat i to cud, że to wytrzymała. Ale teraz już koniec. Zrobiłyśmy swoje i nie zasługujemy na takie traktowanie.

Z ust Greta popłynęły dalsze słowa. Opowiadała o braku swobody, o bezustannym byciu na każde skinienie. Agnes wpatrywała się w siostrę. Znała to wszystko. Ale o jakiej hańbie mówiła Greta?

– Tatusiu – błagała Birgitta. – Nic nas to nie obchodzi! Chodź!

Szarpiąc ojca za ramię, starała się wyciągnąć go z kuchni, wyprowadzić spod gradu słów. Ale taka ucieczka nie wchodziła w rachubę. Agnes doskonale o tym wiedziała. Zaprzeczyłaby wszystkiemu, czym był profesor. Nie należał do osób, które dają za wygraną. Wręcz przeciwnie, uwolnił się z uchwytu córki i ruszył do kontrataku.

– Nie było wolności? Jeżeli ktokolwiek nie był tutaj wolny, to ja, który odpowiadałem za wszystko i za wszystkich. Czy kiedykolwiek podjęłyście chociaż jedną samodzielną decyzję? Nigdy! Wynocha, niewdzięczne krówska!

Odpowiedź Greta padła jak smagnięcie batem.

– Annie też pan tak powiedział?

Profesor zeszywniał.

Liisa, która dotąd trzymała się z tyłu, zrobiła kilka kroków w głąb kuchni.

– Anna zniknęła, nikomu nic nie mówiąc – odparł profesor.

– Była oszołomiona – stwierdziła Greta. – Wyciszona. Nie wiem, co się stało, ale mogę zgadywać. A potem stary profesor przyszedł do ojca i nagadał mu jakichś bzdur na temat Anny.

– Nic o tym nie wiesz – warknął profesor.

Przyjmując postawę wyższości, odzyskał panowanie nad sytuacją. Wydawało się, że nic nie robi na nim wrażenia. Greta nie miała takiego doświadczenia w byciu bezczelną. Zamknęła oczy, a kiedy po chwili je otworzyła, wydawała się całkowicie bezsilna, jakby wystrzelała się z amunicji i chciała tylko zniknąć z tego domu i z Uppsali.

– Ronald czeka – powiedziała Agnes, próbując nawiązać kontakt z siostrą.

Greta chwyciła ją za rękę. Wyszły z kuchni, przemierzyły hol, otworzyły drzwi i wkroczyły na schody. Kiedy Agnes dostrzegła Ronalda opierającego się o samochód z szerokim uśmiechem na twarzy,

mocniej ścisnęła dłoń siostry. Cieszyła się, że jest z Gretą, cieszyła się z roześmianego Ronalda z Gräsö i z bycia wolną. Udało się jej.

Z klombem stało się coś dziwnego. Zauważył to od razu, chociaż dopiero przez lornetkę dostrzegł szczegóły. Często to robił, chował się między roślinami na wieży i przez lornetkę obserwował okolicę. Wstydził się własnego wścibstwa, ale nie na tyle, żeby przestać.

Byliny źle rozmieszczono. Haller nigdy nie dopuściłby się takiej amatorszczyzny. Może się śpieszył i dlatego był niechlujny? Nie, sądząc w taki sposób, wcale nie zyskałby na czasie. Po prostu źle to zrobił.

Na dłuższą metę to nie miało znaczenia. Starzeła i tak szybko pokryje całą powierzchnię klombu i błąd stanie się niewidoczny.

– Dziwne – wymamrotał docent.

Potem dostrzegł rower oparty o mur, co wprawiło go w jeszcze większą konsternację. Haller mówił, że już skończył pracę, ale może przypomniał sobie jeszcze o czymś?

Johansson zerknął na zegarek. Umówili się, że Karsten wpadnie na przedpołudniową kawę. Gregor był ciekaw tych książek o ogrodnictwie, które miał mu przynieść. „Podwójne egzemplarze”, tak powiedział, chociaż docent podejrzewał, że to tylko częściowe wyjaśnienie wizyty. W Hallerze było coś tajemniczego, niejasnego. Było jasne, że coś planował, może dzisiaj się okaże co dokładnie? Docent uśmiechnął się do siebie, zadowolony z kiełkującej przyjaźni z ogrodnikiem.

Dlaczego więc ma wrażenie, że zbliża się koniec? Nie jego śmierć, tego nawet nie chciał sobie wyobrażać, ale czuł, że coś złowróżbnego zawisło nad jego domem i nad całym kwartałem budynków. Może Torben Bunde, zupełnie nieświadomie, właśnie to wyraził w swoim artykule o Ohlerze i Nagrodzie Nobla. Docent nie potrafił określić, o co konkretnie chodzi, ale bez wątpienia dotyczyło to egzystencji w tym rezerwacie przyrody, jaki stanowiła dzielnica Kåbo.

A może chodziło po prostu o jego niezadowolenie z tego, że stał się znany? Dotąd był pustelnikiem, kimś w rodzaju mizantropa. Nie szczycił się tym. Jednak przez całe życie, od kiedy opuścił rodzinny dom w Rasbo, tak naprawdę nie czuł się dobrze ze swoimi kolegami i swoją pozycją, co rozwinęło się w nieco pogardliwy stosunek do otoczenia.

Kiedy rozmyślał o swoich doświadczeniach, nie był już pobłażliwy, lecz protekcyjny, czasem mściwy. Brakowało mu łagodności wieku starszego.

Publikując artykuł w „Upsala Nya Tidning” – co zaledwie miesiąc temu wydawało się niewyobrażalne – przyłączył się do akademickiej kłótni, a co więcej, za sprawą uwag na temat chowu wsobnego i układów w świecie naukowym zdystansował się od tego świata. Jak gdyby referował własny, prywatny spór, prowadzony całe życie. Dobrze było wreszcie to z siebie wyrzucić, pomyślał, chociaż nieprzyjemnie było stać się sławnym.

Teraz został oznaczony, wypadł z gry. Nawet jeżeli zyskał trochę ludzkiej sympatii, sam się wykluczył, skalał własne gniazdo – jak wyraziłby się jego wuj.

Kiedy tego ranka obserwował posesję profesora, zobaczył duży samochód parkujący pod domem. Nie rozpoznał młodego mężczyzny dźwigającego torby i walizy. W pierwszej chwili pomyślał, że to ktoś wynajęty do generalnych porządków, ale gdy na chodniku pojawiła się siostra gosposi, uznał, że chodzi o coś innego.

Teraz jego podejrzenia się potwierdziły. Agnes i jej siostra razem wyszły z budynku i wsiadły do auta, które po chwili odjechało. Można to było wytłumaczyć na wiele sposobów, ale docent nie miał cienia wątpliwości, że Agnes właśnie porzuciła służbę u Ohlera i po ponad pół wieku ostatecznie go opuściła.

Uśmiechnął się. Podobało mu się, że profesor będzie teraz mieszkał sam w tym gigantycznym domu.

Przez pierwszych kilka dni na Gräsö Agnes zmagala się z poczuciem nierzeczywistości. Tutaj spędziła dzieciństwo i młodość. Okolica na zawsze wryła się w jej świadomość. Każdy kamień na wzgórzach wokół domu i każda bryza owiewająca jego rogi, surowy zapach morza i lekko stęchły zapach w zakątkach domu – to wszystko było dobrze znajome, chociaż zarazem takie obce.

Spacerowała nad morzem. Dmuchał zachodni wiatr, a przy pomocy czuło się ciepło słońca. Już od wielu lat nie było tam żadnej łodzi, ale na brzegu panował spokój, więc stanowił naturalny cel przechadzki. Wśród splecionych traw kryła się ostatnia łódź wiosłowa rodziny.

Agnes oddychała głęboko, a każdy oddech był jak powolne, stopniowe wietrzenie starego życia.

Nie chciała rozmawiać o nieprzyjemnym rozstaniu z Ohlerem i wydawało się, że Greta też nie ma na to ochoty. W ogóle niewiele mówiła, pomijając krótkie wymiany zdań, niezbędne, gdy się mieszka pod jednym dachem. Zmiana była wręcz namacalna, bo przecież jeszcze w Uppsali Greta nieustannie trajkotała, pogodna i pełna energii. Teraz stała się zadumana i dziwnie niepewna, jakby zagubiona we własnym domu. Ale przede wszystkim cicha. Gdy Agnes przyłapała ją na płaczu i spytała, co się stało, siostra powiedziała tylko, że czuje się zmęczona i chyba bierze ją przeziębienie. Agnes nie uwierzyła. Minęły całe lata, od kiedy Greta ostatnio złapała jakieś przeziębienie. Nie, chodziło o coś innego, można to było wyczytać z jej udręczonej twarzy.

Było tyle rzeczy, o które Agnes chciała zapytać siostrę – chociażby o to, co miała na myśli, mówiąc, że uratowała rodzinę Ohlerów od hańby – ale postanowiła czekać. Była pewna, że ostatniej nocy, którą spędziły w domu Ohlerów, coś się wydarzyło. Świadczyły o tym strach w oczach Birgitty i nietypowa bierność Liisy następnego ranka.

Chociaż Agnes spędziła w domu profesora wiele lat, to Greta wydawała się lepiej poinformowana, zwłaszcza w sprawach związanych z Anną. To, że stary profesor przyjechał na Gräsö i naopowiadał

Aronowi jakichś bzdur na temat Anny, było dla Agnes nowiną. Nie potrafiła sobie przypomnieć żadnej takiej wizyty. Zresztą nic w tym dziwnego, w 1944 roku była jeszcze dzieckiem. Podejrzewała, że zniknięcie Anny miało związek właśnie z tamtą wizytą, chociaż nie rozumiała, jaki dokładnie. Chciała się dowiedzieć, uznała jednak, że nie ma potrzeby się z tym śpieszyć. Poruszy ten temat w stosownym momencie w rozmowie z Gretą.

Greta najwyraźniej wiedziała albo domyślała się, co sprawiło, że Anna odeszła od Ohlerów, a potem opuściła wyspę. Agnes też się domyślała. Pewnie Bertram napastował jej siostrę, tak jak ją trzydzieści lat później.

Ilekcroć przypominała sobie lipiec 1973 roku, czuła się zażenowana. Nie tylko z powodu jego błędzących dłoni i spoconego podniecenia, raczej dlatego, że tak naprawdę to jej się podobało. Nie potrafiła okłamywać samej siebie. Po pierwszej, niezdarnej i nieco szorstkiej próbie, Bertram stał się delikatniejszy, gładził ją po plecach i szeptał, że jest cudowna i od dawna jej pożąda.

Wiedziała, że to wszystko kłamstwa, ale były tak ładnie opakowane, że pozwoliła się zwieść, tak bardzo złakniona miłości. Wspomnienie tego, co wydarzyło się tamtego lipcowego dnia, zawsze sprawiało, że jej twarz oblewała się rumieńcem. Teraz także.

Potem oboje zachowywali się, jakby nic się nie stało. Nie powiedziała tego głośno, lecz w pewnym sensie była mu wdzięczna. Doświadczyła bliskości mężczyzny i początkowo czekała – chociaż z wielkim poczuciem winy – na powtórzenie tego. Ale Bertram już nie podjął żadnej inicjatywy.

Czy był także z Gretą? To całkiem prawdopodobne. Może właśnie dlatego tak się na niego rozgniewała? Ale kto by chciał o tym rozmawiać po tylu latach? Na pewno nie ona i z pewnością również nie Greta.

W rodzinie Anderssonów zawsze tak robiono – sprawy nieprzyjemne odkładano na później, żeby zająć się nimi w odpowiedniej chwili. Ale odpowiednia chwila nigdy nie nadchodziła. Albo wszystko rany były zbyt świeże i bolesne, albo mijało za dużo czasu, żeby je rozgrzebywać.

Greta mówiła o szkieletach w szafach Ohlerów, o tym, że jest ich

tyle, że mogłyby zapełnić cały cmentarz. Prawdopodobnie miała rację. A że losy obu rodzin przez tyle lat splatały się ze sobą, pewnie niemało tych szkieletów było wspólnych.

Po co je teraz wyciągać? Komu to potrzebne i do czego? Na pewno nie jej. Cieszyła się, że odeszła z Uppsali i od Bertrama. Teraz pragnęła cieszyć się życiem. Niewiele jej go zostało i nie chciała, aby te ostatnie miesiące czy lata zatrwały stare urazy. Wystarczająco się namęczyła podczas lat spędzonych w Kåbo. Teraz chciała sobie pożyć.

Podeszła do łodzi wiosłowej i postawiła stopę na deskach. Lekko nacisnęła i zmurszałe drewno ustąpiło. Tą łódką Aron wypływał wiosną na młode śledzie albo by zarzucić kilka sieci. Robił tak głównie z przyzwyczajenia. Wkrótce łódka całkiem się rozpadnie, resztki porosną trawą.

W tej starej przystani było coś bardzo smutnego. Nastąpiła jesień. Wszystko się pozapadało, poszarzało. Agnes zatęskniła za lodem i śniegiem, za zimowym okresem odpoczynku.

Ostrożnie weszła na pomost, chociaż kołysał się i skrzypiał. Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, a pod jej stopami pluskała woda. W oddali majaczyły wysepki Jankobben i Ängläskaret. Odmówiła jedną z modlitw zapamiętanych z dzieciństwa.

– Amen – zakończyła, unosząc głowę i spoglądając w niebo.

Spłynął na nią wielki spokój, teraz już była pewna, że dobrze zrobiła, wracając na wyspę.

Dobrze, że się stamtąd wyrwałam, zanim Greta zaczęła się martwić, pomyślała.

W obejściu stał znajomy samochód. Dostrzegła go i jej spokój natychmiast zmienił się w obawę, która z kolei przeszła w irytację. Miała wrażenie, że porzuciła Gretę – dziwna myśl, bo przecież jej siostra potrafiła sama się sobą zająć. Ale od ostatecznej rozgrywki u Ohlera wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej czuła, że ona i Greta są ze sobą mocno związane. Poza sobą nawzajem nie miały nikogo, na kim mogłyby polegać.

Weszła do kuchni. Birgitta i Liisa siedziały po dwóch stronach stołu. Greta stała przy blacie. Była w bojowym nastroju. Teraz nawet sam diabeł nie dałby sobie z nią rady.

– Myślą, że brakuje nam pieniędzy – oznajmiła.

Liisa westchnęła.

Agnes wsłuchiwała się w protesty Birgitty, w cały potok słów. Córka profesora była bardzo zdenerwowana. Mówiła bez przerwy i wyglądała na spłoszoną. Gestem dłoni wskazała blat.

Dopiero wtedy Agnes zauważyła pieniądze leżące przed Birgittą – gruby zwitek pięćsetkoronówek ściągniętych gumką. Musiało tam być kilkadziesiąt tysięcy koron. Coś w niej pękło. Podeszła do stołu, pochyliła się nad kobietą, którą znała od urodzenia, chwyciła ją za uszy i pociągnęła. Birgitta musiała wstać. Piszcziała.

– Jak ci nie wstyd! Jak śmiesz przychodzić tutaj z pieniędzmi!

Liisa zareagowała dopiero po sekundzie czy dwóch. Ale kiedy już to zrobiła, wypadki potoczyły się błyskawicznie. Otoczyła Agnes ramionami i dosłownie dźwignęła ją z podłogi. Agnes musiała puścić uszy Birgitty.

Greta zaczęła się śmiać, głośno, niemal histerycznie. Wszystkie na nią spojrzały. Natychmiast zamilkła i schowała twarz w dłoniach.

– Chciałam dobrze – powiedziała Birgitta.

Liisa wyciągnęła rękę, chwyciła zwitek banknotów i wrzuciła do torby stojącej na podłodze.

– Wcale nie chciałaś dobrze – stwierdziła Agnes, nadal wściekła. – Chciałaś wytworzyć zależność, wzbudzić w nas poczucie winy. To właśnie w twoim stylu.

Liisa objęła Birgittę. Pozostawała milcząca, nie odezwała się ani słowem. To zaskoczyło Agnes, bo Finka zwykle kontrolowała sytuację, podjudzając partnerkę zjadliwymi komentarzami.

– Wynocha stąd, kurwy! – wrzasnęła nagle Greta. – Dobrze wiem, po co przyszłyście!

– Greto, uspokój się. One już wychodzą – powiedziała Agnes, ale przemawiała do głuchych uszu.

– Już dosyć usłyszałam! – piekliła się jej siostra. – Zamierzacie chronić Bertrama i chciałyście kupić nasze milczenie, ale...

– Sądzę, że w kwestii kurewstwa akurat ty powinnaś zachować milczenie – przerwała jej Liisa lodowatym tonem. – Milczenie będzie dobre dla nas wszystkich, nieprawdaż?

Agnes nic nie rozumiała. Oprócz tego, że chodziło o coś paskudnego i strasznego, co czaiło się tu niczym jakieś dzikie zwierzę. Greta się tym czymś martwiła.

– Jedźcie już – powiedziała.

Odjechały. Wkrótce odgłos ich auta ucichł w oddali. Greta wyszła z kuchni. Zegar w salonie wybił czwartą. Agnes ciężko opadła na fotel. Słyszała rozpaczliwy szloch siostry, ale nie była w stanie się podnieść, nie potrafiłaby znieść jeszcze więcej stresu. Wydawało jej się, że to wszystko jej wina.

Ann Lindell stała nad otwartym grobem, jamą sięgającą głęboko w ciemność, gdzie właśnie zniknęło wieko trumny. Padało, właśnie tak jak powinno. Od Öresundsgrepen wiał zimny wiatr.

Cmentarz znajdował się bardzo blisko przystani promowej. Do brzegu właśnie przybijał niezgrabny prom, słychać było drapanie i skrzypienie. Usłyszała mocne łupnięcie, kiedy stalowa płyta zagrzecgotała na przyczółku mostu i z promu zaczęły wyjeżdżać samochody. Czy cała ta wyspa nie powinna zatrzymać się na chwilę, gdy chowana jest jej najstarsza mieszkanka?

Ann nie potrafiła czuć smutku i to paraliżowało ją od środka. Viola przeżyła prawie sto lat, dobrych lat. Odeszła spokojnie, nie cierpiała. Każdy życzyłby sobie takiego życia i takiego końca. Trudno jednak pożegnać na zawsze osobę, którą się bardzo lubi, niemal czci, za wielką mądrość i ciepło.

Edvard Risberg zrobił krok do tyłu i stanął obok niej.

Na pogrzebie szedł jako jeden z żałobników niosących trumnę. Dziwnie wyglądał w czarnym garniturze. Tak oficjalnie, co zupełnie do niego nie pasowało. Miał tego świadomość. Wydawał się nieswój. Jego twarz była skupiona.

Ann czuła się, jakby żegnała również swoje dawne życie. Już nigdy nie zjawi się na wyspie. Edvard z pewnością to wyczuwał i stąd powaga na jego twarzy. Chciał, żeby Anna wróciła, wiedziała o tym. Jego milcząca, surowa postawa, która na początku ich znajomości bardzo ją pociągała, teraz wydawała się tylko męcząca.

Ostatnie zdania historii Ann i Edvarda zapisano drobnym drukiem. Nie było żadnego dramatycznego finału, nie padły żadne ostre słowa. Wcześniej obawiała się jego gniewu i zatonięcia we wstydzie. Poradziła sobie z tym. Nie do końca i nie wtedy, kiedy przebywała na wyspie, ale zdołała przemówić sobie do rozsądku i nie tarzać się w destrukcyjnej wzgardzie dla samej siebie.

Zerknęła na niego. Postarzał się, zmarszczki na jego twarzy się pogłębiły, wciąż jednak emanował energią. Nawet w czarnym

garniturze, na cmentarzu. Nie rozumiała, dlaczego nie zamieszkał z żadną kobietą. Może teraz, kiedy Viola odeszła, w jego życiu nastąpi jakaś zmiana.

Ceremonia przy grobie była krótka. Na szczęście, bo Ann tak zmarła, że cała się trzęsła. Żałobnicy, około stu osób, powoli się rozchodzili. Ann skinęła głową Agnes i Grecie Andersson. Wcześniej zamieniły ze sobą kilka słów. Czuła, jak przyglądają się jej i Edvardowi, z pewnością ciekawe, czy dostrzegą między nimi jakąś bliskość.

– Chciałabym, żeby to ona była moją matką – powiedziała.

Edvard nie odpowiedział, może dlatego, że właśnie zbliżali się jego dwaj synowie. Stała przed nim, objęła go i przytuliła. Odwzajemnił uścisk, oplatając ją ramionami. Stali tak przez kilka sekund. Zamknęła oczy.

Kiedy go puściła, łzy spływały jej po policzkach. Bóg jeden wie, jak ja kochałam tego mężczyznę, pomyślała. Przez chwilę miała ochotę go uderzyć, rzucić się do przodu i walnąć go w pierś. Opanowała się jednak.

Odwróciła się i ruszyła w stronę parkingu. Nigdy więcej Gräsö. Wsiadła do samochodu i skierowała się ku oczekującemu promowi.

Niepokój ogarnął go po dziesięciu dniach. Coś było nie tak. I nie chodziło tylko o klomb czy o to, że rower wciąż stał oparty o mur. Sadzenie mogło mu nie wyjść, rower mógł zostać porzucony, ale Haller na pewno tak długo nie zwlekałby z wizytą.

Nie z powodu książek, które obiecał przynieść, lecz nadziei, jaką docent dostrzegł w jego oczach. Karsten wręcz emanował samotnością, wyrażaną przez pełną rezygnacji nonszalancję i różne wykrętne insynuacje. Docenta też to dosięgło, ale jakoś się z tym uporał. Zauważył u Hallera coś jeszcze innego – pragnienie, aby być przyjaznym i przystosowanym, co z pewnością wynikało z odnalezienia kogoś myślącego podobnie.

Byli dwoma samotnymi mężczyznami o wspólnych zainteresowaniach. Zetknął ich przypadek. Obaj dostrzegli szansę na zawarcie przyjaźni. Czy Haller by ją zniweczył, nie dotrzymując obietnicy przyniesienia „podwójnych egzemplarzy”?

Johansson szczerze w to wątpił. Właśnie dlatego wezwał policję.

Kobieta, która przyjęła jego zgłoszenie, była bardzo uprzejma. Zadawała różne pytania, a gdy wyjaśnił, co się stało, usłyszał współczucie w jej głosie. Jakby dzieliła jego troskę. Na początku docent wypowiadał się ostrożnie, żeby nie wyjść na wścibskiego starca, ale teraz się otworzył.

Powiedział, że postrzegał Hallera jako niesamowicie samotnego człowieka. Sympatycznego i żyjącego w społeczeństwie, ale samotnego. Bardzo się przykładał do pracy przy klombie, taki profesjonalista jak on nie sadiłby w nieudolny sposób. To, że zasadził rośliny po amatorsku, oznaczało, że był czymś bardzo zmartwiony.

Po zakończeniu rozmowy, która trwała jakieś dwadzieścia minut, docent wrócił na swoją wieżę, zadowolony, że ją odbył. Policjantka zasugerowała mu, żeby skontaktował się z sąsiadem, który wynajął ogrodnika, i zapytał, czy wie, co się z nim dzieje. Ale Johansson miał pewne wątpliwości. Coś takiego byłoby jawnym wtykaniem nosa w nie swoje sprawy.

Rower wciąż stał tam, gdzie do tej pory. Poza tym docent tylko raz dostrzegł Lundquista. Sąsiad pewnie nawet nie zwrócił uwagi na to, że starzęślę źle posadzono. Ale przecież porzucony rower powinien go zdziwić. Doszedłszy do tego wniosku, Johansson postanowił w końcu skontaktować się z Lundquistem.

Kiedy sięgnął po książkę telefoniczną, nagle uświadomił sobie, że nie pomyślał, aby zadzwonić do samego Hallera. Policjantka również o tym nie wspomniała, może założyła, że już próbował, ale mu się nie udało. Poszukał jego nazwiska. Nie było wielu Hallerów. Karsten mieszkał całkiem niedaleko, przy Artillerigatan. W zasięgu spaceru, pomyślał docent.

Po chwili wahania wybrał numer. Odczekał dziesięć sygnałów i odłożył słuchawkę. Poszukał numeru do sąsiada. Lundquist odebrał po dwóch dzwonek. Docent wyjaśnił mu, o co chodzi, i dodał, że się martwi. Nie było sensu owijać niczego w bawełnę. Lundquist nie wyglądał na człowieka ceniącego sobie pogawędki.

Nie, nie widział Hallera. Nie słyszał też o nim, nie dostał żadnego rachunku, ale specjalnie się tym nie martwił. Uznał, że zlecenie wykonano, i był zadowolony. Nie zauważył roweru ogrodnika.

Docent przeprosił za kłopot – z pewnością niepotrzebnie – podziękował i odłożył słuchawkę. Ale wcale mu nie ulżyło. Wręcz przeciwnie, zaczął się martwić jeszcze bardziej. Był pewien, że Hallerowi coś się stało. Czy jeśli znowu zadzwoni na policję, nie wyjdzie na kompletnego świra? Spojrzał na bezpośredni numer podany przez tamtą kobietę. Postanowił zdać się na los. Jeżeli suma cyfr składających się na ten numer będzie nieparzysta, zadzwoni, a jeśli parzysta – nie. Szybko dodał sześć cyfr, wyszło mu dwadzieścia siedem. Natychmiast chwycił słuchawkę, by nie mieć czasu na zmianę zdania.

„Uznany za zaginionego” – zawsze uważał, że to brzmi złowroźnie. Kiedy miał trzynaście lat, zniknął jego dziadek. Nikt nie potrafił wyjaśnić, co się stało. Ani wtedy, ani później. Los Freda Emanuela Nilssona pozostał nieznanym. Mówiono, że popełnił samobójstwo, ale Sammy Nilsson nigdy w to nie uwierzył. Dorośli okryli sprawę zasłoną milczenia, nie chcieli o niej rozmawiać, a jego dociekania tylko ich drażniły.

Może właśnie dlatego został policjantem. Fred był ukochanym dziadkiem Sammy’ego. Taki człowiek jak on nigdy by się nie zabił – tak właśnie uważał jako nastolatek. Teraz, trzydzieści lat później, nadal był przekonany, że dziadek nie zniknął z własnej woli.

Przepadł jak kamień w wodę, pomyślał. Spojrzał na pośpiesznie zanotowane informacje i przypomniał sobie rozmowę z ogrodnikiem.

Haller nie było w Szwecji popularnym nazwiskiem. Według książki telefonicznej w Uppsali mieszkało tylko dwóch noszących je mężczyzn. Jeden z nich miał na imię Karsten. Nie odbierał telefonu.

Zadzwoił do Gregora Johannsona, który zgłosił zaginięcie ogrodnika. Od niego też nie dowiedział się wiele.

Poszedł do gabinetu Lindell. Drzwi zastał otwarte. Ann studiowała mapę zawieszoną na ścianie. Sammy przyjrzał się jej i uznał, że przytyła kilka kilogramów.

– Mam tu kogoś, kto zapadł się pod ziemię – powiedział.

Lindell odwróciła się od mapy.

– Ty i ci twoi zaginieni.

Uśmiechnęła się do niego. Zdawał sobie sprawę, że w tym budynku dobrze znano jego fixację na punkcie osób zaginionych. Wszyscy w wydziale zabójstw wiedzieli, że regularnie sprawdza przychodzące raporty. Już mu to weszło w nawyk. Niektórzy z tego żartowali, ale Ann wiedziała, że lepiej się z nim nie drażnić. Była też jedyną osobą, która znała przyczyny. Rozmawiał z nią o zagadce Freda Nilssona.

– Wiesz, jak to jest – odparł. – Ale to jest akurat ogrodnik, z

którym niedawno rozmawialiśmy.

Opowiedział o zgłoszeniu docenta.

– Dziwne – orzekła Lindell. – Ale to prawdopodobnie zbieg okoliczności.

Sammy ponownie zerknął na notatki i pokiwał głową. Spojrzeli po sobie. Oboje wiedzieli, że pójdzie to sprawdzić.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Powodzenia – powiedziała.

Sammy Nilsson pojechał na Artillerigatan. Budynek miał trzy klatki, Karsten Haller mieszkał w środkowej, na drugim piętrze. Jego najbliżsi sąsiedzi nazywali się Lind i Svensson. Sammy nacisnął dzwonek, odczekał pół minuty, a potem schylił się i otworzył szczelinę do wrzucania listów. Nie zaskoczyło go, że na podłodze przedpokoju leżał stos gazet i korespondencji.

Powietrze, które wypłynęło przez otwór na listy, było świeże, nie czuł odoru, jaki wydzielają zwłoki leżące kilka dni w ogrzewanym mieszkaniu.

Wyprostował się i zastanowił, co ma robić dalej. Istniało kilka możliwości. Pierwszą było skontaktowanie się z administracją wspólnoty mieszkaniowej i nakłonienie kogoś, żeby otworzył drzwi. To jednak pociągnęłoby za sobą różne komplikacje. Gdyby się okazało, że powody nieobecności Hallera w mieszkaniu są całkiem prozaiczne, mógłby oskarżyć policję o wtargnięcie.

Sammy postanowił więc porozmawiać z sąsiadami ogrodnika. Zadzwonił do drzwi mieszkania obok. Prawie natychmiast otworzyła mu kobieta w wieku około siedemdziesięciu lat. Może przyglądała mu się przez wizjer?

Przedstawił się i wyjaśnił, co go sprowadza. Kobieta zareagowała natychmiast i z nieoczekiwaną energią.

– Wiedziałam że coś się stało – oznajmiła, a Sammy dostrzegł, że jest na skraju płaczu. – Nigdzie by nie wyjechał, nie mówiąc mi o tym wcześniej, bo zawsze gdy go nie było, zajmowałam się jego kwiatami. Na pewno pan widział, jak to wygląda.

– Co jak wygląda?

– Kwiaty na oknie Karstena. Więdną. Przede wszystkim ten ładny,

z Afryki. Powinien pan zobaczyć, jakie on ma rośliny.

– Tak, wiem, że zajmuje się ogrodnictwem – powiedział Sammy.

– Właśnie! To dobry człowiek. Nigdy nie było z nim żadnych problemów. Czasem mi pomaga. Prawdę mówiąc, myślałam, żeby pójść dzisiaj do jego mieszkania. Może wyjechał na kilka dni i po prostu zapomniał mi powiedzieć?

– Ma pani klucze?

– Tak, jak inaczej mogłabym tam wchodzić i podlewać kwiaty?

– Sądzi pani, że Karsten Haller miałby pani za złe, gdybym pożyczył te klucze i wszedł do jego mieszkania?

– Sama nie wiem. Może się rozchorował? Może leży w łóżku i nie jest w stanie zareagować?

– Tak, to możliwe.

Kobieta sięgnęła po kółko z dwoma kluczami wiszące na korkowej tablicy przy drzwiach.

– Proszę tam wejść – zachęciła Sammy'ego.

Otworzył mieszkanie Hallera i przestąpił listy i gazety, które uformowały zgrabny stosik za drzwiami. Od razu zorientował się w planie mieszkania: kuchnia po lewej, salon naprzeciwko, sypialnia z prawej, obok łazienka i toaleta.

W sypialni na parapecie stała doniczka z usychającą rośliną, o której mówiła sąsiadka. Zawołał Hallera po nazwisku, bo przecież ogrodnik naprawdę mógł leżeć w łóżku ciężko chory.

Wystarczył rzut oka, aby stwierdzić, że pokój jest pusty, lecz dla pewności Sammy przykucnął i zajrzał pod łóżko. Zobaczył tylko kurz i pudełko po butach.

Otworzył dwie szafy, w których znalazł zaskakująco mało rzeczy. W jednej wisiało sześć koszul i dwie marynarki. W drugiej leżał stos worków na śmieci.

Salon, pełen roślin w doniczkach, przypominał raczej ogród niż pokój. Poza roślinami stał tam fotel, stół z tekowego drewna i ława z telewizorem. Krótszą ścianę zajmował regał na książki, ale książek było tam niewiele, za to mnóstwo notatników, takich chińskiej produkcji, o czerwonych grzbietach i twardych okładkach. Wziął kilka i otworzył na losowo wybranych stronach. Kolumny wypełnione liczbami, informacje

o żwirze, warstwach urodzajnej gleby i wynajętych maszynach – najwyraźniej notatki z pracy. Wszystko starannie zapisane. Odłożył zeszyty z powrotem na półkę.

Kawalerskie mieszkanko, stwierdził Sammy z lekką zazdrością. Skromne, ale przytulne. Chciałby takie mieć, przedtem musiałby się rozwieść, co stanowiło najbardziej niewyobrażalny scenariusz, jaki tylko dałoby się wymyślić.

Wszedł do kuchni. Na stole leżał paszport i dokumenty podróży zapakowane w foliową pochewkę. Na wierzchu bilet na nazwisko Karstena Hallera. Tydzień temu ogrodnik miał lecieć do Johannesburga.

Sammy przypomniał sobie ich rozmowę sprzed kilku dni. Haller wydawał się szczery i otwarty, sprawiał wrażenie niemal gadatliwego. O czym wtedy rozmawiali?

Nie pamiętał dokładnie. Pamiętał jednak, że Haller zapewnił, że na ulicy nie zauważył niczego nietypowego, a na wzmiankę o profesorce von Ohlerze wyraźnie spochmurniał i przestał wyglądać dobrodusznie.

Afryka Południowa. Nilsson pogrzebał wśród broszur w foliowej pochewce. Nie znalazł nic o hotelu czy specjalnych atrakcjach w rodzaju safari. Wyjął z kieszeni komórkę, wybrał numer biura podróży podanego jako wystawca biletu i usłyszał wiadomość, że z powodu dużej liczby połączeń numer jest chwilowo zajęty, ale odbiorą, kiedy tylko będzie to możliwe.

Z kolei Lindell odebrała natychmiast. Poprosił ją, żeby zleciła jakiemuś stażystce sprawdzenie szpitali. Może Haller miał wypadek?

Rozłączył się i ponownie rozejrzał po mieszkaniu, starając się dostrzec coś, co nie pasowałoby do tego skromnie urządzonego wnętrza. Na stole w salonie leżało kilka notatników. Otworzył jeden z nich. To także był jakiś dziennik, ale różnił się od notatników Hallera. Nie było tam linijek z liczbą przepracowanych godzin ani listy rozmaitych materiałów.

Na okładce widniał rok 1942. Pismo było staroświeckie i nierówne, ale czytelne. Przeczytał jakiś fragment o świątecznych porządkach i przerzucił kilka kartek. Przygotowania do kolacji w maju. Wymieniono wszystkie dania.

Sięgnął po następny zeszyt. Na górze pierwszej strony widniała

data: 1 stycznia 1943 roku. Po kilku stronach z zapiskami o pogodzie znalazł notatkę o wydarzeniach na zabawie noworocznej. Ten tekst był bardziej osobisty. Kobieta, bo założył, że to kobieta, komentowała zachowanie gości na kolacji noworocznej z poprzedniego dnia. Jakiś przedsiębiorca budowlany D. posprzeczał się z P. na temat „okropnej wojny”, po czym rozzłoszczony opuścił towarzystwo.

Sammy zamknął notatnik. Zapiski sprzed prawie siedemdziesięciu lat nie przyniosą odpowiedzi na pytanie, dlaczego zaginął Karsten Haller.

Nilsson zastanawiał się, czy powinien dalej zajmować się tą sprawą. Poszukiwanie zaginionych nie wchodziło w zakres jego zajęć, ale ta sytuacja przypominała nierozwiązaną tajemnicę jego dziadka.

Kiedy szedł do samochodu, zadzwoniła Lindell. Do szpitala nie przyjęto żadnego Hallera. Sammy powiedział Ann o bilecie do Johannesburga. Po jej głosie poznał, że się zaciekawiała. Ona również czuje się znużona i potrzebuje jakiejś zagadki, pomyślał, uśmiechając się do siebie.

– Mogę zabrać cię po drodze?

Lindell się roześmiała.

Uznał to za „tak”.

Byli już w tej wieży. Wtedy docent przyjął ich entuzjastycznie.

Teraz wydawał się zmartwiony, prawie udręczony.

– Sami państwo widzicie. – Wskazał ogród sąsiada.

– Co takiego? – zapytał Sammy.

– Widzicie te małe zielone rośliny? To starzęśla. Jej nie sadi się w prostych rządkach, tylko zygzakiem. Tu została posadzona po amatorsku, więc nie sądzę, aby zrobił to Haller. Chyba że naprawdę bardzo mu się śpieszyło... Ale nie, doświadczony ogrodnik i tak zasadziłby zygzakiem. To się robi automatycznie. Rozumiecie państwo, co mam na myśli?

Sammy pokiwał głową.

Lindell wyglądała na głęboko zamyśloną.

– Czy właściciel posesji... – zaczęła.

– Pytałem go – przerwał jej docent, kręcąc głową. – Ale on nawet nie tykał tych grządek. Nawet nie zrozumiał pytania.

– I wciąż tam stoi rower Hallera – zauważył Sammy.

Stali w ciszy, rozmyślając o tym, że ogrodnik jakby rozplynął się w powietrzu.

– Więc jeśli to nie Haller ani nie właściciel posesji...

– Musiał to zrobić ktoś inny! – dokończył docent.

Sammy dostrzegł, że Lindell zirytowała się tym, że znowu jej przerwał.

– Czy wspominał panu o Afryce albo że wybiera się w podróż?

Docent, wyraźnie zdziwiony pytaniem, pokręcił przecząco głową.

– Teraz dzieje się tutaj tyle dziwnych rzeczy – stwierdził.

– Czytałem pański artykuł – powiedział Sammy. – Napisanie go wymagało odwagi. Krytyka dawnego kolegi i sąsiada na pewno nie jest łatwa.

– Oczywiście – odparł szorstko docent.

– Jakie dziwne rzeczy się wydarzyły? – zapytała Ann.

– No, choćby to, że gosposia profesora zrezygnowała z pracy.

Pracowała u niego Bóg wie ile lat. I odeszła właśnie teraz, kiedy dostał Nagrodę Nobla... A teraz ta sprawa z Hallerem... Rozumiecie państwo, to on rzucił kamieniem w dom Ohlera. Nie powinienem o tym mówić, ale to wydaje się dziwne.

Nilsson i Lindell wymienili spojrzenia.

Ann pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?”

– Wyjaśnił, dlaczego to zrobił?

– Nie, właściwie nie – odparł docent.

– Czy to również on umieścił czaszkę przy furtce Ohlera?

Twarz docenta poczerwieniała.

– To był pan, prawda? – spytała Lindell.

Johansson kiwnął głową.

– Głupi dowcip, przyznaję, ale to taki stary lekarski kawał. Mnie samemu zrobiono go w latach pięćdziesiątych. Teraz, kiedy na to patrzę, rozumiem, że nie było to mądre.

– Czyli można założyć, że Ohler domyślił się, że zrobił to ktoś z jego branży?

– Chyba tak – powiedział docent.

Sammy uśmiechnął się szeroko.

– Wiedział, że to pan?

– Nie, na pewno uznał, że ja bym się na to nie zdobył. Zrobiłem to bardziej dla własnej uciechy. Żeby coś udowodnić, sam już nie wiem co. Jestem starym człowiekiem, ale niepozbawionym...

Zawahał się, ale pokręcił przecząco głową, gdy Lindell zasugerowała słowo „pasja”.

– To za mocne – powiedział z lekkim uśmiechem, wyrażającym przede wszystkim smutek. – Czy zostaną mi postawione jakieś zarzuty?

– Nie – zapewnił Sammy. – Orientuje się pan, czy Ohler jest teraz w domu?

– Jest – odparł Johansson. – Jest też jego córka i jej... dziewczyna. Wydaje mi się, że teraz obie tam mieszkają.

Gdyby nie ponure tło całej sytuacji i zniknięcie Hallera, Sammy uznałby rozmowę z docentem za zabawną. Ale nad tym wszystkim ciążyło coś złowróżbnego. Wyczuwali to oboje. Nie komentując wizyty u Johanssona, ruszyli w stronę domu Ohlera.

Otworzyła im kobieta w średnim wieku. Nilsson od razu dostrzegł rodzinne podobieństwo. Uznał, że to córka profesora, i się przedstawił. Lindell biernie stała z boku. Zwykle tak się dzielili się zadaniami: jedno było aktywne, drugie czekało, przyglądając się.

– Badamy sprawę zaginięcia – kontynuował. – W okolicy pracował ogrodnik, który zniknął bez śladu.

Kobieta patrzyła na niego. Jej twarz niczego nie wyrażała.

– Karsten Haller. Czy to nazwisko coś pani mówi?

Pokręciła głową.

– Pani jest córką profesora Ohlera, prawda? – kontynuował Sammy, niezrażony.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Jest pani podobna do ojca. Haller. Nie brzmi ani trochę znajomo? Pracował na sąsiedniej posesji. Myślałem, że...

– Nie, już mówiłam, że nie znam nikogo takiego. Czy jeszcze coś?

– Może pani ojciec zna Hallera? Może tutaj przy czymś pracował?

– Wiedziałabym o tym – powiedziała kobieta. Trzęsła się.

– Możemy kontynuować rozmowę w środku? – zaproponował Sammy.

– Nie sędzę. Jestem trochę zajęta i jak już mówiłam, nie wiem, kim jest ten Haller. Nikt w tym domu nie wie.

– Przykro mi, ale mamy powody sądzić, że znał kogoś z tego domu.

– Mój ojciec jest osobą publiczną.

Sammy przypomniał sobie spotkanie z Hallerem. Jego złość, kiedy rozmowa zesłała na profesora von Ohlera. Wściekłość, której nawet nie próbował ukryć.

– Sądzymy, że Haller miał powód, aby czuć niechęć do pani ojca. Niechęć, która nie wynikała z jakiejś ogólnej urazy, ale raczej miała podłoże osobiste.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Wygląda na to, że niczego więcej się nie dowiemy – stwierdził Sammy, nie okazując zniecierpliwienia. Wręcz przeciwnie, starał się sprawiać wrażenie przyjaznego. – Dziękuję i przepraszam, że panią niepokoiłem.

Córka Ohlera zamknęła drzwi.

– Niechęć, dobre sobie – powiedziała Lindell.

Sammy pokręcił głową.

– Ta suka kłamie – stwierdził.

– To oczywiste – zgodziła się Ann.

Wyszli na ulicę. Kiedy Sammy zamknął za sobą furtkę, odwrócił się i spojrzał na dom.

– Gdyby była pijana, moglibyśmy tam się wcisnąć na siłę. A teraz stoimy jak dwoje żebraków na schodach.

– Nic na nią nie mieliśmy.

– To nieważne. Pijana kobieta uznałaby za oczywiste, że od razu wkraczamy.

Wiedzieli, że dadzą sobie spokój z tą sprawą. Zaginięcie, zwłaszcza takie, które mogło mieć zupełnie zwyczajne przyczyny, nie należało do spraw, jakimi się zajmowali. Co prawda nie istniały żadne formalne przeszkody, żeby dalej węszyć, ale były ograniczenia natury praktycznej. Ottosson by tego nie zaaprobował, bo chociaż mieli teraz spokojny okres, zostało im dużo starych spraw do rozgryzienia.

Epilog

10 grudnia 2008 roku

Niedobrze mu się robiło od tej całej fałszywej pompy. Klął sam siebie za to, że włączył telewizor. Dobrze to znał. Wiedział, jak wygląda. „Nie ma sprawiedliwości na tym świecie”, powiedział kiedyś Ohler i miał rację. To była niesprawiedliwość, której ilustrację stanowił cały ten tłum wyelegantowanych i dwulicowych ludzi, sama śmietanka świata nauki, kultury i biznesu, wszyscy uginający się pod ciężarem własnego znaczenia.

Dlaczego miałby się przyglądać temu spektaklowi? Ostatnim, co zobaczył na ekranie telewizora, zanim ten zgasł, było zbliżenie dobrze mu znanej twarzy. Należała do jego dawnego kolegi z uniwersytetu w Lund, o którym docent wiedział, że ostro krytykował Ohlera. Teraz profesor siedział na noblowskiej gali i uśmiechał się szeroko.

Gregor Johansson wstał z trudem. Ta jesień była ciężka. A wyglądało na to, że będzie jeszcze gorzej. Jego ciało zaczynało coraz bardziej protestować. Może w przyszłym roku nie będzie już w stanie odpowiednio zajmować się ogrodem? Wtedy równie dobrze mógłbym umrzeć, pomyślał.

Z jeszcze większym trudem wszedł na swoją wieżę. Ogród wyglądał smutno jak zamknięte wesołe miasteczko. Śnieg, który spadł w pierwszą niedzielę Adwentu, zniknął podczas tej nieszczęsnej odwilży. Docent nie znosił tych nagłych przeskoków między siarczystym mrozem a ciepłem, między głębokim śniegiem a rozmokłą, nagą ziemią. Przymrozek oznaczał dla roślin śmierć.

Nagle dostrzegł jakiś ruch u Lundquista i miał déjà vu z jesieni. Ale tym razem to nie był ogrodnik, tylko węszący po podwórzu seter Winblada. Dziwne. Willie, bo tak wabił się pies, był zwykle zdyscyplinowany i nigdy nie opuszczał swojego podwórka, chociaż zawsze biegał bez smyczy. Docent kiedyś nawet pochwalił Winblada za świetne ułożenie psa.

A teraz seter stał obok roślin posadzonych przez Hallera na tyłach posesji Lundquista. Johansson widział przez lornetkę, jak macha ogonem i trąca nosem magnolie. Tylko nie waż się podnosić tylnej łapy, pomyślał.

Pies dalej obwąchiwał klomb, jakby dokonywał inspekcji. Potem zaczął kopać w ziemi.

Więc o to chodziło! To Willie wykopał te sadzonki, Winblad zobaczył, co się stało, i próbował włożyć je na miejsce. Zagadka została rozwiązana.

Pies kopał dalej, z coraz większym zapałem.

Przypisy

^[1] Etosza – okresowe słone jezioro oraz park narodowy w północnej Namibii (przyp. tłum.).

^[2] *joie de vivre* (fr.) – radość życia (przyp. tłum.).

^[3] tort księżniczki – *prinsesstårta*, tradycyjne szwedzkie ciasto z masą marcepanową, najczęściej zieloną (przyp. tłum.).

